



Józef Wieczorek

Moje boje

**Archiwum prasowe
dysydenta akademickiego**

Kraków A.D. 2015

Zawartość

7-Wstęp do archiwum prasowego

9 - Milczenie owiec [Wprost]

11- Cała jaskrawość, czyli o metodach badań w KBN
[Forum Akademickie]

16-[Dajemy szansę?](#) [Najwyższy Czas]

26-Udar mózgu [Wprost]

28- Katedra socjalizmu [Wprost]

30-Królowie nauki [Wprost]

32-NIK w szkołach wyższych – polemika [Rzeczpospolita]

41- System zamknięty i niereformowalny
[Rzeczpospolita]

45-Reformy bez głowy [Życie]

62 -Polska moralność [Wprost]

64-Przydałaby się nowa Komisja Edukacji Narodowej
[Rzeczpospolita]

67- Inna prawda o uczelniach [Obywatel]

85-Koniec z fikcją w nauce [Przegląd]

99Cui bono? –spojrzenie na finansowanie nauki
[Obywatel]

111-Mobbing uczelniany [Obywatel]

126-Profesorowie i decydenci [Przegląd]

128 -[Stary system w nowych szatach](#) [Gazeta Polska]

137-REAKCJE:Ustawy pierwszej potrzeby
[Rzeczpospolita]

140- W poszukiwaniu kompromisu [Rzeczpospolita]

143 - Patologiczna ustawa [Dziennik Polski]

146-O mobbingu inaczej [Rzeczpospolita]

149-Finanse i prawda [Dziennik Polski]

154- Stan wojenny przede wszystkim [Rzeczpospolita]

157- Prof. dr hab. dożywotni . Cezary Wójcik, Józef
Wieczorek[Polityka]

167 -Magister na zamówienie [Rzeczpospolita,
fragmenty]

170-Urodzaj na Akademickie Kodeksy Etyczne
[Miesięcznik Społeczności Akademickiej – Uniwersytet
Zielonogórski]

183- Petryfikacja czy zmiana systemu -Józef Wieczorek &
Cezary Wójcik [Obywatel]

195 - Czy nowa ustawa o szkolnictwie wyższym da nam szansę na wyjście z czwartej ligi ? [Polityka, fragmenty]

202-Nomadyzm niemobilnych - Józef Wieczorek, Cezary Wójcik [Forum Akademickie]

215-Lustracja środowiska akademickiego ? [Opcja na prawo]

221-System Trojana, czyli druga strona nauki polskiej [Najwyższy Czas]

234-Czarna księga komunizmu (uniwersyteckiego) [Obywatel]

246-Mediator akademicki pilnie potrzebny - Józef Wieczorek, Joanna Szpiega [Rzeczpospolita]

252-Karta nie dla polskich naukowców [Rzeczpospolita]

257- Jakie uniwersytety? – polemika - Cezary Wójcik, Józef Wieczorek [Nauka]

264-Nauka i pieniądze [Tygodnik Powszechny]

267-Czy można się uchronić przed mobbingiem
w pracy ? [Zeszyty Karmelitańskie]

277-„Premier z naukowcami” [Rzeczpospolita]

279-Pozwólcie wracać polskim naukowcom
[Rzeczpospolita]

281-Chodakiewicz kontra Gross [Rzeczpospolita]

283-Listy: „Polskie uniwersytety potrzebują reanimacji
„[Rzeczpospolita]

285-Czas skończyć z celebrą akademickich dworów
[Rzeczpospolita]

284-Beton naukowy – polemika [Wprost]

295-Co słyhać starego?
[czyli o nauce polskiej 20 lat później](#) [Opcja na prawo]

Wstęp do archiwum prasowego

Archiwum zawiera teksty publikowane w prasie "papierowej" na przełomie XX i XXI wieku, w latach 1997 – 2008 kiedy internet nie był jeszcze tak potężny. Wzrost znaczenia internetu w przestrzeni publicznej spowodował zmniejszenie zainteresowania publikacjami 'papierowymi' zwykle wydawanymi z dużym opóźnieniem i mającymi problemy z cenzurą wewnętrzną.

Wybór tych tekstów nazwałem **Moje boje** bo taki one mają charakter podobnie jak wybory moich tekstów internetowych.

Teksty dotyczą głównie problematyki akademickich – bojów o inny kształt systemu nauki i szkolnictwa wyższego. Jakkolwiek są to teksty sprzed lat nietrudno zauważyć ich aktualność.

Istnieje bowiem ogromny opór 'reformatorów' systemu przed zmianami realnymi i heroiczną wręcz walkę, aby mimo reform wszystko pozostało po statremu.

Mój punkt widzenia na system akademicki jest punktem

widzenia dysydenta akademickiego, ale jest zbieżny z widzeniem wielu 'akademików' – fakt, że głównie tych, których 'kariery' akademickie przebiegały/przebiegają za zachodnimi granicami Polski.

Kilkadziesiąt lat kompatybilności polskiego systemu akademickiego z systemem komunistycznym swoje zrobiły, tym bardziej, że w okresie PRL oraz transformacji i budowy III RP oczyszczono polski system z elementu niewygodnego dla beneficjentów patologicznego systemu.

Niech to archiwum stanowi dowód, że nie wszyscy aprobowali system prowadzący do kryzysu uniwersytetu i szkodliwy społecznie, niszczący wręcz olbrzymi potencjał intelektualny Polaków.

Milczenie owiec

Zgadzam się z Prof. Ł.A. Turskim, że polska kadra naukowa straciła poczucie odpowiedzialności zawodowej. Powszechnie znany zanik krytyki naukowej jest wielkim „sukcesem” dożywotnio panujących „koryfeuszy” skazujących na śmierć naukową i edukacyjną osoby prezentujące odmienne od obowiązujących poglądy naukowe.

Nie zgadzam się natomiast na nazywanie demokratycznymi wyborów do KBN. Skoro osoby krytykujące otwarcie „konkursy” na projekty badawcze pozbawiane są prawa udziału w wyborach do KBN, to trudno tu mówić o demokracji.

To raczej jest nawiązanie do metod znanych z okresu panowania w nauce Trofima Łysenki, którego godni następcy zasiadający we władzach KBN, zdecydowanie odrzucają zasadność podważania ich – jedynie słusznych – poglądów i decyzji.

Wygrywając w cuglach organizowane przez siebie „konkursy” cynicznie informują społeczeństwo, że wygrywają najlepsi.

Jednocześnie argumentują, że społeczne pieniądze na badania w sposób zasadny mogą przeznaczyć tylko dla najlepszych – czyli dla siebie i dla tych, którzy ich popierają. To jest degeneracja nauki.

JÓZEF WIECZOREK, KRAKÓW

Ani milczący, ani owca

UWAGA: Tekst po drobnych zmianach ukazał się na łamach WPROST 2.05.1997 r.

Cała jaskrawość, czyli o metodach badań w KBN

W 11 numerze Forum Akademickiego ukazały się dwa teksty, których nie można pozostawić bez komentarza.

Przede wszystkim rozmowa Piotra Kieracińskiego z Małgorzatą Kozłowską – podsekretarzem stanu w Komitecie Badań Naukowych, w której pani podsekretarz „udowadnia”, że w konkursach na projekty badawcze wygrywają najlepsi. Jednocześnie pani podsekretarz stanowczo odpiesza zarzuty jakoby granty dostawali głównie zespoły członków komisji i sekcji KBN.

Zgodnie z wypowiedzią pani podsekretarz te zarzuty nie znajdują potwierdzenia w faktach, na co mają wskazywać badania w tej kwestii prowadzone przez KBN.

Niestety autorka wypowiedzi nie precyzuje bliżej zastosowanej metodyki tych badań, które doprowadziły ją do tak rażąco odmiennych wniosków, sprzecznych z faktami publikowanymi na łamach czasopism naukowych.

Nie podaje też wielkości i źródeł finansowania tych badań co pozwala raczej przypuszczać, że były one sfinansowane przez KBN.

Tymczasem moje, niezależnie prowadzone badania wskazują na wyraźną zależność między składem komisji a zwycięzcami konkursów na projekty badawcze.

Moje badania, prowadzone bez finansowania z budżetu państwa, polegały na prostym porównaniu nazwisk członków komisji oraz nazwisk zwycięzców konkursów, na przykładzie najlepiej mi znanych nauk geologicznych.

Korelacja jest zadziwiająca jakkolwiek trzeba przyznać, że wyraźnie się zmniejszyła po moim bojkocie wyborów do KBN w 1994 r., którego przyczyny uzasadniłem pisemnie. Tym niemniej, wniosek pani podsekretarz, że wygrywają najlepsi nie jest uzasadniony i pozostaje w rażącej sprzeczności z rzeczywistym stanem rzeczy.

Niestety zespoły oceniające projekty często nie są kompetentne do oceny nadsyłanych projektów co jednoznacznie wynika z przedstawianych uzasadnień o ich odrzucaniu.

Niekiedy opinie o przedstawianych projektach są tak absurdalne, że uzasadnione jest wyrażanie wątpliwości o zdolności rozumienia słowa pisanego przez członków komisji. Zdaniem najwyższych władz KBN jednak te opinie są obowiązujące i ich podważanie jest nieuzasadnione. Te poglądy nawiązują jednoznacznie do okresu panowania Łysenki, który jak się wydaje znajduje godnych kontynuatorów.

Należy tu nadmienić, że do rzekomo demokratycznych wyborów do KBN nie są dopuszczani pracownicy nauki o odmiennych od oficjalnych poglądach. Np. w tym roku odbywają się wybory do KBN, ale ja, jako osoba która otwarcie krytykowała poczynania KBN, karty wyborczej nie otrzymałem.

Można się spodziewać, że po odsunięciu od wyborów niewygodnych pracowników nauki, znowu wygrają tzw. najlepsi z najlepszych, tzn. tacy, którzy nie podważają oficjalnych poglądów KBN organizującego „demokratyczne” wybory. Podobne „demokratyczne” metody są mi bardzo dobrze znane z innych instytucji finansowanych przez KBN. Skutki posiadania odmiennych opinii są łatwe do przewidzenia.

Drugi tekst napisany „pół żartem, pół serio” przez Romana Kuliszana dotyczy zjawiska tzw. turystyki

naukowej, częściowo odzwierciedlającego obecną sytuację w polskiej nauce.

Niestety w tekście tym ani słowa o reprezentowaniu polskiej „nauki” na forum międzynarodowym przez pracowników nienaukowych, którzy żadnej działalności naukowej nie prowadzą. Ich udział nie budzi żadnych zastrzeżeń KBN finansującego współpracę zagraniczną, natomiast propozycje wyjazdów zagranicznych niewygodnych pracowników naukowych są odrzucane a priori, tym bardziej jeśli ich aktywny udział jest aprobowany i częściowo opłacany przez organizatorów kongresów. Na takie wyjazdy KBN nie ma pieniędzy.

Fakty jednoznacznie mówią o przejawach dyskryminacji pracowników nauki w oficjalnej współpracy zagranicznej finansowanej przez KBN.

Z poważaniem.

Józef Wieczorek, Kraków, 6.01.1997 r.

UWAGA: Tekst po ocenzurowaniu ukazał się na łamach Forum Akademickiego.

Pani Małgorzata Kozłowska – b. podsekretarz stanu w Komitecie Badań Naukowych, do dnia dzisiejszego nie sprecyzowała zastosowanej metodyki badań, które doprowadziły ją do wniosku, że w konkursach na projekty badawcze wygrywają najlepsi.

DAJEMY SZANSĘ?

– Polemika z Prof. Januszem Tazbirem

NAJWYŻSZY CZAS, lipiec 1997

Polemika z Prof. Januszem Tazbirem – Przewodniczącym Centralnej Komisji ds. Tytułu Naukowego i Stopni Naukowych

W 4 numerze (1997r.) FORUM AKADEMICKIEGO Pan Profesor twierdzi, że Komisja decydentów o tzw. „karierach naukowych” Polaków, której Pan obecnie przewodniczy, daje człowiekowi szansę.

Ja te sprawy widzę na szerokim tle patologii polskiego środowiska naukowego i w moim przekonaniu, na ogół „naukowi” decydenci nie dają szans samodzielny (w normalnym znaczeniu tego słowa) i niezależnym pracownikom nauki, którzy podważają ich „jedynie słuszne” poglądy.

Zgodnie z moją znajomością rzeczy „nauka” polska tak się ma mniej więcej do nauki sensu stricto jak demokracja socjalistyczna do demokracji sensu stricto, i jest to również zasługa Centralnej Komisji ds. Tytułu Naukowego i Stopni Naukowych (dawniej CKK).

Rozdzielając swoiste KONCESJE do dożywotniego decydowania o najważniejszych sprawach nauki polskiej (nie mylić z nauką s.s.) dla wąskiej kasty „niezastąpionych” w swej inkwizycyjnej działalności „uczonych”, Centralna Komisja ma ogromny wpływ na stan nauki, zarówno w jej warstwie intelektualnej, jak i moralnej.

Namaszczeni przez CK „uczni”, często naśladując w swych poczynaniach Największego Językoznawcę i jego godnych uczniów (choćby słynnego Trofima Łysenkę), wycinają w pień zagrażających im niepokornych pracowników, u których stwierdzili „nieprawidłowości” w myśleniu i co gorsza w działaniu, zmierzające do podważania ich dożywotnio dominującej pozycji. Następnie „koryfeusze nauki” oszałamiają społeczeństwo roniąc krokodyle łzy nad niekorzystną „luką pokoleniową” w nauce i edukacji.

Stwierdzony fakt postępującego ograniczenia intelektualnego u przedstawicieli kolejnych szczebli kariery „naukowej” trudno mi inaczej zinterpretować jako efekt prowadzonej negatywnej selekcji kadr, która bynajmniej nie kończy się na poziomie „habilitacji”, lecz dotyczy również „profesorów” i członków PAN.

Jasne jest, że „profesor”, stanowiący nierzadko finalny efekt negatywnej selekcji kadr, nie jest w stanie ocenić dorobku naukowego pracownika na tle nauki s.s., ani też nie jest w stanie stwierdzić przypadków plagiatów w pracach naukowych.

Wyspecjalizowani „profesorowie” są bezradni w wykrywaniu plagiatów na poziomie pracy magisterskiej, a co dopiero na wyższych poziomach. Czasami zresztą nie widzą nic złego w „plagiatowaniu” prac (czy ich fragmentów), skoro niejednokrotnie sami doszli do szczytów oficjalnej kariery metodami wątpliwej wartości etycznej.

Powiem więcej, w moim przekonaniu etyka jest źle widziana w środowiskach „naukowych”.

Za etyczne uważa się z reguły takie postępowanie, które służy do utrzymania się dożywotnio na zajmowanych stołkach, czy do obejmowania kolejnych, a za nie-

etyczne, takie, co takiemu „rozwojowi” przeszkadza. Projektodawca kodeksu etycznego, który by takie rozumienie etyki naruszał, musi się liczyć, że zostanie wykluczony ze środowiska, z towarzystwa „naukowego” za niegodne postępowanie (służę przykładami).

W konkursach na profesorów uniwersytetu często stawia się wymóg nieskazitelnej postawy etycznej. Ale arbitrami są „profesorowie” zasłużeni na polu walki o utrzymanie „jedynie słusznej” interpretacji etyki pracownika nauki.

Twierdzi Pan, że „Istnieje pewien pułap, który wszyscy chcący otrzymać określony stopień czy tytuł naukowy muszą osiągnąć”.

Panie Profesorze! Albo ten „pułap” został źle zdefiniowany, albo komisje nie są kompetentne aby go zidentyfikować.

Taki nasuwa się wniosek z licznych faktów niezdolności posiadaczy „pułapu” profesora do samodzielnej pracy naukowej i edukacyjnej. Jednocześnie „pułap” ten oznacza często niepospolite wręcz zdolności do podpisywania się pod działalnością tzw. „niesamodzielnych” pracowników, pod działalnością

„miernot” nie rokujących żadnej nadziei na osiągnięcie poziomu oficjalnego profesora.

Mogę Pana Profesora zapewnić, że „jedynie słuszne” opinie: „zero moralne”, „naukowe”, „edukacyjne” czasami stanowią większy komplement, i w gruncie rzeczy uznanie dla działalności naukowej i edukacyjnej, niż wszelkie oficjalne nadania tytułów „naukowych”.

Warto zwrócić uwagę, że „zera edukacyjne”, często nawet po opuszczeniu uczelni, traktowani są przez „popsutych” przez siebie studentów jak profesorowie.

„Zera naukowe”, którym w Polsce proponuje się np. rolę „stołkowego” na sponsorowanych przez KBN sympoziach „naukowych” są natomiast zapraszani na międzynarodowe kongresy naukowe, na których prowadzą np. sesje naukowe, są recenzentami prac do czasopism zagranicznych czy recenzentami dorobku naukowego zagranicznych badaczy, konspiracyjnie utrzymują szeroką współpracę międzynarodową. Widać jak daleko światowej nauce do jedynie słusznej „nauki polskiej”, do jedynie słusznych ocen rad „naukowych”, Centralnych Komisji czy zwykłych „koryfeusz”.

Z mojego doświadczenia uzasadniony jest podział prac na prace doktorskie, habilitacyjne i naukowe. Przy czym

jasno należy stwierdzić, że te pierwsze, a często (może nawet częściej też te drugie) rzadko spełniają kryteria prac naukowych. Trzeba je pisać pod recenzentów bo inaczej jako „mierne”, „nie spełniające kryteriów” zostają odrzucane.

Wcześniej taka selekcja następuje już na etapie zamierzeń, na etapie starań o granty. Częściej prace nie-doktorskie, nie-habilitacyjne wnoszą coś do nauki s.s. co widać z ich cytowania w literaturze naukowej i ze wściekłej reakcji „profesorów” (w tym członków CK).

Z Pańskiej wypowiedzi wynika, że zdobywanie tytułów to na ogół główny cel w polskim systemie „nauki”.

Po uzyskaniu tytułu nie ma po co się starać o dalszy awans.

To bardzo dobrze odzwierciedla system „nauki” polskiej (nie mylić z nauką s.s.) której celem nie jest poznawanie prawdy, wnoszenie czegoś do nauki s.s., a tylko zdobywanie tytułów nadawanych przez jakiś organ KONCESYJNY.

Trzeba tylko dobrze baczyć, aby jakiś „niepożądany element” takiego tytułu nie dostał, a potem wszystko idzie już gładko.

Jednomyślnie, jednogłośnie można wtedy zmieniać nawet fakty (nawet strukturę geologiczną gór!) żeby „udowodnić” to, co chce się udowodnić, a jak się komu nie podoba – to won!, zgodnie z doktryną realizowaną od czasu stanu wojennego w najstarszej polskiej uczelni, która odnawia swoje mury, ale w której odnowienia moralnego i intelektualnego, jak nie widać, tak nie widać.

W placówkach, z nazwy naukowych, organizuje się specjalne posiedzenia rad „naukowych”, na których zapadają wiążące decyzje, że taki to a taki (warchoł, pieniacz, psuj młodzieży) tytułu nigdy nie dostanie i czystość kasty jest utrzymana w należyтым stanie.

Zresztą i wcześniej podejmowane są skuteczne środki zapobiegawcze pozbawiające niepokornych pracowników, z których kasta panujących „koryfeuszy” osobistych korzyści nie może się spodziewać, dostępu do środków płatniczych rozdzielanych między siebie (np. spektakularne zwycięstwa rodzin KBN-owskich w „konkursach” na granty), do aparatury (np. sprawne komputery mogą służyć do badań pasjansów, ale nie do pracy naukowej! na naukę nie ma bowiem pieniędzy!), możliwości oficjalnych wyjazdów zagranicznych (w tych

godnie polską naukę reprezentują pracownicy nie-naukowi, na co KBN chętnie przeznacza środki podatników, bo na naukę nie ma pieniędzy!).

Dobrze jest widziane oskarżanie o negatywne oddziaływanie na młodzież pracowników, cieszących się, na swoją zgubę (!), zbyt dużym autorytetem intelektualnym i moralnym wśród studentów.

Pracownicy, którzy mimo nie przyznania im środków na badania, nadal badania naukowe kontynuują, i publikują w czasopismach zagranicznych czy ogólnopolskich, a nie w „instytutowych” (czyli do kosza! zgodnie z nakazami zarządców folwarków „naukowych”) muszą się liczyć z oskarżeniami o brak osiągnięć naukowych.

Pracownicy, którzy mimo jednomyślnych ustaleń komisji KBN o niekorzystnym wpływie kongresów naukowych na rozwój naukowy człowieka niepokornego, w takich kongresach konspiracyjnie biorą udział, muszą się liczyć ze skazaniem na dożywotnią śmierć naukową i edukacyjną, przynajmniej na terytorium kastowego państwa, w którym zgodnie z wykładnią stanowionego prawa obowiązuje zasada „jeśli prawda jest inna, tym gorzej dla prawdy”.

Przenoszenie w stan dożywotniej nieszkodliwości dla nauki i edukacji „profesorów” niszczących niewygodnych

pracowników nauki (a jeśli ich nie ma pod ręką, to ich zbiory naukowe) o ile mi wiadomo w naszym prawodawstwie nie istnieje.

To dobrze tłumaczy naszą zapaść cywilizacyjną i tzw. lukę pokoleniową w nauce i edukacji.

Panie Profesorze! Ja nie mogę w zgodzie z własnym sumieniem nazywać Profesorem nauki, kogoś kto taki tytuł od Pana (Pańskich poprzedników) dostaje (-ł) a nie zezwala na publikowanie poglądów odmiennych od obowiązujących, nie zezwala na finansowanie prac, które podważają (mogą podważyć) jego „jedynie słuszne” opinie, kto fabrykuje fałszywe oskarżenia w celu zniszczenia niewygodnego pracownika.

Panie Profesorze! Dla mnie tam się kończy nauka, gdzie kończy się możliwość swobodnego poszukiwania prawdy, swobodnej naukowej dyskusji.

Ja mam uzasadnione wątpliwości czy zdobycie tytułu jest celem (czy winno być celem) pracy naukowej.

Ja mam pewność, że o tytułach (a przede wszystkim o losach pracowników nauki i nauki) bardzo rzadko decydują w Polsce PROFESOROWIE NAUKI.

Pozbawianie ludzi jakichkolwiek szans w oficjalnej nauce tylko dlatego, że Pan Bóg dał im rozum a Matka nauczyła rozumienia słowa pisanego jest hańbą polskiego systemu nauki i edukacji.

(Niżej podpisany jest byłym wykładowcą UJ, byłym pracownikiem PAN, byłym Redaktorem Rocznika Polskiego Towarzystwa Geologicznego, byłym członkiem tego towarzystwa i byłym...byłym... byłym...)

Z poważaniem

Józef Wieczorek

Kraków, 30 czerwca 1997 r.

NAJWYŻSZY CZAS, lipiec 1997

UDAR MÓZGU

Tytuł artykułu prof. Łukasza A. Turskiego o sytuacji nauki polskiej („Udar mózgu”, nr 43) wskazuje, że jej stan to poniekąd problem medyczny.

Niewątpliwie długo nie leczona „choroba profesorów” daje o sobie znać.

Zatrudnieni w skansenach nauki i edukacji dożywotni profesorowie, często – korzystając z przysługującej im autonomii – blokują wszelkie reformy.

Profesorskie posady dają poczucie bezpieczeństwa i możliwość dorabiania na boku.

Jak słusznie zaznaczył autor artykułu, tylko nieznaczna część środków KBN jest przeznaczana na badania, reszta to marnotrawstwo.

Konkursy na granty nierzadko wygrywają członkowie komisji rozstrzygającej o przyznaniu pieniędzy lub członkowie ich rodzin.

W swych biuletynach KBN publikuje tylko nakłady na realizację danego tematu, broni się jednak przed ujawnieniem rezultatów badań, np. spisu publikacji. Dlaczego?

JÓZEF WIECZOREK

Kraków

Tygodnik „Wprost”, Nr 831 (01 listopada 1998)

KATEDRA SOCJALIZMU

Duże brawa dla redakcji za opublikowanie celnego artykułu Agnieszki Filas („Katedra socjalizmu”, nr 39), będącego ważnym głosem w dyskusji nad nowelizacją ustawy o szkolnictwie wyższym.

Niestety, projekt ustawy raczej petryfikuje patologiczny stan szkolnictwa wyższego i nie stwarza nadziei na odrzucenie dziedzictwa komunizmu.

Beton akademicki jest trudniejszy do rozkruszenia niż beton partyjny.

Aby uzupełnić artykuł, warto jeszcze dodać główną tezę wystąpienia Senatu UJ z dnia 24 maja 2000 r., obarczającego władze RP odpowiedzialnością za „niebezpieczne osłabienie tempa pracy naukowej oraz rozwoju młodszej kadry naukowej, obniżenie poziomu nauczania w szkołach wyższych, nadszarpnięcie więzi kadry nauczającej ze studiującą młodzieżą”.

Członkowie Senatu ani słowem nie wspomnieli, że przestrzegając „prawa” z okresu stanu wojennego (ustawa z 1982 r. pozwalała na skazywanie na śmierć zawodową niewygodnych nauczycieli akademickich przez anonimowe komisje, bez szansy obrony przed jakąkolwiek instancją), sam jest winien obecnej sytuacji uczelni.

No cóż, jak pisze pani Agnieszka Filas, widmo komunizmu nadal krąży nad polskimi szkołami wyższymi

JÓZEF WIECZOREK

Kraków

Tygodnik „Wprost”, Nr 931 (01 października 2000)

Królowie nauki

Autor artykułu „Królowie nauki” (nr 14) pisze, że w USA średni czas pracy naukowca wynosi 57 godzin tygodniowo.

Kiedy byłem zatrudniony w placówce PAN, pracę naukową prowadziłem głównie w konspiracji, w czasie weekendów i urlopów.

Na co dzień pracownicy zobowiązani byli do działalności paranaukowej, stanowiącej podkładkę do rozliczeń z KBN, a osobnik, u którego wykryto zainteresowania naukowe, był dyskwalifikowany.

W polskich placówkach badawczych czy na uczelniach zatrudnienie Einsteina nie tylko byłoby bezcelowe, ale i niemożliwe.

Etaty zajmowane są w drodze tzw. otwartych konkursów, które winny być jednak określane „przewodami do

obsadzenia stanowiska przez wyselekcjonowanego kolegę
czy członka rodziny zatrudnionej już w takiej jednostce”.

T

ak się odbywa rekrutacja nauczonych nauki polskiej, w
Polsce zatem uczeni żyją na próżno, bo nie są użyteczni.

JÓZEF WIECZOREK

Kraków

(Tekst opublikowany w numerze 25 WPROST (2002))

NIK w szkołach wyższych – polemika

Krzysztof Królas w artykule NIK w szkołach wyższych – (Rzeczpospolita 13.08.2002) krytykuje raport NIK-u, ([„Informacja o wynikach kontroli odpłatności za studia w państwowych szkołach wyższych](#) (Nr ewid. 163/2002) Skrót prasowy, który *„napisany jest bez zrozumienia procesów zachodzących w uczelniach”*, a autorzy raportu *„nie chcą przyjąć do wiadomości informacji płynących z samych uczelni”*.

Jako czytelnik artykułu K. Królasa nie mam jednak pewności, czy autor tego artykułu te procesy rozumie, i czy pozostaje w zgodności z informacjami płynącymi z uczelni.

Autor m. in. pisze *„Od początku lat dziewięćdziesiątych szybko wzrasta efektywność wyższych uczelni państwowych”* i dalej *„Efektywność zwiększana jest nie przez zmniejszenie zatrudnienia, lecz dzięki zwiększeniu liczby studentów”*.

Tym samym autor stara się chyba wykazać, że miarą efektywności nauczania w uczelniach jest ilość wydanych przez uczelnie dyplomów.

Nie dam się nabrać na taką argumentację.

Nie wierzę w przechodzenie ilości w jakość, a stosowanie takich pomiarów efektywności uczelni nie najlepiej świadczy o poziomie zarządzających uczelniami.

No cóż, jak sami często argumentują, najlepsi z uczelni odchodzą, więc u tych, którzy pozostają można spodziewać się trudności w logicznym myśleniu.

NIK niestety wykazał, że *„We wszystkich kontrolowanych uczelniach rozwój ilościowy i jakościowy kadry nauczycieli nie nadążał za wzrostem liczby studentów”*, co jest zgodne z odczuciem sporej części społeczeństwa nauczanego, jak i uczącego, o czym można się przekonać studiując polemiki w mediach i np. na forach dyskusyjnych.

Ale K. Królas replikuje *„To, co dla władz uczelni jest powodem do dumy, jest naganne w oczach kontrolerów”*.

Dlaczego nienadążanie rozwoju jakościowego kadry nauczycieli za wzrostem studentów ma być powodem do dumy władz uczelni, tego K. Królas nie podaje.

Ja bym z tego nie był dumny. Wręcz przeciwnie.

Rektor AGH przynajmniej się czerwienił po przeczytaniu raportu NIK. Nie wiedział jaką uczelnią kieruje! No cóż, zajmował się ostatnio budową pomnika swojej żony na swojej uczelni i propagowaniem budowy gondoli, która by studentów z akademików wprost na sale wykładowe dowoziła.

Na takie projekty nie stać biedne uczelnie zachodnie. Co innego u nas. Bieda naszych uczelni i naszych uczonych jest inna. Ma ona przede wszystkim wymiar moralny.

Raport NIK, wbrew twierdzeniom K. Królasa, zdaje się być oparty na informacjach płynących z uczelni.

To przecież Senat UJ na posiedzeniu w dniu 24 maja 2000r. ogłosił apel, w którym czytamy: „*doszło do niebezpiecznego osłabienia tempa pracy naukowej oraz rozwoju zwłaszcza młodszej kadry naukowej, do*

obniżenia poziomu nauczania w szkołach wyższych, do nadszarpnięcia więzi kadry nauczającej ze studiującą młodzieżą”.

Generalnie jest to zgodne z raportem NIK, który chyba ze zrozumieniem zapoznał się z pismami władz uczelni reprezentowanej przez prorektora UJ – K. Królasa.

W artykule K. Królas jednak nie podaje, że jako autor nie zgadza się z apelem senatu, który jako prorektor chyba akceptował.

Dlaczego władze uczelni w całości odrzucają raport NIK, który przynajmniej w części jest zgodny z tym, co uczelnie głoszą?

Faktem jest, że uczelnie upatrują jedynie przyczyn finansowych w obniżeniu jakości nauczania zatajając rzeczywiste przyczyny.

Istotne znaczenie odegrała tu redukcja kreatywnej kadry nauczającej w związku ze stosowaniem „prawa” stanu wojennego dla wyeliminowania jednostek zbyt aktywnych naukowo, cieszących się zbyt dużym poważaniem wśród młodzieży akademickiej, zbyt otwarcie mówiących o patologii uczelni. Po usunięciu niewygodnych nauczycieli

w okresie stalinowskim, nauczyciele na ogół wracali na uczelnie po kilku latach, po usunięciu niewygodnych nauczycieli w okresie jaruzelskim, uczelnie nadal są zamknięte dla dysydentów, mimo upływu kilkunastu już lat. To daje wyobrażenie o skali problemu. Papież nawołuje „Nie lękajcie się”, rektorzy wiwatują, ale nie lękających się uważają za element niepożądany na swoich uczelniach. Widać, że się ich lękają.

Uczelnie pozostały skansenami nie do końca upadłego systemu komunistycznego i bronią się przed zmianami systemowymi domagając się tylko jak największych dotacji z kieszeni podatnika na swoje funkcjonowanie.

Opracowując zmiany ustawy o szkolnictwie wyższym unikają jak ognia wprowadzenia elementów systemu amerykańskiego argumentując, że nie przystaje on do naszych warunków.

Poniekąd to prawda. Tam na jeden etat w uczelni jest i po 100 kandydatów, a u nas zwykle tylko jeden. Nie ma z czego wybierać. Rzekomo!

Pomija się bowiem fakt, że u nas jest to kandydat już z góry upatrzony – swój człowiek, często krewny, a

zmienne kryteria konkursów są dostosowywane do poziomu kandydata, który ma go wygrać.

Jeśli ktoś reprezentuje poziom wyższy, to nie spełnia (gorzej spełnia) on warunków konkursu!!!

Jest co najwyżej najlepszy abstrakcyjnie, najlepsi konkretnie są sami swoi, bez względu na kwalifikacje i dorobek. Tak wygląda rekrutacja kadr nauczycieli na wyższych uczelniach.

Genetyczno-towarzyskie kryteria w polityce kadrowej uczelni, niezgodne zresztą z Konstytucją III RP i elementarnymi prawami człowieka, świadczą o ciężkiej chorobie systemu szkolnictwa wyższego w Polsce. Ta choroba jest poza nadzorem MEN.

Autor pisze , że *„Pouczone może być porównanie polskich uczelni z uczelniami w zachodniej Europie”*.

Trudno się z tym nie zgodzić. Niestety nie ma jakościowych porównań między takimi uczelniami. A szkoda. Opracowanie rankingu uczelni europejskich w oparciu o mierzalne i zasadne kryteria byłoby bardzo pożądane.

Niestety mamy jedynie rankingi polskich szkół, a i te niewiele mówią o ich jakości. Często oparte są na danych wziętych „z sufitu”, albo na danych świadczących nie o jakości nauczania, czy o jakości badań, ale o poziomie marnotrawstwa publicznych pieniędzy (np. stosowane w rankingach kryterium ilości otrzymanych przez uczelnie grantów bez uwzględnienia ich efektów).

KBN nie prowadzi nawet wykazu publikacji, które winny powstać w ramach realizacji grantów!!! i nic sobie nie robi z krytycznej kontroli NIK.

Ani arcydzieła „najlepszych z najlepszych”, ani nawet lakoniczne informacje o tych arcydziełach nie są dostępne dla społeczeństwa).

Uczelnie nic sobie nie robią z raportów NIK. Stosują zasadę „Jeśli fakty są inne, tym gorzej dla faktów” i odwracają kota ogonem (patrz podtytuł w artykule –Tym gorzej dla faktów).

Niestety uczelnie przypominają orwellowskie Ministerstwo Prawdy, w którym wartości mają odwrócony znak.

Rektorzy mówią o poszukiwaniu prawdy, ale za próby poznania prawdy o uczelniach wyrzucają pracowników i studentów.

W ramach „poszukiwania prawdy” czyszczą niewygodne akta, uzupełniają je nowymi tekstami, wydają niezgodne z prawdą historie swoich jednostek (np. Uniwersytet Jagielloński z okazji 600-lecia swojego odnowienia), nie dopuszczają do publikacji tekstów weryfikujących fakty, podważających oficjalne opinie.

Jednym z głównych celów edukacji jest rozwinięcie poczucia własnej wartości u nauczanych.

Ale w naszych uczelniach posiadanie rozwiniętego poczucia własnej wartości jest cechą nie do zaakceptowania.

Polityka kadrowa uczelni nie przewiduje zatrudniania takich jednostek, również polityka kadrowa autora artykułu – K. Królasa – prorektora UJ ds. polityki kadrowej i finansowej.

Niestety raport NIK o tym nie mówi. Dotyczy jedynie wycinka działalności uczelni, stąd musi budzić niedosyt.

Należałoby oczekiwać w najbliższym czasie raportów NIK o innych patologicznych zjawiskach w uczelniach, a w szczególności: o polityce kadrowej, o fikcji edukacyjnej i także badawczej uprawianej w uczelniach (również w tych z samych szczytów naszych rankingów), o wieloletowości i bezetatowości!!! nauczycieli akademickich, o dostępie do informacji na uczelniach.

Raporty w większym stopniu winny nadawać się nie tylko do wykorzystania przez zarządzających uczelniami, ale winny także stanowić podstawę do zmian prawnych, które by patologie uczelni ograniczały.

Józef Wieczorek

Część tego tekstu (ok. 1/3) ukazała się w Rzeczpospolitej 2002.10.01 po miesięcznych pertraktacjach z Redakcją oraz odwoływaniu się do kodeksu etycznego.

System zamknięty i niereformowalny

Kiedy nauka w Polsce stanie się częścią nauki światowej? Komitet Badań Naukowych ma być przekształcony w ministerstwo nauki. Taki jest plan władz KBN. Minister nauki ma decydować o dzieleniu pieniędzy, a uczeni jedynie doradzać i opiniować. Uczeni nie chcą się jednak pozbyć autonomii. Czy powstanie ministerstwa nauki oznacza próbę reformy nauki w Polsce? Można w to wątpić. Brakuje programu zmian systemowych.

Nauka w Polsce jest chora, została wyodrębniona od nauki sensu stricto jako tzw. nauka polska ze specyficznymi dla niej cechami, jak:

dominacja stopni i tytułów nad osiągnięciami naukowymi,
brak dostępu do informacji o rezultatach badań,
brak kontroli i możliwości krytyki poczynań autonomicznych korporacji.

Raporty NIK wskazują od dawna na nadużycia w KBN, zgodne z odczuciami obywateli obserwujących znikanie

swoich pieniędzy księgowanych po stronie wydatków na naukę. Ale KBN nic sobie z tego nie robi.

Uczni chcą zachować autonomię, ale polega ona głównie na przyznawaniu pieniędzy sobie i swoim, bez żadnej kontroli. Władze KBN chcą ten problem rozwiązać, ale proponują tylko przejęcie dzielenia pieniędzy przez siebie. Tego nie można nazywać reformą.

Istnieje uzasadnione domniemanie, że chodzi głównie o przejęcie łatwego dostępu do kieszeni podatnika. Nie ma programu naprawy kuriozalnego systemu nauki w Polsce, tak aby był kompatybilny z systemem nauki na przykład w USA. Profesorowie tego nie chcą. Utraciliby swoje strefy wpływów. Na obecny system narzekają, ale w gruncie rzeczy jest im z tym dobrze. Mają autonomię, mogą robić, co chcą, za nic nie odpowiadają. Domagają się zmian, ale tylko takich, które by niczego zasadniczo nie zmieniły, a przyniosły większe pieniądze do podziału bez kontroli.

Może by można coś zmienić, gdyby system został otwarty nie na urzędników, jak się projektuje, ale na międzynarodowe społeczeństwo nauki. Ale to zagraża

decydentom – profesorom, którzy sami siebie opiniują, a każdy przejaw krytyki ich poczynań czy poglądów, jak za czasów Najwyższego Językoznawcy, kończy się skazywaniem niepokornych na śmierć naukową. Eliminuje się w ten sposób myślących niezależnie: „Stłucz pan termometr, nie będziesz miał pan gorączki” – to jest metoda walki z nadużyciami w nauce polskiej. Za pomocą tłuczenia „termometrów” nie poprawiono jednak stanu nauki w Polsce.

System nauki w Polsce jest zamknięty i – zdaje się – niereformowalny. Sytuacja jest patowa.

Rząd nie proponuje otwarcia systemu nauki w Polsce, a co najwyżej ratowanie tzw. nauki polskiej.

Wygląda na to, że po przejęciu finansów wszystko ma pozostać po staremu, a nauka polska ma konkurować z nauką zachodnią jak w „dobrych” komunistycznych czasach.

Kiedy nauka w Polsce stanie się częścią nauki światowej? W ramach budowy społeczeństwa informacyjnego

społeczeństwo nie jest o tym informowane, tak jak nie jest informowane o arcydziełach naukowych powstających za jego pieniądze. Do tych „arcydzieł” tworzonych przez „najlepszych z najlepszych” nie ma dostępu, i to nie dlatego, że jest społeczeństwem analfabetów funkcjonalnych.

KBN stworzył bazę „niedanych” na temat projektów badawczych (strona <http://www.opi.org.pl/>), która, niestety, nie została poddana kontroli NIK. Plan utworzenia ministerstwa nauki nie zakłada, jak się zdaje, wprowadzenia jawności w życiu naukowym, a bez tego nie ma nauki sensu stricto, jest co najwyżej nauka polska.

Józef Wieczorek

Autor jest geologiem, byłym wykładowcą UJ.

UWAGA: Tekst ukazał się na łamach Rzeczpospolitej – 2002.10.24

Reformy bez głowy

Ostatnie raporty NIK o marnotrawstwie grosza publicznego w szkołach wyższych i w KBN wywołują sporo emocji. Informuje na ten temat prasa, ale rektorzy uczelni, jak również KBN, odrzucają zarzuty NIK oraz mediów.

Raporty NIK mają być upolitycznione a media podają informacje nierzetelne. Jeśli głos zabierze ktoś niezależny to zostanie ochrzczony mianem frustrata, nieudacznika, ignoranta.

Zamiast dyskusji merytorycznej – epitety.

Prasa po kontroli NIK lamentuje, że zmarnowano aż 2 mln zł z kieszeni podatnika. Jeśli KBN zmarnowałaby tylko 2 mln zł to nie byłoby powodu do lamentu, lecz powód do uznania.

Gdyby tak było, to nie powinno się reformować KBN, lecz inne ministerstwa aby wzorem KBN marnotrawiły najwyżej 2 mln w swojej działalności.

Tak jednak nie jest. To KBN ma być reformowane i głównie aspekt finansowy jest przedmiotem planowanej reformy. Chodzi o to aby finanse były w rękach ministra a nie uczonych. Można się domyślać, że nie chodzi tu o 2 mln, lecz o znacznie poważniejsze marnotrawstwo pieniędzy publicznych.

Bazy niedanych KBN

Niestety merytoryczna dyskusja na temat marnotrawstwa grosza publicznego jest trudna, gdyż KBN nie udziela rzetelnych informacji na ten temat naruszając tym samym ustawę z dnia 6 września 2001 roku o dostępie do informacji publicznej (Dz.U. Nr 112 z dnia 8 października 2001 r.)

KBN mimo wielu już lat pracy nad bazami danych rzetelnych baz danych nie posiada. KBN bierze aktywny udział w budowie społeczeństwa informacyjnego. Ma wyodrębnione struktury zajmujące się tą budową, ale informacje na temat wykorzystania pieniędzy podatnika na badania są tajne. Jeszcze w 1996 r. podsekretarz stanu J.K. Frąckowiak informował mnie, że KBN nie

prowadzi wykazu publikacji ukazujących się w wyniku realizacji grantów. Prowadzi tylko wykaz tematów i kwot wydanych na te tematy.

Co zrobiono za te pieniądze nie było przedmiotem zainteresowania KBN.

Jeśli pytał o to podatnik to traktowano go jak gamera, który nie wie jak do danych trafić, lub jak analfabetę funkcjonalnego, który nie umie zrozumieć prostego tekstu czy tabeli.

Jeśli amerykańscy uczeni wyślą sondę badawczą na Marsa a ta milczy, to uczeni grzecznie tłumaczą się przed zainteresowanymi podatnikami amerykańskimi czemu tak się stało. Jeśli nie potrafią wytłumaczyć to mogą nie dostać pieniędzy na dalsze badania. U nas podatnik traktowany jest jak intruz przeszkadzający w jedynie słusznym wydawaniu pieniędzy przez KBN. Podatnik nie ma wpływu na wydawanie jego pieniędzy.

Kiedy sprawdziłem bazę danych KBN w internecie, do której odsyłali mnie ministrowie nauki, stwierdziłem, że co najwyżej 10% projektów badawczych kończy się jakimiś wynikami dostępnymi dla podatnika.

W tabelach, tam gdzie winny być opisane wyniki badań rubryki były na ogół puste, a obecnie je na ogół zlikwidowano. Nie ma na ogół żadnych informacji na ten temat.

Czyli nie wiadomo na co zostały przeznaczone pieniądze podatnika.

Narusza to obywatelskie prawa podatnika do informacji!!! Tam gdzie są podane rezultaty często widać jak mierne one są.

Można powątpiewać czy rezultaty warte są tych nakładów jakie zostały przeznaczone na dany projekt. Bardzo często rezultaty (o ile są) są mizerniejsze od rezultatów projektów beznakładowych, realizowanych przez entuzjastów, pozbawionych finansowania przez KBN.

Odnosi się wrażenie, że ministrowie nie wiedzieli czym się kończą projekty i co zawierają ,bazy danych'.

Inna interpretacja, że to ja jestem analfabetą funkcjonalnym, nie jest tu zasadna.

Prawdziwość moich informacji można sprawdzić na stronie <http://www.opi.org.pl/>. Wcześniej te „wyniki” widniały na stronie <http://badis.man.poznan.pl/>

Ja nie mam trudności w rozumieniu logicznie i przejrzysto opracowanych tabel ani tekstów, i nie mam trudności w zapoznaniu się z wynikami projektów badawczych realizowanych w innych krajach, mimo że na te badania nie płacę ani złotówki.

Nie mam jednak dostępu do wyników badań, które współfinansuję wraz z innymi podatnikami. To nie może być zgodne z prawem!!!

Należy domagać się bezzwłocznego umieszczenia informacji o rezultatach projektów badawczych i o zwrot pieniędzy na projekty, które nie zakończyły się istotnymi rezultatami. To są sumy dziesiątek, jeśli nie setek milionów złotych !

Parametryczna lipa

KBN wprowadził ostatnio zasady parametrycznej oceny jednostek naukowych.

Według tej oceny KBN kategoryzuje jednostki i finansuje je w zależności, którą kategorię jednostka otrzymała.

Rzecz w tym, że brak jest bazy danych tych parametrów.

Jeśli parametry nie są znane, nie może być mowy o ocenie parametrycznej. Jeśli parametrybrane są z sufitu, to to jest oszustwo.

Ważnym parametrem jest m.in. liczba profesorów zatrudnionych w jednostce. Ale z niedawnej wypowiedzi przewodniczącego KRASP na łamach „Rzeczpospolitej” wynika, że nie ma bazy danych także odnośnie profesorów.

Profesor może być zatrudniony na kilku, a nawet kilkunastu etatach.

Na to zezwala nasze kuriozalne prawo. Profesor może odstawiać lipę (czy można rzetelnie pracować na kilkunastu etatach ???), ale od tej lipy zależy poziom finansowania jednostki.

Ta lipa może być do n-tej potęgi, bo nie ma bazy danych, i lipa profesorska może być liczona wielokrotnie.

Lipa to jest dobra na przeziębienie, ale nie na podział pieniędzy podatnika księgowanych po stronie wydatków na naukę.

Co tak naprawdę KBN finansuje za pieniądze podatnika

KBN został powołany aby finansować za pieniądze podatnika naukę prowadzoną w Polsce.

W rzeczywistości widzimy, że KBN w zróżnicowany sposób finansuje przede wszystkim uznawane przez siebie jednostki z nazwy naukowe.

Jeśli ktoś pracuje naukowo, tj. tworzy prace naukowe publikowane w dostępnych periodykach a nie jest zatrudniony w takiej jednostce, to nie ma szans na otrzymanie pieniędzy od KBN.

Można samemu tworzyć realną jednoosobową jednostkę naukową ale to do nauki polskiej się nie liczy. Gdyby dokonać rzeczywistej oceny parametrycznej jednostek jednoosobowych i jednostek uznawanych przez KBN to by się zapewne okazało, że jednostki jednoosobowe są bardziej naukowo wydajne.

Ala ta wydajność naukowa przekreśla je w systemie KBN.

Ktoś powie, skoro ktoś pracuje naukowo to niech się zatrudni w jednostce uznawanej przez KBN.

Rzecz w tym, że takie jednostki zbyt wydajnych i zainteresowanych autentyczną działalnością badawczą zatrudniać nie chcą.

Wolą dobierać sobie badaczy na bazie kryteriów genetyczno-towarzyskich, a nie merytorycznych. I to nie jest margines nauki w Polsce. To jest raczej standard. Jeśli ja jestem w błędzie i jest inaczej, to oczekuję od decydentów realnych decyzji w zakresie zatrudniania aktywnych naukowo a zwolnienie jednostek nieaktywnych, finansowanych przez podatnika.

Gdyby KBN płacił za rezultaty badań, bez względu na miejsce zatrudnienia czy niezatrudnienia badacza to za mniejsze pieniądze mielibyśmy więcej uznawanych w nauce światowej publikacji.

Ale jak wskazuje analiza danych o projektach badawczych KBN finansuje obiecanki-cacanki a nie rezultaty badań naukowych.

Jak podała 2 lata temu „Rzeczpospolita” na jednego naukowca w Polsce przeznaczana się tylko 45 667 USD. Ponieważ nakłady na naukę ostatnio nieco spadły być może jest to obecnie kwota nieco niższa.

Jest to kwota niewątpliwie skromna w porównaniu z wydatkami w krajach zachodnich, nawet kilkakrotnie większymi, ale jest to kwota olbrzymia w porównaniu z kwotą 0 zł przeznaczaną na finansowanie jednoosobowych jednostek aktywnych naukowo.

Warto zaznaczyć, że przy układaniu rankingów uczelni m.in. uwzględnia się ilość finansowanych przez KBN projektów a nie jakość rezultatów osiągniętych w efekcie ich realizacji. Im więcej otrzymanych pieniędzy tym wyższe miejsce w rankingu.

Rezultaty nie mają znaczenia.

Im większe marnotrawstwo tym lepiej ! ?

W procesie przyznawania grantów KBN wygrywali na ogół sami swoi, członkowie jury oceniających projekty, ich rodziny i koledzy.

To się na ogół nazywa sytuacją korupcyjną, lub wręcz jasno korupcją czy nepotyzmem.

Ale w nauce polskiej to się określa stosunkami przyjacielskimi.

Jeśli ktoś jest przyjacielem samego siebie czy swoich pociech to wszystko jest w porządku.

Ten proceder nieco ostatnio ograniczono. Członkowie jury już nie mogą bezpośrednio wygrywać konkursów (czyli samym sobie przyznawać pieniędzy na badania) chyba, że są promotorami. Wtedy w czasie głosowania wychodzą za drzwi. Rzecz w tym, że często mimo wychodzenia za drzwi też wygrywają. Okazuje się, że nadal są najlepsi, a rezultaty badań nadal są tajne.

Labirynt finansowo-wynikowy

Uczni wołają: dajcie nam pieniądze a wyniki same przyjdą. Otóż tak nie jest. Niektórzy pieniądze otrzymują, i to znaczne, a wyniki nie przychodzą. Jakby zagubiły się w skomplikowanym labiryncie.

W naszym systemie nauki nić Ariadny została przerwana. Czy planowana reforma naprawi nić Ariadny ?
Czy między nakładami na badania a jej wynikami będzie jakikolwiek związek?

Obecnie go nie ma. Wyniki „najlepszych z najlepszych”, którzy na badania dostali 100, 200, 300, 400 500 i więcej tysięcy złotych są nierzadko żadne, albo nie są dostępne dla podatnika.

Nie ma żadnej korelacji między nakładem na badania a ich wynikami.

Niejednokrotnie badania beznakładowe przynoszą lepsze wyniki, ale KBN nie chce płacić za wyniki, płaci za obietniki i nie widać zmian na lepsze mimo wielu już prób reformowania KBN.

14 listopada 2002 r. KBN ogłosił projekt ustawy o finansowaniu nauki, już w ramach Ministerstwa Nauki, w które KBN ma być przekształcony.

Nie ma w nim planu powiązania nakładów na badania z wynikami badań.

Nie ma planu ujawniania podatnikom rezultatów badań finansowanych z jego kieszeni.

Nie ma planu finansowania badań prowadzonych przez jednoosobowe jednostki naukowe, lub alternatywnie planów zatrudniania aktywnych naukowo w jednostkach badawczych.

Nie ma planu zwrotu pieniędzy wydanych przez KBN na badania, których rezultatów do tej pory nie ma, jak wynika z tzw. baz danych KBN.

Raczej w wielu sprawach jest petryfikacja stanu obecnego, z tym że sprawy finansowe z rąk uczonych przejmuje Minister Nauki.

Projekt ustawy nie jest powiązany z rozwiązaniami systemowymi w nauce, stąd jego pozytywne znaczenie jest raczej wątpliwe.

Bieda uczelni

Nie jest prawdą, że w uczelniach ludzie nie chcą pracować bo płace są niskie.

Nie jest prawdą, że przemysł odbiera najlepszych, bo lepiej płaci.

To przemysł u nas upada i nie tworzy zaplecza badawczego. Może właśnie dlatego upada, że takiego zaplecza nie tworzy, a uczelnie, wydziały, kierunki studiów, rosną jak grzyby po deszczu, mimo biedy. Uczelnie zatrudniają często byłych polityków, zapewne

idealistów, którzy nie chcieli się zatrudnić w dobrze płatnym przemyśle a tylko na biednych uczelniach aby realizować swoje posłannictwo szukania prawdy, której nie mogli znaleźć w polityce. Może jakiś przedszkolak w to uwierzy, ale i to nie jest pewne.

Werbalnie i statutowo ci, którzy są zatrudnieni na uczelniach to członkowie korporacji nauczanych i nauczających poszukujących prawdy.

Niektórzy tak intensywnie szukają prawdy, że zatrudniają się w kilku, kilkunastu uczelniach naraz.

Warto tu podkreślić, że osób posiadających duży dorobek naukowy i edukacyjny, cieszących się zbyt dużym poważaniem u studentów uczelnie nie chcą zatrudniać.

Zbyt duży to kontrast z producentami bubli edukacyjnych zatrudnionymi dożywotnio na uczelniach.

Jeśli jest inaczej, to należy oczekiwać od Panów Rektorów realnych decyzji w sprawie obniżenia intensywności poszukiwania prawdy i zatrudniania nauczycieli tylko na jednym akademickim etacie z zakazem produkowania bubli edukacyjnych.

Reformy bez głowy

Czy przejęcie finansów przez Ministra i urzędników zmieni coś na lepsze? Wątpliwe. To jest przecież powrót do niechlubnej przeszłości. Zmienić sposób finansowania nauki w Polsce na pewno należy, ale trzeba to zrobić z głową.

Jeśli dach cieknie nie ma sensu malować mieszkania. Wyrzuci się jedynie pieniądze na darmo.

U nas jednak tak przeprowadza się reformy.

Reformując szkolnictwo pod hasłem ,od przedszkola do doktora' nie zreformowano głowy – tj. uczelni wyższych, które przecież kształcą nauczycieli.

Tym samym nauczyciele zamiast być lokomotywą przemian stali się jej hamulcowymi. Reforma oświaty musi objąć szkolnictwo wyższe.

A reforma nauki nie może być oderwana od szkolnictwa wyższego. To musi być kompatybilne.

Ktoś kto nie jest kreatywny nie nauczy innych kreatywności.

A obecnie uczelnie nie chcą ludzi kreatywnych, lecz wyrobników dydaktycznych dla zapewnienia uczelni pieniędzy otrzymywanych od „łebka”.

Ilość nie chce przechodzić w jakość, więc mamy produkcję ogromnej ilości dyplomów a nie kreatywnych absolwentów.

Mamy bubel edukacyjny, wielkie oszustwo edukacyjne dla zapewnienia zatrudnionym na uczelniach lepszego bytu.

Na uczelniach zagranicznych profesorowie „stają na głowie” aby zyskać jak najlepsze noty u studentów. U nas tym którzy u studentów zyskują poważanie „głowy się ścina” a następnie roznieca się lament nad powiększającą się luką pokoleniową.

Uczelnie mają mentalność żebraków. Lamentują, że są biedne. To prawda. Ale uczelnie chcą jedynie pieniędzy, a nie chcą wędki, ani nawet bułki.

Jeśli ktoś zaproponuje obniżkę kosztów funkcjonowania uczelni, przez przyjęcie nauczycieli bardziej efektywnych, otrzyma odpowiedź – „nie widzę możliwości” .

Epidemia krótkowzroczności u decydentów edukacyjnych trwa mimo zmian ustrojowych bez obniżenia intensywności .

Jak wyjść z labiryntu

Niektórzy twierdzą, że brak jest polityki w dziedzinie nauki. Nie jest to takie pewne.

Skoro usuniętych w okresie stalinowskim przywracano do pracy w czasie odwilży, a usuniętych w okresie jaruzelskim nadal nie, to jest to określona polityka – bez odwilży w dziedzinie nauki.

Luka pokoleniowa jest rezultatem takiej polityki.

Uczelnie rozliczane są z ilości, a nie z jakości.

Nadal istnieje powołana 50 lat temu PAN odseparowana od szkolnictwa wyższego co zwiększa koszty badań a obniża poziom edukacji. Mimo planowanych reform nie przewiduje się rychłego włączenia struktur PAN w struktury uczelni wyższych.

Bez kompleksowej reformy nauki i szkolnictwa (w tym wyższego) nic tak naprawdę się nie zmieni.

Na obecną strukturę nauki można przeznaczyć z budżetu wielokrotnie więcej pieniędzy, a może nawet tyle co sam budżet, a poprawa nie będzie widoczna.

Sedno sprawy tkwi w tym, aby powiązać nakłady z wynikami, aby powiązać naukę z edukacją i gospodarką, aby poddać rzeczywistej kontroli wydawanie pieniędzy podatnika księgowanych po stronie wydatków na naukę. Bez tego nie będzie wyników, które nie przyjdą za pieniędzmi, lecz zagubią się w labiryncie.

Z obecnych 0,338 % PKB księgowanych po stronie wydatków na naukę, zapewne tylko niewielka część idzie na naukę, a spora część na działalność paranaukową lub wręcz antynaukową. Gdyby efektywnie zagospodarować te 0,338% to poprawa efektywności badań winna być widoczna, a społeczeństwo może by łatwiej było przekonać do potrzeby wydawania na naukę 3,38%.

Józef Wieczorek

UWAGA: Skrócona wersja tego tekstu ukazała się w ŻYCIU z dnia 18.11.2002

Polska moralność

Moje doświadczenia potwierdzają spostrzeżenie, że hipokryzja i podwójna moralność to zasady działania polskich elit politycznych („Polska moralność”, nr 7 .

Ten problem dotyczy także naszych elit akademickich (uczonych, nauczycieli akademickich). Różnice są jednak widoczne.

Politycy mają tylko immunitet okresowy, podczas gdy uczeni mają immunitet dożywotni.

Ponadto o hipokryzji i nikczemnych poczynaniach polityków wcześniej czy później gdzieś (np. we „Wprost”) można napisać, o hipokryzji i nikczemnych poczynaniach elit akademickich wydrukowanie czegokolwiek jest na ogół niemożliwe.

Politycy nie cieszą się także poważaniem wśród społeczeństwa, więc ich negatywne oddziaływanie na społeczeństwo jest mniejsze od negatywnego oddziaływania uczonych, którzy cieszą się niekiedy nieuzasadnionym autorytetem.

Z moich obserwacji wynika, że to właśnie uczelnie ze względu na swoją edukacyjną rolę i zasięg oddziaływania mają decydującą rolę w kształtowaniu się podwójnej moralności wśród polskich elit.

JÓZEF WIECZOREK

Kraków

Tygodnik „Wprost”, Nr 1056 (23 lutego 2003)

Przydałaby się nowa Komisja Edukacji Narodowej

W rozmowie z prof. Franciszkiem Ziejką, przewodniczącym Konferencji Rektorów Akademickich Szkół Polskich, rektorem Uniwersytetu Jagiellońskiego („Przydałaby się nowa Komisja Edukacji Narodowej” „Rz” 227, 29.09.2003 r.) czytamy, że projekt nowej ustawy przygotowywanej pod patronatem prezydenta stanowi próbę uporządkowania stanu edukacji wyższej, a wiele zapisów wiąże się z przystosowaniem do prawa Unii Europejskiej.

Niestety, nie jest to zgodne z prawdą.

Projekt stanowi petryfikację obecnego kuriozalnego stanu edukacji „wyższej” w Polsce i zapewnia jej swoistość w porównaniu ze standardami obowiązującymi w krajach Unii Europejskiej.

Członek zespołu prezydenckiego prof. Jerzy Dembczyński, rektor Politechniki Poznańskiej, przewodniczący Konferencji Rektorów Polskich Uczelni

Technicznych, pisze jasno w Forum Akademickim (nr 7-8) o projektach NSZZ „Solidarność” nawiązujących do standardów europejskich: „Takie rozwiązanie jest nie do przyjęcia przez środowisko naukowe. To jedna z kolejnych prób przeniesienia na grunt polski rozwiązań funkcjonujących w Stanach Zjednoczonych czy w Europie Zachodniej”.

Jest to dokładne zaprzeczenie tego, o czym mówi rektor Ziejka.

Spółeczeństwo w większości głosowało za przystąpieniem do Unii, ale w edukacji i nauce pracuje się nad tym, aby swoista „nauka polska” nadal nas wyróżniała od nauki światowej. Standardy europejskie są nie do przyjęcia przez „środowisko naukowe”.

W Polsce nadal mają być nieusuwalni profesorowie belwederscy, gdy natomiast nie ma profesorów „białodomowych” czy „elizejskich”, bo prezydenci w innych krajach nic nie mają do mianowania profesorów, jako że nauka jest autonomiczna i od prezydentów oraz premierów niezależna.

Całkiem inaczej niż u nas.

Zgodnie z ustawą namaszczeni przez prezydenta profesorowie nie będą zwalniani mimo braku rozwoju naukowego i kiepskiego poziomu edukacyjnego, a właśnie brak rozwoju naukowego i wykańczanie potencjalnych konkurentów jest niemal cechą diagnostyczną profesury polskiej.

Chlubne wyjątki potwierdzają jedynie niechlubną regułę. Mobbing u nas nie jest przestępstwem, mimo że jest przestępstwem w krajach Unii Europejskiej. Nie planuje się wprowadzenia instancji rzecznika (mediatora) akademickiego istniejącego w krajach unijnych czy w USA, więc utrwalany jest system autokratyczny. Z niewygodnym pracownikiem rektor może zrobić to, co zechce, bo w praktyce prawo mu na to zezwala.

Tak jest skonstruowany system nauki i edukacji w Polsce, i tak ma pozostać na wiele dziesięcioleci po przyjęciu przygotowywanej ustawy.

W nauce i edukacji powinno chodzić o poznawanie prawdy i uczenie innych, jak ją poznawać. (...)

Józef Wieczorek, Kraków

Rzeczpospolita 14.10.2003

INNA PRAWDA O UCZELNIACH

W Polsce upadają przedsiębiorstwa, ale uczelnie państwowe i niepaństwowe rosną jak grzyby po deszczu. W gospodarce kryzys, w edukacji rozwój – rośniemy w siłę mimo, że nie żyjemy dostatniej. Na rok 2003 MENiS wykazuje istnienie 380 uczelni wyższych, państwowych i niepaństwowych, które zatrudniają podobno ponad 70 tys. nauczycieli akademickich, a kształcą 1,8 mln młodzieży. Ilość to imponująca. Ale co z jakością? Jak ją mierzyć? Czy wzrost ilości szkół i ilości wydawanych dyplomów naprawdę oznacza rozwój edukacyjny ?

AKREDYTACJA BEZ INFORMACJI

Aby ocenić uczelnie, kierunki studiów powołano 28 grudnia 2001 Państwową Komisję Akredytacyjną umocowaną przy Ministerstwie Edukacji i Sportu. Niewiele o niej wiadomo bo nie ma własnej strony

internetowej ani nawet własnego e-maila, stąd kontakt z tą instytucją nie jest łatwy.

Pisze się o PKA co jakiś czas kiedy ogłasza ile to kierunków uprawniono a ile zawieszono w procesie wydawania dyplomów.

Państwowa Komisja Akredytacyjna stosuje skalę czterostopniową. Wystawia oceny negatywne, warunkowe, pozytywne i wyróżniające. Jak dotychczas są to najczęściej pozytywne, ale jest też niemało warunkowych, a nawet nieco negatywnych. Jak ocena jest negatywna to minister edukacji powinien zawiesić nabór albo rozwiązać szkołę.

Kryteria oceny kierunków są mniej więcej znane. Najistotniejsza jest ilość profesorów stąd zarzuty PKA dotyczą najczęściej właśnie braków w kadrze profesorskiej.

Aby dostać akredytację uczelnie piszą raporty samooceny a potem tzw. eksperci z odpowiedniego zespołu PKA przeprowadzają kontrolę na miejscu. Rozmawiają jak mówi szef PKA prof. Jamiołkowski z jak największą liczbą osób, pracowników i studentów. Niestety nie wiadomo

czy te opinie się jakoś mierzy czy waży. Nie widać żadnych ankiet dla oceny, nie widać także żadnych raportów pokontrolnych.

Systemy akredytacji istnieją w innych krajach, ale PKA nie należy ani do European Network for Quality Assurance in Higher Education <http://www.engq.net>, ani do International Network for Quality Assurance Agencies in Higher Education <http://www.inqaah.nl>.

Dlaczego?

Jeśli wyższe szkoły np. brytyjskie są oceniane to Polak bez trudu może znaleźć raporty pokontrolne <http://www.qaa.ac.uk>.

Niestety nie udało mi się znaleźć żadnych raportów pokontrolnych naszej PKA. Wyniki kontroli PKA są poza kontrolą obywateli polskich.

Sytuacja podobna jak w Komitecie Badań Naukowych, który ocenia placówki naukowe (też uczelnie) parametrycznie, ale wartości parametrów są chronione przed zainteresowanymi. Kontroli brak. Ustawa o dostępie do informacji jest, dostępu nie ma.

UTRWALANIE PATOLOGII

Edukacja w szkołach wyższych winna być ściśle związana z uprawianiem nauki przez nauczycieli akademickich. Jak ktoś nauki nie uprawia to nie może nauczyć studentów jak ją należy uprawiać i jak z niej korzystać.

Problem w tym, że w Polsce uprawiana jest głównie tzw. nauka polska, swoista kategoria wyodrębniona z nauki sensu stricto. Czy w uczelniach należy uczyć uprawiania takiej nauki? Ja nie sądzę.

Brak jest spójnej i kompleksowej reformy systemu nauki i edukacji w Polsce i tak naprawdę nikt tego nie chce. Wyniki sprawdzenia, czy dane szkoły są dobrze, czy gorzej dostosowane do obecnego systemu edukacji i nauki niekoniecznie muszą przynieść pożądane społecznie skutki, tj. podniesienie poziomu nauczania w szkołach wyższych.

Pozytywna ocena uczelni, kierunku studiów, nie musi świadczyć o jej pozytywnej działalności, a jedynie o lepszej przystosowalności do obecnego, raczej kuriozalnego systemu nauki i edukacji nauki.

Taka ocena może przynieść natomiast skutki niepożądane, gdy kierunki o poważnej patologii (ogromne marnotrawstwo pieniędzy podatnika np. na

granty bez rezultatów, rekrutowanie kadry na podstawie kryteriów genetyczno-towarzyskich itd.) zostają ocenione pozytywnie, czyli ich patologia zostaje zaakceptowana, a nawet wyróżniona.

Innym nie pozostaje nic innego jak tylko osiągnąć przynajmniej podobny stan patologii. Jeśli np. ważnym kryterium oceny uczelni, kierunku, jest ilość profesorów na etatach, to nie można tego kryterium odrywać od całościowego kontekstu. Oczywiście z punktu widzenia biurokraty najłatwiejsze są takie proste i mierzalne kryteria, ale niekoniecznie przekładają się one na poziom kształcenia.

Znam przypadki kiedy najlepsze wyniki w kształceniu studentów osiągał doktor, gdy natomiast „profesorowie” nie byli w stanie sobie poradzić z dydaktyką na podobnym poziomie, więc doktora wyrzucili, a jego działalność zapisali sobie na swoje konto. Doktor negatywnie wpływał na młodzież, która traciła orientację edukacyjną. Zamiast orientować się na profesora, orientowali się na doktora.

Młodzież akademicka jakby zaczęła zapominać, że najlepszy jest przecież profesor i dyskusji nie ma. Tak też „rozumuje” Państwa Komisja Akredytacyjna. Porażający i

przerządzający poziom naukowy i moralny kadry ,profesorskiej', zaopatrzonej w dożywotnie przywileje jest jedną z podstawowych przyczyn katastrofalnej sytuacji nauki i edukacji w Polsce.

Działania PKA nie powinny tej sytuacji utrwalać, lecz jej przeciwdziałać. W ocenie poziomu kształcenia biurokratyczne kryterium ,profesorskie' jest całkiem nietrafne, a nawet szkodliwe.

Szkoły wiedząc, że ocenia się jakość kształcenia według m.in. ilości profesorów, zatrudniają osoby z tytułami profesorskimi nie zawsze mające odpowiednie kwalifikacje edukacyjne, a także naukowe (często mniejsze od kwalifikacji doktorów).

Zatrudnianie ,profesora' na kilku, a nawet kilkunastu etatach może powodować poważne obniżenie poziomu kształcenia w takich uczelniach. To tylko jeden drastyczny przykład.

W USA tak nie jest. Profesorem jest się na jednej uczelni, ale też trzeba pamiętać, że w USA nie ma profesorów ,belwederskich' czy raczej ,białodomowych' bo o zatrudnieniu na etacie profesora decyduje uczelnia , gdy u nas kto będzie czy nie będzie profesorem decyduje w gruncie rzeczy prezydent. W USA nie ma też habilitacji bo

o zatrudnieniu decyduje dorobek naukowy a nie stopnie i tytuły często u nas niezależne od dorobku (nierzadko niejawnego) a potrzebne do zwiększenia ilości punktów akredytacyjnych.

W USA brak jest też umocowanej politycznie Centralnej Komisji ds. tytułu naukowego, tajności rezultatów grantów, tajności ocen itd. Przejścia jednak na system amerykański tak naprawdę u nas nikt nie chce. Ciekawe dlaczego ?

KASOWANIE KASY

Ostatnio senat Uniwersytetu Jagiellońskiego rzekomo wystąpił przeciwko wieloletowcom tj. nauczycielom akademickim pracującym na więcej niż jednym etacie, twierdząc, że to nie jest etyczne.

Problem w tym, że UJ nie występuje przeciwko wieloletowcom jako takim, tylko przeciwko biegającym na wykłady po Krakowie. Ci, którzy przemieszczają się na wykłady dostojnie, szybkimi samochodami np. do Kielc czy Tarnowa, nie tracąc tym samym wiele sił i czasu, są etyczni i mogą tam dodatkowo wykładać. Kto wie czy

uchwały nie podjęła grupa trzymająca sztamę z producentami szybkich samochodów?

Z etyką to nie ma nic wspólnego. Chodzi o wycięcie konkurencji szkół niepublicznych lepiej opłacających wykładowców, ale też uzależnionych od akredytacji, czyli od punktów osiągniętych za profesora. Żeby być akredytowanym trzeba go zatrudnić, nie musi zbyt często wyklądać, ważne, żeby figurował i „punktował”. Politycy zarówno aktywni, jak i „upadli”, często punktuja dla uczelni, często dla wielu uczelni na raz.

Uniwersytety też potrzebują profesorów, aby zarabiać na studiach zaocznych. To ich trzyma. Ambitniejsi studenci jednak narzekają, że serwuje im się bubel edukacyjny. Płacą dużo, zyskują mało. Takich studentów kieruje się do komisji dyscyplinarnych. Pracowników ujawniających takie patologie – również.

Na uczelniach nie liczą się obecnie ani badania, ani jakość nauczania, liczy się tylko szmal i dyplomy. Do niedawna uniwersytet był definiowany jako korporacja nauczanych i nauczających poszukujących razem prawdy.

Tę definicję usunięto z nowego statutu UJ, chyba dlatego, że nie przystawało to nijak do rzeczywistości. Uczelnie

zamieniono w fabryki dyplomów, a pozał się Boże ,profesorowie' ganiają od uczelni do uczelni aby nabić sakiewkę.

Można by rzec, że obecny uniwersytet to korporacja kasujących kasę (nierzadko za bubel edukacyjny) i kasujących dyplomy (nierzadko bez wartości). Obecne uniwersytety nie tolerują poszukujących ze studentami prawdy. Taka działalność jest w uczelniach źle widziana, a nawet zabroniona. Stanowi zagrożenie dla struktur uczelni.

ALTERNATYWNE KRYTERIA OCENY

Obserwując poważny spadek jakości nauczania w szkołach pozwoliłem sobie na zaproponowanie Państwowej Komisji Akredytacyjnej rozważenie odmiennych (od przyjętych) kryteriów oceny szkół wyższych. Jak sądzę po ich przyjęciu ocena szkół, kierunków, byłaby zdecydowanie odmienna od już dokonanej i dokonywanej, a ponadto pomogłaby w usuwaniu, a nie w utrwalaniu patologii jakimi uczelnie są dotknięte.

Moim zdaniem negatywnie oceniana winna być szkoła wyższa (kierunek) jeśli:

1. kierowana jest przez osoby nie należące do korporacji nauczanych i nauczających poszukujących prawdy
2. wyklucza z populacji zatrudnionych nauczycieli akademickich mających poczucie własnej wartości
3. wyklucza z populacji zatrudnionych nauczycieli akademickich mających cywilną odwagę wypowiedzenia krytycznych opinii o patologii uczelni
4. utajnia czy fałszuje osiągnięcia naukowe nauczycieli akademickich
5. fałszuje osiągnięcia edukacyjne nauczycieli akademickich
6. nadal respektuje „prawo” stanu wojennego w życiu szkoły wyższej, w szczególności w polityce kadrowej
7. instytutem, katedrą czy zakładem uczelni zarządza dożywotni feudał, bez potencjalnego następcy, z powodu wytępienia konkurentów
8. zatrudnia „wieloletowców” m.in. „profesorów” na fikcyjnych etatach (dla punktowania!)
9. zatrudnia osoby obciążone zajęciami edukacyjnymi powyżej 8 godz. dziennie i prowadzące oficjalnie ponad 10 magistrantów

10. realizuje politykę kadrową poprzez organizowanie ‚konkursów‘ na obsadzanie stanowisk przez swoich, zgodnie z kryteriami dostosowanymi do ich poziomu intelektualnego lub według kryteriów genetyczno-towarzyskich
11. uznaje aktywnych badaczy za element niepożądany na uczelni
12. jej kadra jest niezdolna do wykrywania plagiatów lub/i wykazuje przyjazny stosunek do plagiaryzmu
13. tworzy nowe kierunki studiów jedynie dla zapewnienia obecnej, zamkniętej na ‚obcych‘ kadrze, dodatkowych źródeł utrzymania
14. przyjmuje ogromną ilość studentów, bez możliwości ich należytego kształcenia, tylko po to, aby obecna kadra mogła więcej zarobić
15. akceptuje mobbing w stosunku do nauczycieli akademickich przewyższających kadrę zarządzającą intelektem i uznaniem wśród studentów
16. nie stosuje się do zasad etyki i dobrych obyczajów w nauce i edukacji
17. wykazuje analogie do orwellowskiego Ministerstwa Prawdy, w którym wartości mają odwrócony znak

Niestety PKA nie raczyła podjąć dyskusji z tą obywatelską inicjatywą. Po rozpowszechnieniu tych kryteriów w internecie jednak otrzymałem wiele listów z gratulacjami co świadczy, że opracowanie innych od obecnych kryteriów oceny szkół ma aprobatę krytycznie myślących obywateli.

PRAWDA RANKINGÓW

Zwykle na wiosnę kilka czasopism: Rzeczpospolita, Polityka i Perspektywy, Wprost, Newsweek układa rankingi szkół wyższych. Każdy może zapoznać się która uczelnia, jaki kierunek studiów jest najlepszy. To ma być wskazówka gdzie się wybrać na studia aby mieć dyplom najbardziej wartościowy, jakich absolwentów przyjmować aby mieć dobrze przygotowanych pracowników.

Czy to dobra wskazówka? Kryteria rankingów na ogół są znane. Chciałbym się odnieść przykładowo tylko do jednego kryterium – kryterium siły naukowej uczelni – uwzględnianego w rankingach Rzeczpospolitej i Polityki uważanych za szczególnie wiarygodne.

Do określenia siły naukowej uczelni uwzględniano dane KBN, w tym dane dotyczące projektów badawczych

finansowanych przez KBN. Ja korzystam z baz KBN i uważam, że jest to raczej baza nie-danych, w szczególności jeśli chodzi o wyniki grantów (projektów badawczych). (patrz Cui bono? – Obywatel, lipiec, 2003). Jakie są rezultaty realizacji grantów KBN można się zapoznać na stronach internetowych <http://www.opi.org.pl>.

Można to przeliczyć uczelniami. Nie wiem czy twórcy rankingu to czynili?

Siłę naukową uczelni oceniano za pomocą kryterium – „liczba projektów badawczych prowadzonych przez uczelnie i współfinansowanych przez KBN „

Ciekawe dlaczego redakcje sądzą, że takie kryterium, oczywiście mierzalne, świadczy pozytywnie o sile naukowej uczelni. Moim zdaniem o sile naukowej uczelni mogłoby świadczyć kryterium efektywności grantów, czyli jakość wyników w stosunku do poniesionych nakładów. To, że ktoś dostał grant, a nawet wiele grantów, nie świadczy o jego sile naukowej. Jeśli mimo otrzymania grantu nic lub niewiele zrobił to ten fakt świadczy o niepoważnej a nie o poważnej sile naukowej. Warto też wziąć pod uwagę, że o przyznawaniu grantów

nie zawsze decydują kryteria merytoryczne, a nader często genetyczno-towarzyskie.

Zatem kryterium liczby uzyskanych grantów jest mało wartościowe do ustalania siły naukowej uczelni, natomiast mogłoby być przydatne w ustalaniu rankingu uczelni marnotrawiących pieniądze podatnika czy w ustalaniu rankingu nepotyzmu (a może i korupcji) w nauce i edukacji w Polsce.

RANKING RANKINGÓW

Dla mnie rankingi wyższych uczelni w Polsce to lipa wprowadzająca w błąd obywateli. Ale nie dla wszystkich. Po ukazaniu się klasyfikacji szkół na ogół rozpoczynają się dyskusje świadczące o poważnym traktowaniu rezultatów rankingów. Studenci, i pracownicy tych uczelni, które są wysoko w rankingu chodzą dumni – jesteśmy najlepsi – z zadowoleniem konstatają. Inni, którzy są nisko w rankingach lamentują nad poziomem swoich uczelni. Nad zasadnością kryteriów, a przede wszystkim nad wiarygodnością danych rzadko się dyskutuje.

Świadczy to o braku krytycyzmu studentów i absolwentów szkół wyższych. I jest to ‚sukces’ edukacyjny. Krytycyzmu niezbędnego dla normalnego funkcjonowania społeczeństwa obywatelskiego na uczelniach się nie uczy, krytycyzm się tępi i są tego rezultaty.

Jeśli o rezultatach rankingów wypowiadają się rektorzy uczelni to na ogół jest tak, że ten ranking jest bardziej wiarygodny, w którym uczelnia rektora jest wyżej. Jest to dla rektorów kryterium najważniejsze.

Rankingów nie traktuje się jako zabawę, lecz bardzo poważnie. Jak w tegorocznym rankingu WPROST Uniwersytet Jagielloński znalazł się nieco niżej rektorzy zawiadomili, że bojkotują ten tygodnik, ale rektor Uniwersytetu Adama Mickiewicza – uczelni, która znalazła się na pierwszym miejscu, był cały w skowronkach: ‚To dowód na to, że rozwijamy się w dobrym kierunku’.

Ciekawe, że właściwe i niewłaściwe kierunki rozwoju uczelni wyznaczane są przez niezbyt zorientowanych w

tej materii dziennikarzy, bazujących na wątpliwych lub wziętych z sufitu danych.

Rektorzy uważają przy tym, że jak uczelnia jest wysoko w rankingu, to patologia nauki i edukacji w Polsce ich nie dotyczy! Tak mnie informował rektor AGH – Prof. R. Tadeusiewicz. A rozmiary patologii w uczelniach wyższych przecież nie są brane przy ustalaniu rankingów. Ot, rektorska logika.

Józef Wieczorek

Tekst opublikowany w dwumiesięczniku OBYWATEL nr 5(13), 2003

Równe prawa dla wszystkich uczelni

Nie można się zgodzić ze stwierdzeniem, że taki projekt ustawy o szkolnictwie wyższym od dawna był oczekiwany przez środowisko akademickie (Równe prawa dla wszystkich uczelni. "Rz" 257, 4.11.2003 r.). Jest on niezgodny z Kartą Bolońską, która mówi, że „działalność naukowa i dydaktyczna musi być moralnie i intelektualnie niezależna od władzy politycznej i ekonomicznej”.

Sama ustawa powstawała pod patronatem Prezydenta i petryfikuje dotychczasowy system nauki polskiej uzależniony od Prezydenta mianującego profesorów belwederskich i premiera, przy którym umocowana jest komisja do spraw stopnia i tytułu naukowego.

Spółeczeństwo głoŖowało za przystąpieniem Polski do Unii, więc i ustawa o szkolnictwie winna być zgodna ze standardami unijnymi i prowadzić do uproszczenia ‚kariery‘ akademickiej.

Prezydencka ustawa z takimi standardami nie jest zgodna, a jest zgodna ze standardami nauk post-radzieckich.

Próba ograniczenia pracy na wielu etatach jest pozytywem tej ustawy, ale uzależnienie wieloetatowości od decyzji rektora raczej prowadzi do systemu autokratycznego.

To może być narzędzie formatowania nauczycieli akademickich w rękach rektorów i nie ograniczy patologii na uczelniach, a może nawet ją powiększyć. Ktoś kto patologii uczelni ujawni raczej nie będzie miał zgody na prace na drugim etacie, jeśli w ogóle zostanie na swojej macierzystej uczelni.

Niezależne wypowiedzi w internecie raczej świadczą o braku poparcia dla tej ustawy przez krytycznie myślącą część środowiska akademickiego. Faktem jest , że jest to chyba demokratyczna mniejszość, która uchroniła się przed sformatowaniem.

Józef Wieczorek, Kraków

Rzeczpospolita , 6 listopada 2003 r.

KONIEC Z FIKCJĄ W NAUCE

Wywiad z rektorem UJ, Franciszkiem Ziejką, („Przegląd” nr 41) – „Koniec fikcyjnych uczelni” nie może zostać pominięty milczeniem.

Obywatelowi należy się niezależne, alternatywne spojrzenie na to, co się dzieje na uczelniach, w tym na uczelni kierowanej przez rektora F. Ziejkę.

Na ogół media o tym informują bardzo wybiórczo, stąd obraz nauki i edukacji w Polsce jest niepełny. Bardziej zbliżony do prawdy obraz można uzyskać, śledząc liczne dyskusje na forach internetowych, również dyskusję, jaka się wywiązała po wywiadzie z rektorem.

W wywiadzie poruszono kilka zasadniczych tematów: nowa ustawa o szkolnictwie wyższym, wieloetatowość

nauczycieli akademickich (głównie profesorów), etyka na uczelniach.

Spójrzmy na nie innym okiem.

F. Ziejka nazywa projekt nowej ustawy o szkolnictwie wyższym przygotowany przez NSZZ „Solidarność” absurdalnym i argumentuje, że *„Polski nie stać na obniżanie wymagań naukowych”*, ale przecież tzw. prezydencki projekt ustawy o szkolnictwie wyższym prowadzi właśnie do obniżenia wymagań naukowych.

Zakłada on mianowicie, że mimo wejścia Polski do Unii Europejskiej, za czym głosowała większość społeczeństwa, nauka w Polsce będzie nadal kompatybilna z nauką białoruską, ukraińską, mołdawską, ale nie ze standardami nauki w USA, czy w krajach unijnych.

Jeden z twórców tej ustawy, prof. Jerzy Dembczyński, jasno wyrażał się na łamach „Forum Akademickiego” (nr 7-8, 2003) o innych propozycjach ustawy, które zakładały włączenie polskiego systemu nauki i edukacji do systemu światowego: *„Myślę, że takie rozwiązanie*

jest nie do przyjęcia przez środowisko naukowe. To jedna z kolejnych prób przeniesienia na grunt polski rozwiązań funkcjonujących w Stanach Zjednoczonych czy w Europie Zachodniej”.

A Ziejka mówi: „W związku z procesem bolońskim, a więc tworzeniem jednej przestrzeni dydaktycznej i naukowej w Europie, przygotowanie ustawy jest konieczne”.

Z ustawy jednak jasno wynika:

- że mamy się znaleźć poza przestrzenią dydaktyczną i naukową Europy,
- że próby przeniesienia na grunt polski rozwiązań funkcjonujących w Stanach Zjednoczonych czy w Europie Zachodniej nie są dla Polski,
- że ma być właśnie inaczej.

To wprowadzanie w błąd społeczeństwa i straszna hipokryzja.

Kto tu głosuje za obniżeniem wymagań?

Polska jest potęgą habilitacyjną czy profesorską, ale mizerią naukową i tak, zdaje się, ma pozostać na dziesiątki lat w ramach deklarowanego podwyższania wymagań naukowych.

W Polsce mamy i mieć mamy profesorów belwederskich, mimo że nikt w świecie nie słyszał np. o profesorach białodomowych czy elizejskich, bo w świecie o tym, kto jest czy nie jest profesorem, decyduje uczelnia, a nie polityk. To samo dotyczy komisji do spraw stopnia i tytułu naukowego, która od czasów stalinowskich umocowana jest przy premierze.

Rektor twierdzi, że na UJ nie ma polityki.

Co to ma wspólnego z prawdą, skoro w polskim systemie nauki i edukacji polityka jest wszechobecna i dotyczy wszystkich uczelni, bo jest to wszechobecność systemowa, wpisana w prawo?

W Karcie Bolońskiej (Bolonia, 18 września 1988 r.) czytamy „jego (tj. uniwersytetu) działalność naukowa i dydaktyczna musi być moralnie i intelektualnie niezależna od władzy politycznej i ekonomicznej”.

Jak się ma działalność prezydenckiego zespołu do Karty Bolońskiej?

Jak się do karty ma mianowanie i ew. odwoływanie profesorów przez prezydenta RP?

Jak się ma do Karty Bolońskiej istnienie komisji do spraw stopnia i tytułu umocowanej przy premierze?

Dlaczego Karta Bolońska podpisana przez polskich rektorów jest łamana, a polskie społeczeństwo cynicznie okłamywane?

Kartę Bolońską kończy zobowiązanie rektorów: „My, niżej podpisani rektorzy, w imieniu naszych uniwersytetów, zobowiązujemy się uczynić wszystko, co w naszej mocy, by nakłonić poszczególne państwa oraz odpowiednie organizacje ponadnarodowe do kształtowania swej polityki według wskazań tej Wielkiej Karty, wyrażającej jednomyślną wolę uniwersytetów, którą niniejszym deklarujemy i oświadczamy”.

Jasno widać, że rektorzy polskich uniwersytetów nie tylko, że nie nakłaniają władz RP do poczynań zgodnych z Kartą Bolonską, lecz razem z władzami pracują nad jej nieprzestrzeganiem.

Senat UJ specjalną uchwałą nr 12/V/2003 z 28 maja 2003 r. przekazał podziękowania prezydentowi RP za pracę nad nową ustawą, nad którą prezydent nie

powinien w ogóle pracować! Zgodnie z Kartą Bolońską, projekt ustawy winien być niezależny moralnie i intelektualnie od prezydenta.

Nigdzie nie jest tak, żeby doktor zostawał zaraz profesorem i nikt tego w Polsce nie proponuje, co twierdzi F. Ziejka.

Profesor to ma być stanowisko i tylko na uczelni. Tak jak w wielu innych krajach, zgodnie z projektem „Solidarności”, doktor może zostać profesorem na uczelni nie automatycznie, lecz w przypadku posiadania dużego dorobku naukowego i edukacyjnego doświadczenia i wygrania rzeczywistego konkursu na obsadzenie stanowiska profesora pomocniczego, nadzwyczajnego czy zwyczajnego.

Profesor – to ma być stanowisko, a nie tytuł.

Żeby zostać na stałym etacie profesora na uczelni zachodniej, trzeba się wykazać ogromnym dorobkiem naukowym. Tak u nas nie jest i ma nie być.

Na dożywotnie stanowiska profesorów zatrudniane są często miernoty nieaktywne naukowo, zapisujące sobie niekiedy na swoje konto dorobek rzekomo nierozwiniętych doktorów.

Organizowane pseudokonkursy na etaty uczelniane dostosowane są do poziomu intelektualnego i moralnego tego, kto ma ten konkurs wygrać według wcześniejszych ustaleń. Taka jest reguła.

Kryteria genetyczno-towarzyskie przeważają w tych „konkursach” nad kryteriami merytorycznymi. Jeśli profesor wytnie wszelkich potencjalnych konkurentów niecnymi nierzadko metodami, to do końca życia ma być zapewniony nie tylko na swojej uczelni, ale na wielu innych.

Pokrętnie w mediach przedstawiany jest problem wieloetatowości nauczycieli akademickich, głównie profesorów.

Obywatel winien też wiedzieć, że uchwały Senatu UJ nie likwidują wieloetatowości jako takiej, a tylko wieloetatowość „krakowską”, i to nie do końca.

Nie będąc w sprzeczności z uchwałą UJ, można pracować zarówno na UJ, jak i na innych etatach, np. w Kielcach, Tarnowie, Warszawie i gdzie indziej, byle nie w Krakowie bez zgody rektora.

Nie należy dezinformować społeczeństwa, że to jest walka z wieloetatowością, bo to jest tylko walka z bezpośrednią, bliską konkurencją.

Nie likwiduje to lipy naukowej i edukacyjnej serwowanej przez „profesorów” na n-tej liczbie etatów.

Bezzasadne są także częste twierdzenia, że poziom kształcenia na uczelni jest uzależniony od liczby profesorów.

Kto przeprowadził takie badania, które by taki pogląd uzasadniały?

Gdzie można znaleźć wyniki tych badań?

Bardzo często zdecydowanie lepsze wyniki nauczania i formowania kadry naukowej mieli doktorzy, ale to kontrastowało z miernością profesorów, więc takich doktorów profesorowie się pozbywają, by ten kontrast zlikwidować.

Uczelnia rektora Ziejki może być tego przykładem.

Na uczelniach zachodnich można być dożywotnio doktorem, jeśli się jest aktywnym naukowo i dobrym dydaktycznie. U nas dożywotnio na etatach mogą być

profesorowie, także ci którzy nie są aktywni naukowo i nierzadko bardzo mierni edukacyjnie.

Taki jest bowiem u nas system i tak ma być w nowej ustawie.

Najwyżej się ceni tych, którzy od studenta do profesora, a nawet do rektora, tak jak rektor Ziejka, wszystkie szczeble tzw. kariery naukowej przeszli na tej samej uczelni. I to ma być poziom!

W USA jest całkiem odmiennie. Trzeba wyjść poza swoją Alma Mater. Ale do takiego poziomu my się nie zniżymy (sic!).

Amerykańscy doktorzy niech sobie otrzymują Nagrody Nobla, a my będziemy mieć profesorów doktorów habilitowanych nauki polskiej.

Jeśli do rankingów poziomu nauki włączymy kryterium „habilitacyjne”, to i tak jesteśmy górą! W Ameryce nie ma bowiem habilitacji. Nauka w USA jednak jest!

Jednym słowem, my robimy i mamy robić tytuły, a w USA robi się i będzie się robić naukę, ale my wzorców amerykańskich nie będziemy wprowadzać do Polski, bo to by obniżyło poziom narcystycznego samouwielbienia naszych profesorów i to byłoby szkodliwe.

Wieczni doktorzy w USA dostają Nagrody Nobla, w Polsce dostają wymówienia, szczególnie jeśli podważają jedynie słuszne poglądy „profesorów” nauki polskiej. Kiepscy, ale lojalni doktorzy podobnie jak kiepscy profesorowie mogą być spokojni o swój los. Nikt ich nie ruszy.

Nas nie stać na dożywotnie etaty profesorów, którzy nic lub prawie nic nie robią naukowo, a wiele szkodzą w nauce i edukacji. Rezultaty badań profesorów, i nie tylko profesorów, u nas są niestety niejawne, o czym świadczy ukrywanie przed podatnikiem wyników realizacji projektów badawczych finansowanych przez Komitet Badań Naukowych (por. dane, a raczej niedane na stronach internetowych <http://www.opi.org.pl>).

Tego nie ma nigdzie.

Setki milionów złotych polskich księgowanych po stronie wydatków na naukę nierozliczone przed podatnikiem (!!!) i nikogo to nie interesuje.

Nas nie stać na takie marnotrawstwo grosza publicznego, ale F. Ziejka o tym milczy. Milczy o tym także plan Hausnera rzekomo zakładający ograniczenie marnotrawstwa pieniędzy publicznych.

F. Ziejka mówi o konieczności dyskusowania o etyce nauczyciela, ale nie ujawnia, że sam nie dopuszcza do autentycznej dyskusji na tematy etyczne na łamach pism, które sam kontroluje merytorycznie.

Dyskutować z Akademickim Kodeksem Wartości czy Dobrymi Obyczajami w Nauce na łamach miesięcznika UJ – „Alma Mater” nie można!!! Kosmiczna wręcz hipokryzja.

W Karcie Bolońskiej czytamy: „Odrzucając nietolerancję i pozostając zawsze gotowym do dialogu, uniwersytet stanowi zatem najlepsze miejsce, w którym spotykają się nauczyciele, umiejący przekazać swą wiedzę oraz dobrze przygotowani do rozwijania jej poprzez badania naukowe i nowatorstwo, oraz studenci, którzy potrafią, chcą i są gotowi wzbogacać swe umysły tą wiedzą”.

Niestety, na temat etyki nauczyciela mamy jedynie monolog rektora, który na dialog nie chce się zgodzić, nie tolerując odmiennych, niezależnych wypowiedzi, łamiąc tym samym Kartę Bolońską.

Jedyną szansą na prezentowanie odmiennych opinii jest Internet, ale przecież to nie to samo co wydania papierowe czasopism, do których dostęp nadal jest bardziej powszechny.

Uchwała Senatu UJ o wieloletowości, czy ogłoszony Akademicki Kodeks Wartości są zgodne z prawem, bo poglądy przecież można mieć i je głosić.

Problem w tym, że uniwersytety mają autonomię, a w praktyce ta autonomia jest nierzadko ponad prawem.

Prawo pracy na uczelniach, a w każdym razie na UJ, w praktyce nie obowiązuje. Pracownika można ocenić, jak się chce, bez podawania uzasadnienia i sprzecznie z faktami i jeśli go rektor nie chce, musi odejść. Rektor ma do dyspozycji komisję etyczną i rzecznika dyscyplinarnego. Pracownik nie ma nikogo.

Nie ma u nas instytucji rzecznika (mediatora) akademickiego jak w USA czy na uczelniach europejskich i projekt nowej ustawy nie zakłada powstania takiej instytucji. Tak jak w Unii czy w USA długo u nas nie będzie.

Pracownik w konflikcie z uczelnią jest na straconej pozycji. Jeśli ujawni przekręty na uczelni zgodnie z zasadami dobrych obyczajów, podpadnie pod paragraf lojalności Akademickiego Kodeksu Wartości i jego los jest przesądzony.

Dla nielojalnych na uczelni nie ma miejsca.

Prawdy na uczelniach należy oczywiście szukać, ale jeżeli się ją znajdzie w niewłaściwym miejscu, należy ją zamieść pod dywan, bo inaczej koniec z odkrywcą.

Uczelnie są biedne, bo zatraciły poczucie przyzwoitości.

Korporacje akademickie w Polsce są poza rzeczywistą kontrolą.

W Polsce mamy fikcyjne tytuły, fikcyjne nauczanie, fikcyjne badania naukowe.

Uczelnie stały się korporacjami kasujących kasę (nierzadko za bubel edukacyjny) i kasujących dyplomy (nierzadko bez pokrycia).

UJ niestety także do tych uczelni należy.

Chyba Senat UJ także ma podobny pogląd, gdyż w nowym statucie uczelni nie znalazł się już zapis, obecny w starym statucie, o tym że uniwersytet to korporacja

nauczanych i nauczających poszukujących razem prawdy.
To się nijak nie ma do rzeczywistości.

Najwyższy czas skończyć z tą fikcją. Tej fikcji nie kończy
prezydencki projekt ustawy o szkolnictwie wyższym.
Pewne nadzieje natomiast daje projekt ustawy
przygotowany przez NSZZ „Solidarność”.

Autor jest byłym wykładowcą geologii na Uniwersytecie
Jagiellońskim

Artykuł został opublikowany w tygodniku PRZEGLĄD nr
47 z dnia 23 listopada 2003.

CUI BONO? – SPOJRZENIE NA FINANSOWANIE NAUKI

Nauka w Polsce jest niedofinansowana. O tym piszą „wszyscy” i wiedzą „wszyscy”. Nie wszyscy jednak wiedzą, jak marnotrawione są pieniądze podatnika księgowane po stronie wydatków na naukę, bo nie wszyscy chcą o tym pisać i nie wszyscy chcą opublikować to, co zostanie na ten temat napisane.

Media nie przedstawiają prawdziwego obrazu rzeczywistości w nauce. Nie przedstawiają prawdziwego obrazu grupy trzymającej władzę w nauce. A jest to władza niemała, bo autonomiczna i objęta dożywotnim immunitetem. Politycy muszą się liczyć z tym, że opozycja będzie im patrzeć na palce i krytykować. Immunitet polityków jest na czas określony. Jeśli przegrają wybory, immunitet się kończy. W nauce jest inaczej. Raz zdobytego immunitetu nikt uczonym nie odbiera.

Nikt nie może uczonych krytykować, bo w nauce polskiej nie ma opozycji.

O tym, co się dzieje w nauce polskiej decyduje formalnie środowisko naukowe, ale komisja do spraw tytułu naukowego umocowana jest politycznie, przy premierze. Tytuły profesora „belwederskiego” nadaje prezydent i tylko on może taki tytuł odebrać.

Środowisko naukowe nie ma zaufania do samego siebie, skoro nie ceni sobie np. tytułów uczelnianych. Dopiero namaszczenie przez polityka podnosi autorytet naukowców i nadaje im dożywotni immunitet. Taki jest kuriozalny system nauki polskiej i nie ma woli, aby go zmienić.

Dla petryfikacji tego stanu rzeczy powołuje się różne centralne komisje, które badają, czy dany podmiot jest lepiej czy gorzej dostosowany do tego kuriozalnego systemu. Jeśli gorzej, to znika.

Gorsze wypiera lepsze. Tak działa system nauki polskiej, a nauka przecież winna prowadzić ku lepszemu, a nie ku gorszemu.

Trąd w pałacu nauki

Znaczna część badań naukowych finansowana jest z budżetu, czyli z kieszeni podatnika. Firmy są na ogół zbyt słabe finansowo, aby opłacać potrzebne im badania. Po co zresztą mają je finansować same, skoro Komitet Badań Naukowych może im dać pieniądze podatnika. Jeśli są dobrze „umocowane”, to pieniądze dostaną i – co ciekawe – nie muszą się z nich przed podatnikiem rozliczyć. Jakoś się rozliczają z biurokratami z KBN, ale z czego, tego tak naprawdę nikt nie wie. Coś na podkładkę muszą mieć. Ale co? Tego KBN na ogół nie ujawnia.

Część tych firm jest zresztą zakładana przez naukowców. Jako pracownicy instytucji naukowej otrzymują więc pensję i pieniądze na prowadzenie badań, a następnie na dokładkę zarabiają jako członkowie firmy wspieranej często z kieszeni podatnika za pośrednictwem KBN.

Niektórzy pracują w kilku instytutach na raz, szczególnie jeśli mają dobre znajomości. Zatrudniają, na przykład jako asystentów, tanią siłę roboczą, która ma pracować dla nich, a jeśli ktoś chce pracować dla nauki, to może stracić pracę.

W instytutach z nauką w nazwie produkuje się często bezwartościową sieczkę, co pozwala na rozliczenie się ze statutowych obowiązków wobec KBN. Mało kto z nich chciałby pracować według standardów międzynarodowych. Nie wszędzie tak jest, ale wystarczająco często, żeby o tym pisać.

Podam przykład. Od lat prowadzona jest ponoć informatyzacja placówek naukowych, ale gdy pracowałem w instytucie PAN, dostępu do komputera najpierw nie miałem w ogóle. W końcu sekretarka załatwiła mi życzliwie jeden archaiczny i niesprawny komputer, który jej przeszkadzał na biurku. Sprawny komputer służył do „badań” nad układanymi na komputerze pasjansami – wyników tych „wysiłek naukowych” do dziś nie ujawniono. Na to pieniądze były.

Dostępu do dobrego „pasjansowego” komputera i laserowej drukarki bronili finansowani z kieszeni podatnika pretorianie. Kiedy złożyłem podanie o grant, wstawiając jako jedną z pozycji zakup komputera, uznano to za postępek nieuzasadniony, podobnie jak wyjazd na międzynarodowy kongres, na którym miałem zaakceptowany referat.

Na wyjazdy turystyczne, największe w Polsce (a może i nie tylko w Polsce) biuro podróży działające w KBN, pieniędzy nie szczędzi.

Trąd, który panuje w pałacu nauki jest bardzo trudny do uleczenia

Projekty „badawcze”

Jednym z kluczowych sposobów rozdziału pieniędzy podatnika na naukę są konkursy na realizację projektów badawczych, tzw. grantów. O rozdziale pieniędzy decydują uczeni. Problem w tym, że decydują w sposób partykularny.

Członkowie komisji grantowych najpierw dzielili pieniądze głównie między siebie, uważając zapewne, że skoro zasiadają w jury, więc są najlepsi, zatem im się należy. Co zostało do podziału, dawali swoim rodzinom, kolegom itp.

Kryteria genetyczno-towarzyskie, zresztą powszechne w życiu naukowym, decydowały o podziale. Ten proceder nieco ograniczono, ale nie do końca. Kryteria

merytoryczne nie są najważniejsze w kwestii podziału pieniędzy podatnika na tzw. badania naukowe. Odrzucone rzekomo z przyczyn merytorycznych projekty po pewnych zmianach są realizowane w jednostkach kierowanych przez członków komisji, oczywiście jako merytorycznie uzasadnione. Faktycznie są to plagiaty koncepcyjne, ale to jest standardem w nauce polskiej. Plagiatorzy mają immunitet. Ich nikt nie ściga. Ściga się tych, którzy by im plagiatorstwo zarzucili.

Od początku trwania systemu grantowego, w ciągu 12 już lat jego trwania, zrealizowano ok. 28 tys. projektów. Co one przyniosły oprócz zubożenia kieszeni podatnika?

Otóż nie bardzo wiadomo. Na stronie internetowej NIK-u możemy znaleźć taki oto cytat: *„Ktokolwiek grosz publiczny do swego rozporządzenia odbiera, wydatek onegoż usprawiedliwić winien”*. KBN odebrał grosz publiczny do swego rozporządzenia, ale usprawiedliwić tego odebrania bynajmniej nie chce.

W sprawie grantów prowadzę od kilku już lat swoje śledztwo obywatelskie, ale jak na razie bez skutku. Na co

wydano pieniądze podatnika, do tej pory nie zdołałem się dowiedzieć. Są co prawda tzw. bazy danych KBN (obecnie na stronie <http://www.opi.org.pl>) ale są to raczej bazy „niedanych”. Bardzo rzadko te „dane” zawierają jakiegokolwiek informacje o wynikach realizacji projektów badawczych. Dane ilustrują, że tylko ok. 10% projektów zakończyło się jakimikolwiek publikacjami.

Autorzy witryny Polski Cyrk Naukowy (<http://www.naukowcy.republika.pl>) przykładowo podali dane dla Akademii Medycznych (od roku 1994):

| | |
|---|----------------|
| Liczba zakończonych projektów: | 1423 |
| Przyznana kwota razem: | 66 422 351 PLN |
| Liczba projektów zakończonych publikacjami: | 137 |
| Fundusze rozliczone: | 20 370 714 PLN |

Tak mniej więcej wyglądają „dane” – podobnie jest w przypadku innych instytucji. Co zrobiono w ramach pozostałych projektów?

Nie wiadomo. Nawet ministrowie nauki tego nie wiedzą! Początkowo tłumaczyli mi, że nie prowadzą wykazu rezultatów grantów.

Ciekawe, prawda? Księgują, że się coś wydało, ale nie księgują, na co się wydało. Co na to główny księgowy kraju? Ano też nic. Tymczasem na projekty badawcze przeznaczono kilkaset milionów bez usprawiedliwienia przed zainteresowanym podatnikiem.

W telewizji, w gazetach i gdzie się tylko da słysać płacz naukowców, że nie mają z czego żyć, za co pracować, z czego finansować badań. Jednak rzetelnych relacji dotyczących tego, na co wydano pieniądze podatnika – nie znajdziemy w tychże gazetach czy programach telewizyjnych.

Również od obecnego Ministra Nauki i Informatyzacji Michała Kleibera i jego zastępcy Marka Bartosika nie otrzymałem informacji o wynikach badań zrealizowanych już projektów badawczych, finansowanych z kieszeni podatnika za pośrednictwem KBN.

Mimo obowiązywania ustawy o dostępie do informacji obywatel nie ma szans na otrzymanie szczegółowych danych. Utajnianie informacji na temat wyników badań budzi uzasadnione podejrzenie, że takich wyników nie ma, a pieniądze podatnika księgowane po stronie

wydatków na naukę, zostały po prostu lekką rączką sprzeniewierzone. Powinno to prowadzić do powstania po stronie podatników roszczeń odszkodowawczych wobec KBN.

Zmiany, zmiany...

Ostatnio opracowywany jest projekt zmian finansowania nauki. Uznano, że obecny system jest marnotrawny.

Problem w tym, że nowy projekt zakłada przejęcie finansowania przez Ministra i jego urzędników, czyli tych, którzy wynikami badań się nie interesowali i nie wiedzieli nawet, gdzie te wyniki się znajdują.

Chyba chodzi tu zatem o przejęcie łatwego dostępu do pieniędzy podatnika przez grupę trzymającą władzę w nauce, a nie o likwidację patologii.

Projekt nie zakłada finansowania badań czy np. wykupywania wyników badań, a tylko finansowanie podmiotów mających osobowość prawną. Ten, kto ma osobowość naukową a nie ma osobowości prawnej, nie ma szans na finansowanie badań. W projekcie brak jest informacji:

- czy nadal będą finansowane jednostki, które z dotychczasowych projektów nie rozliczyły się przed podatnikiem;
- czy pieniądze przeznaczone na niezrealizowane projekty zostaną zwrócone wraz z odsetkami i przeznaczone na refundację projektów odrzuconych, które jednak realizowane jako projekty beznakładowe zakończyły się wynikami;
- czy nadal będą finansowane bazy „niedanych”;
- czy rezultaty badań finansowane z kieszeni podatnika zostaną podatnikowi ujawnione;
- czy nakłady na badania zostaną powiązane z wynikami badań.

W projekcie nie ma planu finansowania badań prowadzonych przez jednoosobowe jednostki naukowe lub alternatywnie planów zatrudniania aktywnych naukowo w jednostkach badawczych.

Projekt ustawy nie jest powiązany z rozwiązaniami systemowymi w nauce, stąd jego pozytywne znaczenie jest raczej wątpliwe.

Odnosi się natomiast wrażenie, że stanowi on ucieczkę od odpowiedzialności za złe wykorzystanie środków

finansowych księgowanych po stronie wydatków na naukę.

Kontrola

W swych poczynaniach KBN łamie w sposób oczywisty Ustawę z dnia 6 września 2001 r. o dostępie do informacji publicznej.

Uniemożliwia tym samym społeczną kontrolę wykorzystywania pieniędzy podatnika.

W jednym z wywiadów obecny Minister Nauki Michał Kleiber mówił: *„Społeczna kontrola sposobu wykorzystywania przez uczonych publicznych pieniędzy jest trudna, bowiem prowadzone badania są coraz mniej zrozumiałe dla finansujących je społeczeństw”*.

Nie oddaje to istoty problemu. Rzeczywiście badania są coraz mniej zrozumiałe dla finansującego je społeczeństwa, ale przyczyna tego malejącego zrozumienia jest inna.

Przede wszystkim wyniki badań muszą być dostępne dla finansującego je społeczeństwa. Jeśli wyniki ukrywa się przed społeczeństwem, to nie można w sposób zasadny

społeczeństwu zarzucać, że nie rozumie tych wyników. Społeczeństwo po prostu nie ma szans na ocenę tych badań w warstwie merytorycznej i finansowej. Trudno mówić o kontroli czegoś, co zostaje z premedytacją utajniane.

Józef Wieczorek

Tekst wydrukowany w dwumiesięczniku OBYWATEL nr 4
(12) 2003-09-09

MOBBING UCZELNIANY

Mobbing to psychiczne, długotrwałe szykanowanie pracownika w pracy przez przełożonych lub przez innych pracowników. Nie chodzi tu o zwykły konflikt personalny czy krótkotrwałe spięcia.

Mobbing polega na sprzysiężeniu się przeciwko komuś w celu psychicznego wyniszczenia i wykluczenia go ze społeczności.

Często przybiera formy bardzo wyrafinowane, tak że nie wszyscy orientują się, kto jest mobbingującym, a kto poddawany mobbingowi.

Jednak zwykle mobbingującym, czyli szykanującym niewygodnego podwładnego jest przełożony, szczególnie wtedy, gdy czuje się zagrożony jego aktywnością czy talentami. Czasem jest to grupa pracowników znęcająca się moralnie nad kolegą, trzymając z przełożonym i upatrując w tym szansy awansu.

W Polsce nie ma badań ilościowych nad mobbingiem, ale w wielu krajach europejskich wiadomo, że odsetek

pracowników mobbingowanych osiąga kilka-kilkanaście procent zatrudnionych. Koszty społeczne mobbingu są poważne, jakkolwiek nie policzone. Osoby mobbingowane mają słabszą wydajność pracy. Często muszą się leczyć, korzystają ze zwolnień lekarskich. Zakłady tracą dobrych pracowników.

Feudalizm i mobbing

Szczególnie silne natężenie mobbing ma tam, gdzie panują feudalne stosunki zależności. Dlatego też ma on tak poważne znaczenie i skalę na uczelniach i w instytucjach naukowych.

Feudalna struktura nauki polskiej zagwarantowana jest prawem, no i ma aprobatę demokratycznej większości.

Dyrektorem instytutu czy kierownikiem zakładu można być ćwierć wieku, a nawet dłużej. Ktoś, kto jest aktywny, a przy tym młodszy od dyrektora chcącego utrzymać się u władzy – stanowi potencjalne zagrożenie. Musi się liczyć z tym, że będzie poddawany mobbingowi.

W systemie wyższej edukacji na ogół nie zmienia się miejsca zatrudnienia, stąd częste kariery od studenta do

rektora na tej samej uczelni. To sprzyja układom i tworzy zamknięty system. Kto by się wdarł z zewnątrz do takiego układu, ma małe szanse przetrwania, jeśli się nie dostosuje. Na uczelniach pracują całe rodziny, całe pokolenia. To tworzy pajęczynę.

Powszechny konformizm społeczności akademickiej oraz brak rzecznika akademickiego dla rozwiązywania problemów w obrębie korporacji uczelnianej, sprzyjają mobbingowi.

Ktoś, kto nie pasuje do układów, kto chce zachować niezależność myślenia i działania, kto ujawnia patologie i uczelniane przekręty, ten jest poddawany mobbingowi.

Poziom merytoryczny nie ma zasadniczo znaczenia. Im wyżej ceniony pracownik, tym dla niego gorzej, bowiem zagraża innym, a jak się go pozbędą, to zwalnia się miejsce dla miernot i konformistów.

Niestety, najwyżej się ceni tych, którzy potrafili wyciąć swoich potencjalnych następców. Ci mają największe poważanie. Budzą respekt jako niezastąpione autorytety moralne i intelektualne.

Na pytanie „Co zrobili z tymi, którzy mogli ich zastąpić?” na ogół nie ma odpowiedzi. A przecież na uczelniach winno się wychowywać, a nie wycinać następców. To jedna z najważniejszych powinności nauczyciela. To winno być najważniejsze kryterium oceny.

Marian Mazur w swej niezapomnianej i nadal aktualnej książce „*Historia naturalna polskiego naukowca*” (1970) pisał: „*Gdy niedawno odszedł jeden z takich „feudałów”, którego nazwisko figuruje na czele prawie każdej placówki, każdego komitetu, każdej komisji, każdej redakcji, okazało się, że nie było komu powierzyć po nim kierownictwa jego zakładu – tak dalece wytępił wszelkich potencjalnych następców*”. No i rzecz jasna autor tych słów był tępiony za taką ocenę polskiego środowiska naukowego.

Nic zasadniczo się nie zmieniło w Polsce mimo zmian ustrojowych. Ustrój nauki i edukacji pozostał niezmienny. Kolejne ustawy jedynie petryfikują feudalną strukturę nauki i edukacji w Polsce.

Mobbing pod dywanem

Mobbing na uczelniach i w instytucjach naukowych jest jednak bardzo słabo poznany. Niewiele o nim można znaleźć w mediach.

Przypadki mobbingu są tuszowane przez władze uczelni, a same uczelnie, szczególnie te najważniejsze, przedstawia się jako „Wszechnice Cnót Wszelakich”.

Wizerunek prezentowany w mediach to jednak fałszywy obraz rzeczywistości. To na ogół obraz tworzony przez trzymających władzę i trzymających z mobbingującymi.

Obraz uczelni w oczach osób mobbingowanych jest niemal nieznany. Uczelnie są w mediach niekiedy współdziaławcami, często media są patronami obchodów, uroczystości uczelnianych, a dziennikarze-absolwenci uczelni tworzą stowarzyszenia, aby przedstawiać ich uczelnie jedynie w korzystnym świetle.

Jeśli o mobbingu na uczelni nic nie słychać to nie znaczy, że go nie ma. To znaczy, że jest zamiatany pod dywan. Jeśli dywan jest gruby i dobrze pod niego zamieciono to nic nie słychać.

Poczucie własnej wartości

Systemy edukacyjne powinny tworzyć poczucie własnej wartości u osób z nimi związanych. Bez poczucia własnej wartości człowiek nie jest pełnowartościowym członkiem społeczeństwa.

Szkoła winna to poczucie rozwijać. Niestety nie widać tego w naszym systemie edukacyjnym mimo zapoczątkowanej reformy.

Jeszcze w przedszkolu nie jest tak źle. W biuletynach przedszkolnych można przeczytać, że dzieciak 6-letni winien już mieć poczucie własnej wartości. W tym kierunku idzie wychowanie przedszkolne.

Im wyżej jednak, tym gorzej. Reforma była przygotowana bez głowy, bo „głowa” nie została zreformowana. Średnie, a w szczególności wyższe szkoły pozostały skansenami PRL-u. Nie rozwijają poczucia wartości, lecz uczniów-studentów dołują.

Jak może być inaczej, skoro ktoś, kto ma poczucie własnej wartości jest na uczelniach wyższych elementem niepożądanym.

Element pożądany to element „układowy”, bez wartości.

Czy będzie rozwijał u innych poczucie własnej wartości ktoś, kto dzięki układowi wdrapał się wysoko na swój szczebel niekompetencji i ma poczucie własnego skundlenia, które mu to wdrapanie ułatwiło?

To chyba jest sedno mobbingu na uczelniach.

Senat Uniwersytetu Jagiellońskiego na posiedzeniu w dniu 25 czerwca br. uchwalił Akademicki Kodeks Wartości, w którym czytamy m. in.: „10. **GODNOŚĆ**

Godność nie jest przywilejem żadnej, wybranej grupy społecznej, środowiska lub pozycji. Równe do niej prawo posiada wielki i sławny profesor, ale też skromny asystent i student. We wspólnocie akademickiej należy dbać o godność nie tylko pracownika naukowego, ale i sekretarki, bibliotekarza, magazyniera i sprzątaczkę. Naruszenie każdej i czyjejkolwiek godności jest czynem moralnie odstręczającym, staje się sygnałem głębszego schorzenia etycznego w środowisku lub niskiej moralnej klasy poszczególnych osób, nie usprawiedliwionych bynajmniej z powodu innych, akademickich walorów...”.

Należałoby zatem oczekiwać, że poczynania i decyzje władz UJ będą zgodne z Akademickim Kodeksem Wartości, który same uchwały.

Niestety, jak dotychczas nic nie wskazuje na to, że władze UJ i innych uczelni zamierzają tego kodeksu przestrzegać. System stosowany w praktyce na UJ (i nie tylko tam) to system mobbingowy, system deprecjacji wartości, system dołowania jednostek, szczególnie jednostek niepokornych, niewygodnych.

Wydaje się, że podobnie jak Dobre Obyczaje w Nauce, tak i Akademicki System Wartości ma głównie znaczenie zasłonowe (osłonowe) dla niegodnych poczynań tych, którzy trzymają władzę w nauce i edukacji.

Niestety, polskie prawo nie zna pojęcia mobbingu, stąd też możliwość obrony przed mobbingiem w Polsce, możliwość dochodzenia swoich praw przez osoby pokrzywdzone, jest jedynie iluzoryczna. Pewną pomoc dla poszkodowanych mogą stanowić jak na razie coraz liczniejsze stowarzyszenia antymobbingowe: Ogólnopolskie Stowarzyszenie Antymobbingowe OSA Krajowe Stowarzyszenie Antymobbingowe Stowarzyszenie Antymobbingowe Barbary Grabowskiej

Prawo antymobbingowe istnieje w Szwecji, USA i Francji, a intensywne prace na wprowadzeniem podobnych rozwiązań trwają w Niemczech, Anglii, Belgii, Hiszpanii, Włoszech, Portugalii i w Parlamencie Europejskim.

Polska Konstytucja, jak i prawo pracy mogą także stanowić podstawę do przygotowania szczegółowych ustaw antymobbingowych.

Niestety, jak dotychczas nawet to prawo nie do końca obowiązuje na uczelniach. Na uczelniach nadal obowiązuje „prawo” z powieści Orwella: *„Wszystkie zwierzęta są równe, ale niektóre zwierzęta są równiejsze od innych”*.

Np. Art. 94 prawa pracy w praktyce nie stosuje się do uczelni. Oceny pracownika może na uczelni dokonywać anonimowa komisja, która może ferować oceny jak jej się podoba, niezależnie od faktów. Może zarzucić pracownikowi dowolne przewinienia bez przedstawienia jakichkolwiek dokumentów czy merytorycznego uzasadnienia. Żadne dokumenty przedstawiane przez pracownika nie mają żadnego znaczenia, a w szczególności opinie studentów czy młodych pracowników. Także opinie rzecznika dyscyplinarnego, o

ile są one niekorzystne dla uczelni, nie są brane pod uwagę przez polskie sądy.

Akta osobowe uczelnia może dowolnie kształtować, czyścić, usuwać dokumenty niewygodne dla uczelni, dopisywać niekorzystne dla pracownika (także byłego) tak, aby obraz jego działalności w uczelni był negatywny. Ale i tego nie można udowodnić, bo dostęp do dokumentów jest ograniczany lub zakazany, a uczelnie (np. UJ) jeszcze w 2003 r. powołują się na „prawo” stanu wojennego, które nadal jest ważniejsze niż ustawa o dostępie do informacji i Art. 51 {Konstytucji RP – „3.Każdy ma prawo dostępu do dotyczących go urzędowych dokumentów i zbiorów danych”.

Sądy na to nie reagują, powołując się na autonomię uczelni. Ale przecież autonomia uczelni dotyczy badań naukowych i procesu edukacji, a nie autonomicznego łamania dowolnego prawa. Nie jest tak, że uczelnia może być zgodnie z prawem państwem w państwie.

Czekając na mediatora

W uczelniach amerykańskich, a także europejskich istnieją biura University Ombudsman. Zadaniem takiego rzecznika (i zespołu) jest rozwiązywanie konfliktów wśród społeczności akademickiej, prowadzenie mediacji, zapobieganie mobbingowi itd.

U nas takich biur nie ma. Są natomiast powoływane komisje etyczne, ale te prezentują raczej interesy rządzących i w najlepszym razie nie mieszają się do konfliktów między władzami a podwładnymi – pracownikami najemnymi w uczelniach.

Komisja Etyki w Nauce PAN opracowała Dobre Obyczaje w Nauce, ale nawet sami autorzy nie mają zamiaru ich przestrzegać.

Stosowanie dobrych obyczajów w nauce i edukacji winno wykluczać, a przynajmniej ograniczać mobbing. Tak jednak nie jest.

Mamy zasady dobrych obyczajów, ale mamy i mobbing w znakomitej koegzystencji. Nierzadko te zasady w praktyce służą jedynie dla umocnienia władzy rządzących i załatwienia niewygodnego pracownika.

Na uczelniach są też rzecznicy dyscyplinarni czy komisje dyscyplinarne, ale umocowane przy rektorach. Jeśli rzecznik zachowujący niezależność wykaże, iż pracownik był szykanowany, był niewinny, a winny był przełożony, władze uczelni tworzące przyjazną mobbingowi strukturę takie raporty traktują jako niewiarygodne i zamykają je do sejfu. Co innego, gdy rzecznik służy pokornie do załatwienia niewygodnego pracownika. Wtedy dobrze spełnia swoją rolę wobec władz uczelnianych.

Niewątpliwie w naszych uczelniach potrzebni są rzecznicy akademicki niezależni od władz uczelnianych, a umocowani np. przy urzędzie prezydenta miasta czy wojewody. Nie można bowiem liczyć na to, że całą gamę patologii akademickich rozwiąże Rzecznik Praw Obywatelskich.

W zakresie likwidacji patologii akademickich urząd RPO nie ma się chyba czym pochwalić. Przy bierności RPO można było usuwać z uczelni nauczycieli bez możliwości odwoływania się do sądu, co stanowi pogwałcenie najbardziej podstawowych praw człowieka.

Do dziś łamane są na uczelniach prawa człowieka i nie ma instancji odwoławczych.

Utworzenie urzędu Rzecznika Akademickiego powinno być krokiem w stronę ograniczenia samowoli władz uczelnianych i przeciwdziałania patologii, w tym mobbingowi na uczelniach. Potrzebne są do tego odpowiednie przepisy prawne, a wykorzystane winny być doświadczenia uczelni amerykańskich i europejskich.

Kuriozalny system nauki i edukacji w Polsce nie powinien być dłużej tolerowany. Rzec w tym, że zespół profesorów pod patronatem Prezydenta RP pracuje nad ustawą o szkolnictwie wyższym, która zmierza do petryfikacji obecnego systemu na dziesiątki lat.

Finanse czy mobbing?

Na ogół za przyczynę kiepskiej kondycji nauki i edukacji w Polsce uważa się niski poziom finansowania tej sfery.

To, że nauka i edukacja są słabo finansowane, jest prawdą, ale prawdą jest również brak pozytywnej korelacji między wielkością nakładów finansowych a jakością rezultatów w tych dziedzinach.

Uzasadnione jest przypuszczenie, że istnieją inne przyczyny obecnego stanu nauki i edukacji w Polsce.

Duża część pieniędzy księgowanych po stronie nakładów na naukę i edukację jest marnotrawiona, a niemała część przeznaczana na nieprzyjazne dla nauki i edukacji poczynania mobbingowe.

Straty z tym związane nie są policzone, ale nie są one małe. Są naukowcy, którym odebrano możliwość finansowania badań, ale badania mimo to prowadzą, a nawet mają większe efekty niż w okresie pracy na uczelniach, kiedy byli poddawani mobbingowi.

Widać, że samo wydostanie się poza zasięg „maczug” profesorskich – efektywnych działań mobbingowych, może mieć pozytywny wpływ na rezultaty pracy. Gdyby zniszczyć „maczugi”, a przynajmniej ograniczyć ich zasięg rażenia, efekty pracy nauczycieli akademickich byłyby znacznie lepsze, przy tym samym, a nawet niższym poziomie finansowania.

Zrozumiała jest ucieczka młodych ludzi, kierowanych zapewne instynktem samozachowawczym, z uczelni i instytucji z nazwy naukowych. Często nie jest to ucieczka z przyczyn ekonomicznych.

Młodzież bywa świadoma tego, co ją czeka, jeśli zatrudni się w Polsce w instytucji z nazwy naukowej i w sposób niezależny i na wysokim poziomie zechce realizować

swoje pasje naukowe. Przez lata swoich studiów czy w początkach pracy naukowej młodzi ludzie mogli obserwować metody „poszukiwania prawdy” stosowane przez profesorów, mogli też obserwować skuteczność profesorskich „maczug” łamanych na grzbietach niepokornych.

Tekst opublikowany w dwumiesięczniku
Obywatel nr 6 (14)

Profesorowie i decydenci

Pozycja zagraniczna Cezarego Wójcika, autora artykułu „Rozwiązać PAN”, świadczy niewątpliwie o jego poziomie – jak trafnie zauważył autor tekstu „Profesorowie i decydenci” („P” nr 50), ale fakt, że polscy naukowcy na poziomie muszą pracować za granicą, nie świadczy dobrze o sytuacji nauki w Polsce.

Niestety, to bardzo częsty przypadek, że dla naukowców na poziomie nie ma u nas miejsca. Ci, którzy zdobyli pozycję za granicą, nie mają ochoty wracać, zresztą nie mają do czego.

Jeśli napiszą coś prawdziwego o nauce w Polsce, są elementem niepożądanym, podobnie zresztą jak ci, którzy z Polski nie wyjechali.

Niektórym nawet zamierza się odbierać doktoraty, wcześniej wyróżniane. Treść doktoratu pozostaje niezmienną, ale zmienia się jego ocena, jeśli tylko ktoś staje się niewygodny.

Tak wygląda system oceny polskich naukowców, który nie jest systemem opartym na kryteriach merytorycznych.

Opisany ostatnio w „National Geographic” przypadek zesłańca syberyjskiego Bronisława Piłsudskiego (brata marszałka) najlepiej świadczy, że już dawniej łatwiej było naukowcom przetrwać na syberyjskim zesłaniu niż w środowisku nauki polskiej.

Niestety, nie widać zmian na lepsze. Celem nauki polskiej jest bowiem zdobywanie tytułów, natomiast celem nauki sensu stricto jest poznawanie prawdy.

Jeśli tego się nie zmieni, nic się nie zmieni.

W Polsce pozostaną jedynie posiadacze wielu tytułów, za co uczelnie będą dostawać wiele punktów akredytacyjnych, gdy za granicami będą poszukiwać miejsca uczeni o dobrym poziomie jak Cezary Wójcik. Nie jest to dobra prognoza na przyszłość.

Józef Wieczorek, Kraków

Tygodnik PRZEGLAD nr. 52/1 ,4 stycznia 2004 r. s.98

STARY SYSTEM W NOWYCH SZATACH

O prezydenckim projekcie ustawy o szkolnictwie
wyższym

Reforma edukacji ,od przedszkola do doktora' została zahamowana, bo reforma ta nie miała głowy.

Zreformowano przedszkola i nieco szkoły ,niższe', a szkoły wyższe pozostały skansenami nie do końca upadłego systemu socjalistycznego.

Kształceni w skansenach PRL nauczyciele nie stali się motorniczymi, lecz są hamulcowymi reform. Wyższe uczelnie kształcą już masowo doktorów, ale tych nie wchłaniają ani szkoły wyższe, ani upadający przemysł, ani szkoły ,niższe'.

Doktor, nawet z dużymi osiągnięciami dydaktycznymi na uczelni, nie ma na ogół szans na zatrudnienie w liceum czy gimnazjum, gdyż stanowiłby konkurencję dla niekreatywnego zespołu takiej szkoły. Nawet gdyby wygrał konkurs na takiego nauczyciela to musiałby

przejsć przez staż, np. u słabego swojego wychowanka, który może być już mianowanym, a może i dyplomowanym nauczycielem.

Taki jest kuriozalny system promujący mniejsze kwalifikacje i brak kreatywności. Żadna z dotychczasowych ustaw tego nie znosi, bo ustawy są cząstkowe i nie uwzględniają interesu całego społeczeństwa a tylko interes jakiejś grupy, która ma siłę przeforsować korzystną dla siebie ustawę.

Tak też jest z ustawą o szkolnictwie wyższym, której projekt przygotowywany jest przez zespół prezydencki. Ten projekt nazwano też profesorskim, bo przygotowywany jest przez profesorów i zabezpiecza dobrze ich interesy.

Skazani na peryferia

Profesorowie argumentują, że taka ustawa jest potrzebna aby być w zgodzie z tworzeniem jednej przestrzeni dydaktycznej i naukowej w Europie co zapisano w tzw. Karcie Bolońskiej sformułowanej i podpisywanej przez rektorów uczelni europejskich.

Jednakże projekt prezydencki nie jest zgodny z Kartą Bolońską. Gdy zostanie wdrożony, nie znajdziemy się w przestrzeni europejskiej, a co najwyżej – na jej peryferiach.

Nowa ustawa nie zajmuje się kompleksowo zmianami w nauce i edukacji. Stanowi dostosowanie do już istniejących rozwiązań mających swe korzenie w PRL, jak np. piramidalnie rozbudowany system stopni i tytułów naukowych (w tym profesora belwederskiego – kuriozum na skalę światową). Odnosi się wrażenie, że chodzi o przebranie starego systemu w nowe szaty.

Potęga habilitacyjna, mizéria naukowa

Polska jest potęgą habilitacyjną, ale mizerią naukową i tak może pozostać na lata.

Wielu profesorów protestuje przeciwko uproszczeniu awansu naukowego na wzór amerykański przypominając konsekwencje politycznie uwarunkowanych awansów po 1968 r. („docenci marcowi”). Ale politycznie uwarunkowane awanse miały miejsce i po roku 1989 r. a zdarzają się także obecnie.

Wymóg habilitacji wcale nie zamknął miernotom drogi do awansów. Profesorowie habilitowani mają trudności z wykrywaniem plagiatów, z formowaniem nowej kadry naukowej, prowadzeniem dydaktyki na wysokim poziomie, a zwykli doktorzy nie mieli z taką działalnością większych problemów, poza problem nienawiści ze strony „profesorów”.

Jakoś dziwnie wielu „uczonych inaczej, robi tzw. habilitacje nie wtedy gdy pracują na uczelniach, lecz wtedy gdy pracują na ministerialnych czy pokrewnych stanowiskach. Ciekawe, że dopiero po przejściu do polityki znaleźli czas na prace naukową.

Mierni naukowo, ale dobrze umocowani politycznie i towarzysko, bez problemów się habilitują.

Mamy wielu profesorów po habilitacjach w Akademiach Nauk Społecznych (przy KC PZPR), mamy profesorów po habilitacjach w Moskwie, Mińsku, Kijowie, w NRD, bo tam jest (lub był) system z naszym kompatybilny.

Absolwenci i doktorzy Harvardu czy innych renomowanych uczelni mają natomiast problemy nie

tylko z awansem, ale w ogóle z zatrudnieniem w polskim systemie nauki i edukacji.

Podobnie jest z niezależnymi naukowcami rodzimego chowu. Przegrywają ustawione konkursy na obsadzanie etatów uczelnianych.

Jeśli przetarg gospodarczy jest ustawiony to istnieje szansa, że opozycja polityczna taki przetarg zakwestionuje, a media opiszą.

A czy ktoś czytał o ustawionych konkursach na uczelniach?

O ustawionych konkursach na wygrywanie projektów badawczych – grantów KBN?

A to jest standard w tradycji nauki polskiej.

Chyba dlatego media o tym nie piszą i wszyscy uważają, że tak winno być. Projekt nowej ustawy prezydenckiej tego tematu nie podejmuje.

Generałami nie liczy się armii

Europa otwiera się na USA, gdzie nauka nie jest umocowana politycznie, a jej cel stanowi nie uzyskiwanie stopni i tytułów, tylko osiągnięcie nowych wyników.

W USA habilitacji nie ma, a nauka jest na światowym poziomie.

U nas uczony po habilitacji często zawodowo się wypala – tacy ludzie do emerytury nie są już w stanie nic zrobić. Nierzadko zajmują się tylko obroną zajmowanych pozycji i niszczą potencjalną konkurencję, zamiast tworzyć aktywne naukowo zespoły badawcze.

W krajach gdzie naukę uprawia się na serio, prowadzi się najczęściej badania zespołowe. U nas priorytetem jest zdobywanie licznych stopni i tytułów, a te trzeba zdobywać w samotności, jak ostatnio słyszałem (na rozprawie sądowej!) od profesora doktora habilitowanego, który wyraźnie oddzielał proces prowadzenia badań naukowych (w zespołach) od procesu awansu naukowego (praca w samotności).

I w tym miał rację, bo tak u nas jest. Albo się uprawia naukę, albo się zdobywa stopnie. I tak ma pozostać !?

Stopnie i tytuły są celem nauki polskiej. Jeśli tego się nie zmieni, nic się nie zmieni. Nie można rozwoju nauki mierzyć tylko wzrastającą krzywą utytułowanych, co bardzo lubią biurokraci. Niestety, u nas rozwój nauki tak się mierzy.

Po wprowadzeniu prezydenckiego projektu ustawy nauka w Polsce będzie nadal bardziej kompatybilna z nauką białoruską, czy ukraińską, niż z tą uprawianą w krajach Unii Europejskiej. Po habilitacji najlepiej będzie nadal jeździć za Bug, bo zza Odry, czy zza oceanu nic podobnego nie uda się przywieźć.

W prezydenckiej ustawie od ilości profesorów uzależniony jest podział szkół na akademickie i nie-akademickie. Uczelnie między sobą się różnią – i to znacznie. Podział jest konieczny, ale czy kryteria podziału są zasadne?

Czy rzeczywiście poziom nauczania w uczelni jest uzależniony od ilości profesorów?

Czy siła armii uzależniona jest od ilości, często kiepskich, generałów?

Po co nam doktorzy

W Polsce masowo kształcą się doktorów. Ale jaka z nich korzyść?

Dlaczego kształceni w takich ilościach doktorzy nie stanowią podstawowej kadry nowych uczelni niepaństwowych? Wielu z nich nie może znaleźć pracy. W czym problem? Czy profesorowie nie biorą na serio

doktorów, których sami wypromowali bo wiedzą, że oni się do niczego nie nadają, czy też doktorzy są tak dobrzy, że obawiają się ich konkurencji ?

Brak badań w tej materii, więc trudno odpowiedzieć na to pytanie.

Za granicami doktorzy nadal się kształcą – w różnych zespołach, na różnych uczelniach. Jeśli publikują w dobrych czasopismach, biorą udział w kształceniu kadry, mogą walczyć o etaty na uczelniach.

Do konkursów staje i 100, a nawet więcej doktorów. Wygrywa najczęściej najlepszy.

U nas do konkursu staje na ogół jedna wytypowana osoba, reguły konkursu są dostosowane do jej kwalifikacji, i z góry wiadomo, że jest to osoba najlepsza.

Często jest to krewny kogoś z pracowników uczelni, bo u nas kryteria genetyczne dominują nad merytorycznymi. Do takich doktorów kadra uczelni nie ma zaufania, ale nie ma też siły ani chęci wyjścia poza ten zamknięty krąg.

Dopiero mianowani przez prezydenta nie-magistra profesorowie belwederscy są u nas kadrami cenioną bo

pochodzącą z namaszczenia pozauczelnianego.

Prezydencki projekt ustawy o szkolnictwie wyższym ten stan petryfikuje bo inaczej do głosu by mogli dojść niesformatowani doktorzy i rozpędzić ten cały cyrk.

Józef Wieczorek

Opublikowane w: Gazeta Polska, 21 stycznia 2004

REAKCJE:Ustawy pierwszej potrzeby

„Rzeczpospolita” 20 stycznia w artykule „Ustawy pierwszej potrzeby” sugeruje, że posłowie powinni uchwalić jeszcze w tej kadencji ustawę – Prawo o szkolnictwie wyższym.

Niewątpliwie ustawa o szkołach wyższych jest potrzebna. Problem w tym, że ta, którą przygotowano, nie jest ustawą pierwszej ani nawet dalszej potrzeby. Nie gwarantuje ani wysokiej jakości kształcenia studentom, ani wysokiej jakości badań i nauczania nauczycielom akademickim.

Można mieć różne poglądy na temat reformowania nauki i szkolnictwa wyższego w Polsce, ale chyba dwie kwestie są zasadnicze – dorobek naukowy musi być jawny, oraz muszą być jawne i otwarte konkursy na obsadzanie etatów.

Bez jawności dorobku naukowego, a także edukacyjnego, wszelkie oceny pracowników czy szkół wyższych to lipa! Bez jawnych i otwartych konkursów żadnych

pozytywnych zmian w nauce i szkolnictwie wyższym nie będzie. Okazuje się, że organy, które mają odpowiadać za szkolnictwo wyższe, nie uważają się za organy właściwe do oceny dorobku naukowego nauczycieli akademickich lub kontroli fikcyjnych konkursów na obsadzanie etatów przez „swoich”.

Ustawianie konkursów na uczelniach jest regułą i nie budzi to zainteresowania mediów w przeciwieństwie do ustawianych przetargów.

Niestety, takimi „drobiazgami” ustawa też się nie zajmuje i utrwała tym samym patologiczny system głęboko zakorzeniony w PRL.

Ponadto ustawa dyskryminuje obywateli polskich w zatrudnianiu na uczelniach i nie przewiduje instytucji mediatora akademickiego, co zapewni utrzymanie feudalnego systemu tak charakterystycznego dla dzisiejszych uczelni.

To tylko kilka przykładów wad ustawy, która może się okazać kolejnym bublek legislacyjnym.

Józef Wieczorek, Kraków

Autor jest inicjatorem Niezależnego Stowarzyszenia na

rzecz Nauki i Edukacji oraz redaktorem portalu
Niezależne Forum Akademickie
Tekst opublikowany na łamach Rzeczpospolitej – Prawo
co dnia 22.01.2004

W poszukiwaniu kompromisu

Dyskusja nad projektem prezydenckim ustawy o szkolnictwie wyższym („W poszukiwaniu kompromisu”, „Rz” 4, 6.01.2004 r.) dotyczy głównie sprzecznych interesów uczelni państwowych i niepaństwowych, a pomija sprawy zasadnicze.

Po pierwsze projekt prezydencki w ogóle nie powinien powstać, aby projekt ustawy był zgodny z Wielką Kartą Uniwersytetów Europejskich (tzw. Karta bolońska), która mówi „jego (tj. uniwersytetu) działalność naukowa i dydaktyczna musi być moralnie i intelektualnie niezależna od władzy politycznej i ekonomicznej”.

Niestety, nasz system nauki i edukacji jest ustawowo zależny od władzy politycznej i ma taki pozostać, mimo że społeczeństwo głosowało za wprowadzeniem w Polsce standardów unijnych.

Nad tym jednak panowie rektorzy uczelni państwowych i niepaństwowych jakby przechodzili do porządku

dziennego. A właściwie zajmują się forsowaniem swoich partykularnych interesów, łamiąc tym samym Kartę bolońską i wolę społeczeństwa.

Rektorzy uczelni niepaństwowych, zamiast dążyć do zmiany systemu edukacji w Polsce, walczą o zachowanie patologii wieloletowej (dla profesorów) i w gruncie rzeczy o bezetatowość doktorów.

W obecnym systemie szkolnictwa wyższego „profesorowie” pracują rzekomo nawet po 32 godz. na dobę (ziemską?!), prowadząc dziesiątki, a nawet setki prac „dyplomowych”, których treści nawet nie znają.

Natomiast doktorzy, którzy mieli znakomite osiągnięcia w pracy ze studentami i są aktywni naukowo, na uczelniach pracować nie mogą, bo kontrast z profesorami („belwederskimi” czy „namiestnikowskimi”) jest zbyt duży.

Tego ani rektorzy szkół państwowych, ani niepaństwowych jakoś nie mają zamiaru zlikwidować.

Wieloletowość profesorów i bezetatowość doktorów powinna być zakazana ustawowo.

Kuriozalny jest stan, kiedy polski doktor może wykładać za granicami, recenzować dorobek zagranicznych uczonych, ale w kraju taka działalność ma być domeną jedynie korporacji „profesorów”, niedającej sobie rady z kształceniem kadr uczelnianych.

Jeśli profesorowie twierdzą, że wychowani przez nich doktorzy nie potrafią uczyć, chyba jest to samoocena przydatności takich profesorów do pracy na uczelniach.

Profesor to powinno być stanowisko dla tych doktorów, którzy potrafią na wysokim poziomie uczyć i prowadzić badania naukowe, a nie tytuł umocowany politycznie dla posłusznych. Lojalność w stosunku do mających władzę i kasę nie może być podstawowym atrybutem nauczycieli akademickich.

Polsce nie jest potrzebny kompromis uczelni państwowych i niepaństwowych w sprawie ustawy prezydenckiej. Polsce potrzebny jest nowy, apolityczny system edukacji.

Józef Wieczorek, Kraków

Rzeczpospolita 20.01.2004

Patologiczna ustawa

Opracowany tzw. prezydencki projekt ustawy o szkolnictwie wyższym w dużym stopniu petryfikuje obecny kuriozalny system nauki i edukacji w Polsce. Z samej istoty jest on niezgodny z tzw. kartą bolońską wbrew twierdzeniom zespołu prezydenckiego, że powstaje dlatego, aby spełnić wymagania karty bolońskiej. Karta zakłada niezależność moralną i intelektualną uniwersytetu od władzy politycznej. Z projektem prezydenckim jest dokładnie inaczej.

Projekt nie znosi wieloetatowości, gdyż dwa etaty to też wiele!!!

Uzależnienie wieloetatowości od woli rektora wzmocnia i tak silne kryterium lojalności pracownika w stosunku do trzymających władzę na uczelniach.

Nieposłuszni, niewygodni będą dyscyplinowani karą jednoetatowości.

Ustawa nie likwiduje też bezetatowości niewygodnych dla władz uczelni doktorów i zapewnia profesorom

dożywotnie etaty i przywileje bez wykazywania się aktywnością naukową i osiągnięciami edukacyjnymi.

Ustawa zachowuje system stopni i tytułów swoisty dla tzw. nauki polskiej, odbiegający od standardów europejskich, w tym kuriozalny tytuł profesora belwederskiego, czy raczej namiestnikowskiego.

W ustawie nie ma mowy o wprowadzeniu instytucji mediatora akademickiego na wzór uniwersytetów w pełni europejskich, stąd jedynym sprawiedliwym ma być rektor, mający do swojej dyspozycji i tak wiele środków, aby dyscyplinować czy wręcz usuwać niewygodnych dla siebie pracowników.

Ustawa jest zarazem przyjazna dla mobbingu, któremu pracodawca zgodnie z nowym kodeksem pracy winien przeciwdziałać, a nie stwarzać przyjazny klimat.

Wewnętrzna sprzeczność stanowionego prawa nie jest u nas wyjątkiem, lecz regułą, co projekt ustawy prezydenckiej potwierdza.

Ustawa zakłada też nierówność w zatrudnianiu obywateli polskich i zagranicznych w uczelniach, co nawiązuje do zasady Mrozka „Polak też Murzyn, tyle że biały”.

Ustawa jest niezgodna z Konstytucją III RP i tak łamaną obecnie na uczelniach, więc w przypadku jej przyjęcia przez Sejm będzie można ją zaskarżyć do Trybunału Konstytucyjnego, a także do Trybunału Europejskiego.

Niestety, media jednostronnie i bałamutnie informują społeczeństwo o projekcie ustawy, blokując głosy wyrażające poglądy inne od oficjalnych.

JÓZEF WIECZOREK

Dziennik Polski 16.02.2004

O mobbingu inaczej

Niedawno znakomity felietonista Maciej Rybiński („Przepisy, jaja i postępy”, „Rz” 12, 15.01.2004 r.), a ostatnio znakomity publicysta Bronisław Wildstein („Dręczenie prawa”, „Rz” 53, 3.03.2004 r.) krytykowali antymobbingowe zapisy w nowym prawie pracy.

Pewnie, że nie są doskonałe, ale znajomością problematyki obaj panowie nie grzeszą.

Aż dziw, bo to problem stary jak świat, a nam bardzo bliski, bo w niedawnych przecież komunistycznych czasach właśnie mobbing był jedną z metod planowego niszczenia niewygodnych, opozycyjnych osób.

U nas, niestety, nad tym nie prowadzi się badań, bo po co zmazywać „grubą kreskę”, ale o takich metodach w NRD co nieco wiemy (np. E. Matkowska „System”).

Mimo zmian ustrojowych mobbing nie zniknął, bo jest ponadustrojowy.

Psychiczne niszczenie ludzi nie sprzyja rozwojowi ani edukacji, ani nauki, ani gospodarki. Jest bardzo kosztowne, więc jakoś należałoby temu zapobiegać.

Wprowadzenie mobbingu do prawa co prawda nie zlikwiduje tego paskudnego zjawiska, ale daje pewną szansę ludziom poddanym terrorowi psychicznemu. Redaktor Wildstein chyba nie jest mobbingowany, bo inaczej nie moglibyśmy czytać jego na ogół znakomitej publicystyki, ale na uczelniach profesorowie sadyści potrafią skutecznie wykańczać zagrażających im podwładnych, tak że nie są w stanie niczego napisać.

Bo jak mogą pisać, skoro są psychicznie wykańczani, a dostęp do komputera jest im zakazany, natomiast prace wykonane „nielegalnie”, poza miejscem pracy, się nie liczą!

Trzeba by zapisać niejedną „Rzepę”, aby przedstawić wymyślne metody znęcania się nad podwładnymi, bynajmniej nie dlatego, że źle pracują. Całkiem odwrotnie!

Zarzuty mobberów nijak się mają do realiów i na tym polega ich niszcząca siła.

Niestety, na uczelniach siła mobberów jeszcze wzrośnie, jeśli tylko zostanie przyjęty prezydencki projekt ustawy o szkolnictwie wyższym – projekt promobbingowy, bo i mobberów w zespole jego twórców nie zabrakło. Mediatora akademickiego w projekcie się nie przewiduje, więc i procesy mogą być liczne.

Rozwiązywanie podobnych problemów poza sądami, na przykład za pomocą „maczug”, nie byłoby zgodne z prawami człowieka, bo na uczelniach w „maczugi”, i to dalekiego zasięgu, wyposażona jest jedynie kadra trzymająca władzę. Dobrze zatem, że mobbing znalazł się w prawie i dobrze by było o tym rzetelnie informować.

Józef Wieczorek, Kraków
Rzeczpospolita 5.03.2004

Finanse i prawda

Dyskusja po tekście prof. Andrzej Białasa „Manifest fundamentalisty” opublikowanym w Dzienniku Polskim

Chwała szanownej redakcji i panu profesorowi za ten manifest i zachętę do dyskusji. Jest ona bardzo potrzebna w okresie, gdy na wydatki na naukę przeznaczają się znikome pieniądze, a przy tym w niemalym stopniu są to wydatki niekontrolowane. To, co jest księgowane po stronie wydatków na naukę, niekoniecznie dobrze jej służy.

Na ogół społeczeństwo orientuje się, że istnieje taka instytucja jak KBN (Komitet Badań Naukowych), która rozdziela pieniądze na naukę, organizując m.in. konkursy na projekty badawcze. Są to pieniądze z kieszeni podatnika.

Niewielu jednak – nawet tych „robiących” w nauce – orientuje się, że brak jest solidnej bazy danych o

rezultatach tych projektów i jakoś taka baza od lat powstać nie może.

W gruncie rzeczy niewielu się tym interesuje, z czego można wnioskować, że badania, które są finansowane z kiepskiego budżetu, tak naprawdę niemal nikogo nie interesują. Może prawdy w tych badaniach nie ma co szukać? Więc po co je finansować? Na to powinni odpowiedzieć decydenci.

Skoro budżet na naukę jest kiepski, to powinno się finansować takie badania, które nie będą utajniane i którymi będą się interesować inne osoby poszukujące prawdy.

Żeby zakończyć takie spekulacje, należy badania finansowane z kieszeni podatnika ujawnić i poddawać pod merytoryczną krytykę.

Nauka tam się kończy, gdzie kończy się możliwość krytyki. U nas krytyka merytoryczna na ogół nie jest możliwa, więc pozostaje pytanie – czy to, co się u nas uprawia, to nauka?

Słuszne są postulaty, aby zwiększyć nakłady na naukę, ale jeszcze słuszniejszy byłby postulat, aby zwiększyć

efekty finansowanych badań, bo przy obecnym systemie nauki w Polsce zwiększenie nakładów nie zwiększy efektów, lecz zwiększy jedynie marnotrawstwo i tak małych środków finansowych.

Żadnych pozytywnych relacji między nakładami na naukę a rezultatami nie da się u nas uchwycić.

Profesor Andrzej Białas słusznie pisze, że podstawowym celem badań naukowych jest bowiem POSZUKIWANIE PRAWDY. Problem w tym, że niewielu to odpowiada.

W starszym statucie Uniwersytetu Jagiellońskiego, instytucji, która winna poszukiwać prawdy i nauczać metod jej poszukiwania, była taka definicja Uniwersytetu (cytuję z pamięci) – *Uniwersytet to korporacja nauczających i nauczanych wspólnie poszukujących prawdy.*

Widocznie brzmiało to śmiesznie i staroświecko, skoro ta definicja z nowego statutu szacownej Almae Matris została usunięta. W czasach, kiedy uczelnie zamieniono w korporacje kasujące kasę i dyplomy, ta definicja miała się do rzeczywistości jak pięść do nosa.

„Gruba kreska” w nauce nie powinna być stosowana. Prawda nawet niewygodna winna być poddawana badaniu i upublicznianiu. Jednak rzadko tak jest.

Kiedy do Krakowa przyjechali twórcy „Czarnej księgi komunizmu” – Stephane Courtois i Jean-Luis Panne i w Collegium Novum spotkali się ze społecznością Krakowa, nie było tam ani rządzących społecznością akademicką, ani prześwietnych krakowskich historyków.

Ciekawe dlaczego?

Czyżby to był problem mało nośny naukowo?

Przecież nośnikiem komunizmu były w niemałym stopniu środowiska intelektualne, w tym znakomici uczeni.

Niestety, „Czarna księga komunizmu w nauce i edukacji” jak do tej pory nie ma szans na powstanie. Powstają „księgi jubileuszowe”, „księgi złote”, ale żeby opracować „księgę czarną” i to komunizmu w nauce, to by było już za wiele.

Na to pieniędzy publicznych nie przeznaczymy, bo o nas można pisać tylko złotymi, a nie czarnymi zgłoskami.

Taki jest stan poszukiwania prawdy w środowiskach akademickich. Można jedynie wyrazić nadzieję, że prezes Polskiej Akademii Umiejętności, stojąc na fundamentach

swego manifestu, nie tylko pozwoli, ale będzie wspierał poszukiwanie prawdy, bo bez niej nie ma nauki.

Wcześniej czy później (raczej wcześniej) prawda wyjdzie na jaw – jak pisze prof. A. Białas i miejmy nadzieję, aby wyszła raczej wcześniej.

JÓZEF WIECZOREK, Kraków
DZIENNIK POLSKI 19.03.2004

Stan wojenny przede wszystkim

Bardzo dobrze, że Instytut Pamięci Narodowej ma zamiar zająć się aktami prawnymi związanymi ze stanem wojennym („Stan wojenny przede wszystkim”, „Rz” 10, 13.01.2004 r.).

Chciałbym zwrócić uwagę na konieczność rozpatrzenia aktów prawnych stanu wojennego, których wprowadzenie w życie doprowadziło do osłabienia potencjału naukowego i edukacyjnego Polski, o czym do tej pory się nie mówi.

Władze uczelni, korzystając z „prawa” stanu wojennego, oczyszczały uczelnie z niewygodnych osób, oskarżając je np. o negatywny wpływ na młodzież czy stawiając jakieś absurdalne zarzuty bez jakiegokolwiek uzasadnienia merytorycznego.

Spółeczna Komisja Pojednawcza, działająca w 1990 r., w wypadku braku chęci pojednania ze strony uczelni była bezradna, gdyż nie miała kompetencji przywracania do pracy osób niewygodnych dla władz.

Środowiska naukowe i uczelniane nie zostały oczyszczone w okresie transformacji, dlatego uczelnie i jednostki naukowe pozostały skansenami nie do końca upadłego PRL.

Decyzje władz niektórych uczelni jednoznacznie świadczą o wciąż aktualnej wyższości „prawa” stanu wojennego nad Konstytucją III RP.

To niebywałe, ale np. władze UJ odmawiają do dnia dzisiejszego wglądu w istotne akta dotyczące nauczycieli akademickich, powołując się właśnie na „prawo” stanu wojennego!

Co więcej, fragmentarycznie udostępniane akta świadczą o tym, że czyszczono je i kształtowano jeszcze w latach 90.

Niestety, prawdziwej historii nauki i edukacji nie można poznać bez możliwości oparcia się na dokumentach.

Niektóre „historie” uczelni pomijają natomiast kontekst historyczny i brakuje w nich jakichkolwiek wzmianek o istnieniu stanu wojennego, a także informacji o skutkach stosowania „prawa” stanu wojennego dla nauki i edukacji.

Najwyższy czas, aby zaczęły powstawać niezależne i zgodne z prawdą prace dotyczące okresu stanu wojennego.

Na opracowanie czeka czarna księga komunizmu w nauce i edukacji obejmująca również lata 80. Jest konieczne, aby te problemy znalazły się w harmonogramie prac IPN.

Józef Wieczorek, Kraków

RZECZPOSPOLITA, 16 stycznia 2004

Prof. dr hab. dożywotni

Polska nauka choruje na tytułomanię

W polskiej nauce ciągle obowiązuje tytułomania niespotykana w innych cywilizowanych krajach. Najwyższa pora z tym skończyć i uprościć procedury nadawania stopni naukowych.

W sejmowej komisji edukacji, nauki i młodzieży znajduje się projekt nowej ustawy Prawo o szkolnictwie wyższym autorstwa grupy profesorów pod patronatem prezydenta RP.

Niestety, petryfikuje on obecny system, będący swoistą hybrydą rozwiązań sprzed II wojny światowej z sowieckimi naleciałościami.

Utrwała rozbudowaną tytułologię w polskiej nauce, która nie jest stosowana nigdzie poza krajami takimi jak Białoruś, Kuba, Wietnam i Korea Północna. Tak się niestety składa, że zgodnie z obowiązującym prawem Rzeczpospolita Polska z zasadą wzajemności uznaje

tytuły naukowe nadawane przez te państwa z dawnego „obozu pokoju i przyjaźni”, nie uznaje natomiast tytułów z krajów takich jak USA.

Tak więc profesor z nadania Łukaszenki jest również w Polsce profesorem, podczas gdy profesor Harvard University profesorem u nas nie jest.

Kogo uznajemy

Na mocy umów międzynarodowych Rzeczpospolita Polska uznaje dokumenty o wykształceniu, stopnie i tytuły naukowe z następujących państw: Armenii, Austrii, Białorusi, Chorwacji, Czech, Słowacji, Estonii, Jugosławii, Kazachstanu, Kirgizji, KRLD, Kuby, Libii, Łotwy, Mołdawii, Mongolii, Niemiec, Rosji, Rumunii, Słowacji, Słowenii, Syrii, Tadżykistanu, Ukrainy, Uzbekistanu, Węgier, Wietnamu, ZSRR.

Źródło: www.buwiwm.edu.pl/uzn/Informator.htm

Panuje u nas przekonanie, że oznaką mądrości są siwe włosy i długi tytuł naukowy przed nazwiskiem.

Tymczasem na świecie największe odkrycia są dziełem ludzi młodych, którzy mają jedynie tytuł doktora. Długie tytuły zaspokajają przede wszystkim ambicje ich posiadaczy i są w większości nieprzetłumaczalne i niezrozumiałe dla cudzoziemców.

Za granicą miarą uczonego jest jego dorobek lub uczelnia, na której pracuje. Polacy uwielbiają się nawzajem tytułować. Niedysiejsze Panie Podczaszy i Panie Cześniku teraz zastąpione zostało Panem Docentem, Panem Profesorem, Panem Magistrem itp. Najwyższa pora skończyć z tym samouwielbieniem!

Polskie tytuły (doktoraty i habilitacje) nadawane są bądź przez uczelnie i zatwierdzone przez Centralną Komisję do spraw Tytułów i Stopni Naukowych (CKTSN), bądź też nadawane są przez prezydenta RP (tzw. profesury belwederskie, obecnie namiestnikowskie).

Przyznawanie profesur przez głowę państwa jest niespotykane w demokratycznych krajach. Polskie tytuły łączą się z pewnymi szczególnymi przywilejami, jak chociażby z dożywotnim okupowaniem posady – bez względu na aktywność naukową i edukacyjną, lub z faktem, że od instytucji naukowych – w tym prywatnych

uczelni – wymaga się zatrudniania określonej liczby profesorów i doktorów habilitowanych bez wnikania w to, jaki reprezentują poziom.

Mimo ogromnego w Polsce bezrobocia, dotykającego także absolwentów szkół wyższych, również ze stopniem doktorskim, jest ono niespotykane wśród doktorów habilitowanych i profesorów – wprost przeciwnie, znajdują oni zatrudnienie (nierazko fikcyjne) na wielu etatach równocześnie.

Tymczasem na świecie megalomania tytułów naukowych dawno zniknęła. Z punktu widzenia uczniów i studentów każdy nauczający jest profesorem.

Tytułem doktora posługują się naukowcy rozmaitych dziedzin. Gdy prowadzą oni zajęcia ze studentami, są także profesorami, ale profesura jest bardziej stanowiskiem niż tytułem – odchodząc z uczelni pozostaje się doktorem, lecz profesorem się już nie jest.

Z kolei nauczyciel w szkole średniej lub studium policealnym może nie mieć doktoratu, ale też jest tytułowany profesorem. Poza tym istnieją tytuły

zawodowe związane z ukończeniem określonych studiów i/lub przedstawieniem pracy dyplomowej, które nie są uznawane za tytuły naukowe sensu stricto. Doktorami tytułowani są lekarze, choć nie posiadają doktoratów w polskim znaczeniu.

Proponujemy znieść tytuły profesorskie oraz habilitację, pozostawiając kwestię nadawania tytułów naukowych uczelniom.

Powinny być one równoprawne z nadawanymi w USA, Europie Zachodniej, Japonii, Australii i innych demokratycznych krajach. Wprowadzono już u nas tytuł licencjata (amerykański bachelor) uzyskiwany po ukończeniu odpowiednika amerykańskiego collegu, czyli krótszych 2-3-letnich studiów nie zakończonych obroną pracy dyplomowej. Pozostał tytuł magistra (master) jako wyznacznik ukończenia pełnych studiów wyższych zakończonych obroną pracy magisterskiej.

Oddzielnym tematem jest kuriozalny tytuł lekarza medycyny nadawany absolwentom medycyny w Polsce. Zawdzięczają go władzy ludowej, która w 1947 r. pozbawiła ich tytułu doktora. Nie przeszkadza to ludziom w Polsce dalej tytułować lekarzy po prostu doktorami.

Tłumaczenie polskiego dyplomu na angielski to nie lada kłopot – literalny przekład tytułu lekarza na Title of Physician jest pozbawiony sensu, bo takiego tytułu nie ma chyba nigdzie na świecie.

Nie ma też magistrów medycyny, są natomiast doktorzy medycyny (Doctor of Medicine, M.D.), tak jak pół wieku temu w Polsce. Do tego należy powrócić. Uczyniono to już zresztą tylnymi drzwiami z pobudek czysto materialnych – polskie akademie medyczne wydają absolwentom płatnych studiów anglojęzycznych dla cudzoziemców dyplomy M.D.

Należy też przywrócić doktoratowi (Ph.D.) jego znaczenie jako podstawowemu stopniowi naukowemu, którego uzyskanie daje prawo nauczania i samodzielnego prowadzenia badań. Podczas gdy w USA doktoranci muszą uczęszczać na wykłady, zdawać egzaminy oraz pracować w kilku różnych laboratoriach, zanim wybiorą jedno z nich, gdzie poświęcą kilka lat na przeprowadzenie badań składających się na ich pracę doktorską, zrobienie doktoratu w Polsce jest dziecinną igraszką. Przy dobrych układach można go uzyskać niemal automatycznie przy minimalnym dorobku naukowym.

Co począć z habilitacją, rzadko spotykaną poza Polską i tracącą na znaczeniu nawet w Niemczech – dawnej potędze habilitacyjnej? Była w założeniu procedurą mającą potwierdzić, że uczony ze stopniem doktora jest w stanie samodzielnie prowadzić badania. W tym celu w ciągu kilku-kilkunastu lat od uzyskania doktoratu musi przedstawić rozprawę zbliżoną do doktorskiej przed radą wydziału i obronić ją; decyzja rady o nadaniu habilitacji jest dodatkowo weryfikowana przez CKTSN.

Korporacja profesorów często manipuluje podległymi im pracownikami, dopuszczając – lub nie – wybrańców do robienia doktoratów i habilitacji według własnego widzimisię. Przy czym najważniejszy jest nie dorobek i lepszy poziom naukowy, lecz lojalność wobec szefa, która jest wpisana w system i stanowi podstawowe kryterium oceny pracownika.

Centralna Komisja nieraz powstrzymywała nadanie habilitacji, gdy naciąganie dorobku naukowego było zbyt ewidentne. Z drugiej strony naukowcy z dorobkiem na światowym poziomie mogą co prawda zamiast rozprawy habilitacyjnej przedstawić swoje publikacje z czasopism

międzynarodowych poprzedzone streszczeniem, ale nie wszędzie jest to akceptowane.

Co jest na świecie potwierdzeniem, że uczonego reprezentuje dobry poziom merytoryczny? Bynajmniej nie oficjalny stopień w rodzaju habilitacji, lecz publikacje w recenzowanych czasopismach. O randze czasopisma decyduje jego współczynnik oddziaływania (tzw. impact factor), określane corocznie przez Instytut Informacji Naukowej z Filadelfii. Niestety, większość polskich periodyków naukowych, w których publikuje wielu kandydatów na doktorów habilitowanych, nawet nie znajduje się na tej liście lub ich współczynnik oddziaływania jest ułamkowy.

Zagraniczne uczelnie poszukujące młodego doktora na stanowisko profesorskie oceniają jego dorobek na podstawie listy publikacji, opinii u swoich nauczycieli akademickich i promotorów, wreszcie planów badawczych i przystawania profilu kandydata do planów uczelni. Najlepszy kandydat dostaje propozycję pracy. Oprócz odpowiedniej pensji i pieniędzy na przeprowadzkę, nowy profesor otrzymuje też dużą sumę na rozkręcenie działalności naukowej do czasu, aż zdobędzie pieniądze

na badania z funduszy państwowych i prywatnych (tzw. granty badawcze). Jeżeli mu się to powiedzie i jest na dodatek dobrze oceniany przez studentów, dostaje awans i przedłużenie kontraktu, niekiedy na okres nieokreślony, natomiast gdy mu się nie uda – musi się pożegnać z posadą.

Jest to system sprawdzony i powinien być wprowadzony na polskich uczelniach wraz z likwidacją tytułów profesorskich i habilitacji.

Precedens taki już zaistniał w Polsce – tak właśnie rekrutuje się pracowników w Międzynarodowym Instytucie Biologii Molekularnej UNESCO w Warszawie. O zatrudnieniu na stanowisku profesorskim decyduje tam międzynarodowa komisja z noblistą w składzie. Młodego profesora wybiera się spośród około 40 zgłoszonych kandydatów, a brak habilitacji nie jest żadną przeszkodą.

Polska nauka znajduje się w stanie zapaści i to nie tylko z powodu niedofinansowania. Reforma stopni i tytułów naukowych uprościłaby szczeble kariery naukowej, uzależniając je tylko od kryteriów merytorycznych. Likwidacja procedur nadawania habilitacji i profesur

pozwoili zaoszczędzić pieniądze, które będzie można wykorzystać na badania.

Cezary Wójcik, Józef Wieczorek

- Dr hab. n. med. Cezary Wójcik pracował w Akademii Medycznej w Warszawie, obecnie Research Assistant Professor w University of Texas Southwestern Medical Center w Dallas, Teksas, USA.

- Dr Józef Wieczorek, absolwent Uniwersytetu Warszawskiego, były wykładowca geologii na Uniwersytecie Jagiellońskim, obecnie geolog niezależny.

-

Tekst opublikowany w Polityce NUMER 30/2004 (2462)

Magister na zamówienie

Autorzy artykułu [„Magister na zamówienie”](#) („Rz” z 19 lipca) Arkadiusz Lach i Krzysztof Skowroński słusznie stwierdzają, że *„jednym z wysoce szkodliwych społecznie procederów związanych ze sferą szkolnictwa wyższego jest przedkładanie przez studentów prac magisterskich (licencjackich) napisanych przez inne osoby”*. Słuszna jest też negatywna ocena etyczna i pożyteczne omówienie kwestii kwalifikacji prawnej.

Niemniej generalna wymowa tego tekstu jest co najmniej dyskusyjna. Całkowicie w tych rozważaniach pominięto aspekt odpowiedzialności zarówno etycznej, jak i karnej promotorów, recenzentów i rektorów za doprowadzenie do takiego stanu, że firmy sprzedające prace dyplomowe kwitną, natomiast o sprawach karnych, a nawet dyscyplinarnych, studentów jakoś niewiele słychać.

Skoro pracownicy (promotor, recenzent, rzecznik dyscyplinarny, dziekan) są zobowiązani poinformować

drogą służbową rektora o swoim odkryciu nierzetelności, a tego nie czynią, to ponoszą odpowiedzialność co najmniej moralną.

Skoro instytucje państwowe po otrzymaniu sygnału o popełnieniu przestępstwa ściganego z urzędu są obowiązane niezwłocznie zawiadomić o tym prokuratora lub policję, to brak czy niewielka liczba takich zawiadomień wobec powszechności procederu chyba świadczy o tym, że te instytucje ponoszą odpowiedzialność co najmniej moralną za niezgłaszanie takich przestępstw.

Niestety, za plagiaty i inne nierzetelności nie tylko studentów, ale także pracowników naukowych, odpowiedzialność ponosi przede wszystkim kadra akademicka, która albo takich nierzetelności nie jest w stanie wychwycić (brak kwalifikacji, fikcyjny odbiór fikcyjnych prac dyplomowych bez rzetelnego przeczytania, bez rzetelnej znajomości rzeczy), albo ich nie chce ujawniać i karać.

Zasłanianie się obowiązującym prawem nie jest żadnym usprawiedliwieniem. Kwalifikacja prawna może być dyskusyjna, skoro tak dowodzą prawnicy, ale moralna nie.

W stosunku do ujawniających nierzetelności władze uczelniane czasem takiej pobłażliwości nie wykazują. Kierują sprawy do rzeczników czy komisji dyscyplinarnych i to ujawniający nierzetelności jest karany, a nie dopuszczający się ich. Oczywiście jeśli wyniki dochodzenia nie są po myśli władz uczelni, to się je utajnia, a delikwenta – mówiąc kolokwialnie – załatwia nawet dożywotnio, np. za niedorozwój naukowy, moralny, negatywne oddziaływanie na młodzież akademicką.

Władze mają tu szeroką gamę możliwości i potrafią z niej skorzystać. Jeśli rzecz ma miejsce np. w najstarszej polskiej wszechnicy, to jest niemal pewne, że sprawa w mediach nie zostanie ujawniona.

Józef Wieczorek, Kraków

Rzeczpospolita, Prawo co dnia 22.07.04 Nr 170

Urodzaj na Akademickie Kodeksy Etyczne

Postanowiono w lesie wreszcie wydać prawa.
Co może robić niedźwiedź, co lis, co trawa.
Uradzono przepisy, nowele, ustawy,
Osobno dla niedźwiedzi, dla lisów, dla trawy.
A potem prawodawcy, co prawa wydali,
Schodzili w bok przed misiem, a trawę deptali...
Jan Sztaudynger

W szkolnictwie wyższym nie dzieje się najlepiej. Coraz częściej słyszymy, a to o plagiatach profesorów czy doktorów tuszowanych na ogół przez solidarne środowisko, a to o pracach dyplomowych kupowanych w Internecie, a to o profesorach wieloletowcach – nierzadko fikcyjnych.

Jednym słowem dobrze nie jest.

Zauważyła to nawet senacka Komisja Nauki, Edukacji i Sportu Senatu RP, która po kontrolach NIK wydała oświadczenie na temat patologii w szkolnictwie wyższym, a także Konferencja Rektorów Szkół Akademickich, która wystosowała w tej sprawie osobny apel.

Wielu jednak nadal mówi, że nie można uogólniać – są przecież dobre uczelnie, porządni ludzie. Nie można w to wątpić.

Nawet w komunizmie byli porządni ludzie, ale system był jednak nieludzki i to uogólnienie jest uprawnione.

Uprawnione jest też uogólnienie, że z etyką korporacji akademickiej jest niedobrze, mimo że są w niej także porządni ludzie. O tym świadczą nie tylko z rzadka ujawnianie afery, ale przede wszystkim reakcje środowiska.

Właśnie przyzwolenie na przekręty, na wieloetatowość, na fikcyjne etaty, fikcyjne dyplomy to sygnały kiepskiej kondycji moralnej środowiska akademickiego.

Ostatnio obrodziły nam uczelniane kodeksy etyczne. Ich twórcy ogłaszają – tak dalej być nie może, ktoś musi

powiedzieć, że „król jest nagi”, trzeba zaprowadzić jakiś ład w środowisku akademickim.

W ubiegłym roku, w maju Senat UJ ogłosił Akademicki Kodeks Wartości. W ślady poszła Politechnika Wrocławska, a niewiele później AGH ogłaszając kolejne Akademickie Kodeksy Etyczne.

Czy to może napawać optymizmem? Na pierwszy rzut oka – tak. Są kodeksy to znaczy, że problem jest zauważony i próbuje się go rozwiązać dla dobra społecznego.

Im więcej uczelnianych kodeksów etycznych to może i „etyczność” środowiska rośnie. My lubimy krzywe, które rosną.

To weszło do naszej mentalności. Ale dlaczego nie ma jednego kodeksu etycznego nauczyciela akademickiego opartego na uniwersalnych wartościach etycznych?

Więcej niż Siedem Grzechów Głównych

Kodeksy zawierają zasady etyczne, które winny obowiązywać nauczyciela akademickiego, i to bez względu na stopnie oraz tytuły, jakie posiada, i bez względu na to, jakie stanowiska piastuje.

Założenia są surowe. Na ogół 9-11 zasad – więcej niż grzechów głównych. To może świadczyć o skali problemu i budzić nadzieje na poprawę.

W Akademickim Kodeksie Wartości mowa jest o takich wartościach jak odpowiedzialność, sprawiedliwość, rzetelność, lojalność, samodzielność, uczciwość, godność, wolność, którymi winni się kierować nauczyciele akademicy.

Nie zawsze jednak pozostają z nimi w zgodzie. Drogowskazy zostały albo zniszczone albo poprzestawiane. Nie wiadomo było, jak iść.

AKW ma być takim drogowskazem, tym razem dobrze umocowanym, trudnym do zniszczenia, niełatwym do przestawienia.

W AKW czytamy *„Powinnością każdego mistrza jest wychowanie innych mistrzów”*.

A jak z tym jest w rzeczywistości?

Mistrzowie się skarżą, że nie ma kto ich zastąpić.

Nie dodają jednak, że tych, którzy to mogli zrobić nierzadko „wycięli w pień”.

O tym nie mówią, narzekają, że to wina braku pieniędzy. Jeśli odejdą na emeryturę to pozostanie luka pokoleniowa. Muszą więc dalej być zatrudnieni, najlepiej na kilku etatach. Bo nikt ich przecież zastąpić nie zdoła.

Taki jest biedny los mistrzów, którzy nie wychowali innych mistrzów. No trzeba jednak wspomnieć o mistrzowskich wychowankach, którzy salwowali się ucieczką za ocean, aby mieć jakieś warunki do normalnej pracy naukowej.

Twórcy AKW objaśniają: „*Szkoła wyższa to zarazem wyższa szkoła sprawiedliwości. Sprawiedliwego stosunku wymaga merytoryczna i etyczna wycena pracy innych*”.

Tak być powinno, ale niestety jest całkiem inaczej. Ocena pracy nierzadko jest uzależniona od kryteriów genetycznych, kryteriów lojalności i zmienia się w

zależności od poglądów wypowiedzianych przez nauczycieli. Większość na wszelki wypadek albo się nie wypowiada w ogóle, albo się wypowiada anonimowo, pseudonimowo.

Podobnie jest z tolerancją, o której czytamy *„Tolerancja – to uważne wsłuchiwanie się w opinie innych, nawet w te przeciwstawne ogólnie obowiązującym, zwłaszcza naszym, osobistym”*.

Niestety takich opinii nikt nie chce słuchać, a najbardziej twórcy tych zasad. Ktoś, kto wykazuje odmienną – od decydentów – orientację intelektualną i moralną nie ma raczej szans na zrobienie kariery akademickiej.

Na pytania: czy AKW w jakiś sposób zapewni chociaż odpowiedni klimat do urzeczywistnienia tych zasad? Czy stworzy atmosferę dobrej roboty? Trudno odpowiedzieć z przekonaniem twierdząco.

Na szczególne uznanie zasługuje stwierdzenie AKW: *„Podkreślić trzeba z naciskiem, iż te same normy winny obowiązywać profesorów, co i oszukujących studentów, z tym, że ci pierwsi muszą bezdyskusyjnie i niezmiennie w*

ciągu całej kariery nauczyciela akademickiego świecić osobistym przykładem młodszym kolegom oraz całej studiującej młodzieży.”

Gdyby tę zasadę dało się wprowadzić w życie, gdyby chociaż twórcy AKW zaczęli świecić takim przykładem, to kondycja moralna środowiska akademickiego byłaby całkiem inna.

Lojalność ponad wszystko

Wśród wartości akademickich na czoło wysunięto zasadę lojalności. Sprawdza się zatem uniwersalność genialnego „Cesarza” Ryszarda Kapuścińskiego. Zacytujmy: *„Była to może najwybitniejsza indywidualność w elicie, człowiek godzien najwyższych zaszczytów i stanowisk. Cóż z tego, kiedy – jak wspomniałem – łaskawy pan nigdy nie kierował się zasadą zdolności, tylko zawsze i wyłącznie zasadą lojalności”.*

Niestety ta zasada jest częścią systemu nauki polskiej i tak zdaje się ma pozostać po wprowadzeniu w życie

zasad etycznych. W niemal każdym wystąpieniu na temat etyki właśnie ta zasada jest przywoływana.

Odnosi się wrażenie, że cały kodeks wartości został wokół niej zbudowany, stworzony tylko po to aby mieć zasadę lojalności na podporządkowaniu i szachować nią nauczycieli akademickich.

Kto nie jest lojalny wobec trzymających władzę w uczelni, nie ma większych szans na utrzymanie się na etacie. Inne wartości są na drugim planie. Nie mają takiej użytkowej wartości.

Etyka mierzona kilometrami

Senat UJ w ramach wcielania w życie zasad AKW ogłosił walkę z wieloetatowością.

Słyszymy, że ci, którzy pracują na kilku etatach stracili poczucie przyzwoitości. Argument słuszny i zasadny w aspekcie dobra publicznego.

Mamy bezrobocie, miliony ludzi bez etatów, a na uczelniach więcej etatów niż ludzi.

Niestety te decyzje są złudne. Okazuje się, że nieetyczni są tylko ci, którzy wykładają na wielu uczelniach

położonych w granicach miasta Krakowa, w odległości co najwyżej kilku kilometrów od serca Alma Mater.

Kto wykłada w odległości 50, 100 czy 500 km ma poziom etyczny wystarczający do bycia „metrem z Sevres” w środowisku akademickim.

Mamy zatem nowy system etyczny. Wreszcie znaleziono długo poszukiwany sposób pomiaru poziomu etycznego w populacji Homo sapiens academicus.

Poziom ten mierzy się obecnie w kilometrach!!!

I co na to nasi filozofowie-etycy, których dotychczasowe dysertacje nadają się tylko do kosza. Na razie jest w tej materii cicho, zapewne filozofowie mają na względzie zasadę lojalności.

Walkę z wieloetatowością w pierwszym porywie poparł też Rektor AGH, który jednak po zreflektowaniu się, że przecież sam jest wieloetatowcem, podobnie jak bardzo wielu jego elektorów, zmienił zdanie i w objaśnieniu do Akademickiego Kodeksu Etycznego AGH stwierdzał: „*Po pierwsze nie koncentrujemy się w nim na modnym problemie wieloetatowości, mniemamy bowiem, iż można etycznie pracować na więcej niż jednym etacie*”.

Czy to mniemanie jest zasadne? Obserwując spadający poziom absolwentów AGH mniemać można, że nie.

Czy kodeksy mają wpływ na etykę?

Szósta zasada Akademickiego Kodeksu Etycznego AGH głosi: „*Unikać rzeczywistych lub potencjalnych konfliktów interesów i działań wymierzonych w powagę i autorytet Uczelni*” natomiast w Gazecie Wyborczej nie tak dawno pisano, że podjęto działania w kierunku obdarzenia prezydenta Kazachstanu doktoratem h. c. Prezydent Kazachstanu to człowiek majątny, trzymający władzę, wraz z całą rodziną, nad tym wielkim państwem i jego zasobami węglowodorów.

Dobrze jest z takim trzymać i robić interes, ale czy to nie byłby interes „spod latarni”?

Czy powaga i autorytet uczelni nie zostałyby wystawione na szwank?

Dobrze, że te działania zostały ujawnione przez prasę, której jednak rektor AGH groził procesem. Dziewiąty i ostatni punkt kodeksu etycznego AGH mówi: „*Sprzeciwiać się każdej formie patologii życia akademickiego i*

społecznego”, ale jak widać w praktyce, jak ktoś ujawni patologię, to musi się liczyć z procesem!!!

Poszczególne uczelnie tworzą odrębne kodeksy etyczne dostosowane do interesów uczelni. Na ogół żadnych konsekwencji w stosunku do łamiących zasady nie zamierza się jednak wyciągać, bo traktowanie na serio kodeksów etycznych dotknęłoby także trzymających władzę w uczelniach. Rektorzy oczywiście w mediach apelują o zasady etyczne, ale na ogół pozostają głusi na swe apele.

O praktyce tylko teoretycznie

Jakieś dziesięć lat temu głośno było o „Dobrych Obyczajach w Nauce” stanowiących kontynuację wcześniejszego „Kodeksu Etycznego pracownika nauki”.

Autorzy „obyczajów” narzekali, że nikogo to nie obchodzi, że nikt nie chce dyskutować o etyce. Tak jednak nie było. Próbowałem ich zainteresować problemami etycznymi, łamaniem dobrych obyczajów w nauce. Ale nadaremnie.

Napisałem zatem tekst o tym jak dobre obyczaje w nauce wyglądają w założeniach, a jak jest w praktyce.

Chciałem tym tekstem zainteresować jedną z redakcji, aby spowodować dyskusję, choćby w Internecie.

Tekst uznano za godny uwagi, ale zostałem zobligowany do napisania o praktyce teoretycznie, bez wskazywania konkretnych przykładów.

Poczułem się jak nauczyciel ze znanego spektaklu „Przedstawienie Hamleta we wsi Głucha Dolna”, który na polecenie organizacji partyjnej miał przerobić Hamleta tak, aby go mogli grać wieśniacy. Niestety nie byłem w stanie napisać teoretycznie o praktyce i kontakt z redakcją się urwał.

Utworzono tymczasem przy KBN komisję etyczną, która miała mieć większą moc sprawczą. Komisja ta wydała kilka oświadczeń, po czym zamilkła. Ostatni jej głos dotyczył nieetycznych kwestii prowadzenia prac magisterskich przez „jedynie doktorów”.

Okazało się, że nasza etyka jest swoista, inna niż w innych częściach globu, gdzie „jedynie doktorzy” otrzymują nawet nagrody Nobla, a nikt tego etycznie nie napiętnuje.

Nasza etyka nie jest uniwersalna, ale uzależniona od tytułów i stanowisk, no i nie zapominajmy – od kilometrów!

Józef Wieczorek

Tekst nie mógł się ukazać w Forum Akademickim a także w Tygodniku Powszechnym. Ukazał się na papierze w Miesięczniku Społeczności Akademickiej – Uniwersytet Zielonogórski, październik 2004, a w internecie w serwisie Nauka w Polsce. Tekst nie zainteresował twórców kodeksów etycznych, do których został rozesłany. Materiał ten zainteresował natomiast redakcję Polskiego Radia Pr. 1 (do której nie został przesłany) która przeprowadziła rozmowę z autorem tekstu w Sygnałach Dnia.

Petryfikacja czy zmiana systemu

Stan obecny – stan niepokoju

Nie ulega wątpliwości, że w dzisiejszym świecie sukces gospodarczy danego kraju zależy w większym stopniu od zaawansowanych technologii, a w mniejszym stopniu od wydobycia surowców i produkcji prostych dóbr materialnych. Za sukcesem gospodarczym kryją się badania naukowe i ich umiejętne wdrażanie w przemyśle.

Świadomość tego faktu zaczyna docierać do coraz szerszego kręgu obywateli. Jeżeli chcemy, aby nasz kraj był czymś więcej niż drugorzędnym członkiem UE, źródłem taniej siły roboczej i rynkiem zbytu dla przestarzałych technologii, to niezbędne jest odpowiednie inwestowanie w naukę. Jej finansowanie w Polsce znajduje się obecnie na tragicznym poziomie – od wielu lat są to ułamki procenta PKB, co stawia nas na samym końcu krajów UE. Na dodatek, wiele z tych pieniędzy jest

niestety marnotrawione, a system organizacji nauki i szkolnictwa wyższego w Polsce stanowi skansen PRL-u.

System ten jest co prawda korzystny dla korporacji profesorów („belwederskich”), ale nie jest korzystny dla poziomu nauki i edukacji, a co za tym idzie dla – rozwoju gospodarczego Polski.

W systemie edukacji rozpoczęto reformy, ale nie zreformowano głowy, czyli pionu szkolnictwa wyższego i nauki, stąd poprawiła się nieco sytuacja na poziomie przedszkolnym, ale im wyżej, tym gorzej.

Mimo braku pieniędzy na naukę, nadal istnieje PAN w postaci niezmiętej zasadniczo od czasów, kiedy powołano ją do życia według narzuconych, sowieckich wzorców.

Na istnienie takich rozbudowanych struktur oderwanych niemal całkowicie od szkolnictwa wyższego nie stać nawet bogatych krajów.

Dubluje się całą infrastrukturę, biblioteki, drogą aparaturę, która i tak często nie jest wykorzystana. Korporacja profesorów, w niemałej części o miernych

kwalifikacjach intelektualnych i moralnych, broni dostępu do stanowisk, aparatury i projektów badawczych.

Liczne rzesze nowych absolwentów ogromnej już liczby szkół wyższych powiększają co prawda statystykę ludzi z wyższym wykształceniem, ale i statystykę bezrobotnych. Coraz powszechniejsze stają się studia doktoranckie, ale poziom doktoratów zdaje się niewiele odbiegać od poziomu dyplomów magisterskich sprzed ćwierć wieku.

Obecne dyplomy magisterskie na ogół niewiele są warte, ponieważ profesorowie rzadko są w stanie wykształcić dobrych absolwentów. Prowadzą niekiedy po kilkaset prac dyplomowych, nie znając nawet ich treści. Prace dyplomowe można zresztą kupić bez problemu za kilkaset złotych. System kształcenia, jak i poziom opiekujących się pracami profesorów jest taki, że niemal nikt tego nie jest w stanie wykryć, a przy tym mało kto tego chce.

Konkursy na obsadzanie etatów akademickich są najczęściej „ustawiane”, a kariery od studenta do profesora, a potem nawet dziekana lub rektora, na tej samej uczelni, są wzorcowe dla naszego systemu.

Wieloletowość profesorów ma zapewnić im jedynie lepszy byt materialny, ale jest katastrofalna dla edukacji i poziomu badań naukowych.

W większości są „ustawiane” także konkursy na projekty badawcze, których rezultaty są zresztą niejawne. Finansuje się mgliście zarysowane projekty o nikłych szansach realizacji, a nie konkretne wyniki badań. Aby być finansowanym, trzeba mieć osobowość prawną, ale osobowość naukowa nie jest konieczna. Wykonawcy i recenzenci projektów badawczych stanowią często zamknięte grono popierających się nawzajem osób, niekiedy z jednej rodziny.

Finansuje się obecnie wiele oderwanych od nauki, edukacji, jak i gospodarki jednostek badawczo-rozwojowych, ale zarejestrowanie nowej, konkurencyjnej dla już istniejących, placówki naukowej przez zespoły naukowców o dużych osiągnięciach jest praktycznie niemożliwe.

Transformacja ustrojowa prawie zupełnie ominęła środowisko nauki i państwowego szkolnictwa wyższego. W latach stanu wojennego wiele osób o niezależnych poglądach zmuszonych było do odejścia z polskich

uczelnii, podczas gdy awansowali ludzie usłużni wobec reżimu komunistycznego, selekcyonowani według kryterium „mierni, bierni ale wierni”. To oni i ich lojalni wychowankowie stanowią niestety dalej trzon kadr naukowych hamujących rzeczywiste przemiany, które by ten układ mogły naruszyć.

Pomimo tego w Polsce wciąż pracują wybitne osobistości naukowe i dobre grupy badawcze. Niestety, panuje u nas tendencja do równania w dół, zamiast do promowania tych najlepszych. Tendencji tej sprzyja hierarchiczny system tytułów i stanowisk naukowych, w którym o jakości danego uczonego – w oczach zarówno społeczeństwa, jak i władz – nie świadczy jego dorobek mierzony publikacjami w recenzowanych czasopismach zagranicznych i efekty edukacyjne, lecz ilość dożywotnio nadanych tytułów.

Z takim poziomem kadr „naukowych” nasze wejście do Europy będzie tylko pozorne, a trzeba wiedzieć, że inne kraje europejskie, które posiadały system podobny do naszego – jak np. Niemcy – wprowadzają obecnie reformy wzorowane na brytyjskich i amerykańskich rozwiązaniach, gdyż i system panujący w wielu krajach

unijnych stanowi hamulec dla rozwoju nauki, pomimo dużo wyższego poziomu jej finansowania.

Prezydencki projekt petryfikacji systemu

Niestety brakuje ogólnej przyszłościowej wizji systemu nauki i edukacji w Polsce, a rektorzy nawołujący niekiedy do dyskusji na temat reform nauki i edukacji – na ogół nie chcą dyskutować na szerszym forum, co najwyżej we własnym gronie.

Stan nauki i edukacji to problem dotyczący całego społeczeństwa i taki monopol jednej korporacji jest niemożliwy do zaakceptowania. Potrzebna jest ogólnospołeczna debata nad całościową reformą, a nie podawanie wycinkowych rozwiązań do milczącej akceptacji.

Społeczeństwo jest informowane przez korporację profesorów, że w wyniku konieczności dostosowania się do standardów unijnych opracowany został tzw. prezydencki projekt ustawy o szkolnictwie wyższym. A trzeba wiedzieć, że jest to projekt niezgodny z tzw. kartą bolońską (Wielka karta uniwersytetów europejskich – dokument ogłoszony we wrześniu 1988 roku przez

rektorów uczelni europejskich i podpisany także przez rektorów uczelni polskich

<http://www.uni.torun.pl/uczelnia/dokumenty/statut/katra>

/

__bo jest moralnie i intelektualnie uzależniony od czynników politycznych.

Zatem ewentualne przyjęcie go w parlamencie może być zaskarżone do Trybunału Europejskiego.

Projekt zresztą petryfikuje dotychczasową hierarchię stopni i tytułów naukowych tak odmienną od rozwiązań europejskich i amerykańskich, w tym taki relikwyt ubiegłej epoki jak habilitacja czy takie kuriozum jak profesor „belwederski”.

Pozostaje także w tym systemie umocowana przy premierze od czasów komunistycznych Centralna Komisja ds. Stopni i Tytułów. Zwiększona ma być i tak autokratyczna władza rektora oraz utrzymana praktyczna nieusuwalność profesorów „belwederskich” ze stanowisk.

Projektowana ustawa nie wymaga od profesorów dalszej efektywnej pracy naukowej, mimo że obecnie należą do

rzadkości ci, którzy dalej uprawiają naukę po uzyskanej profesurze.

Projekt stanowi zwycięstwo korporacji profesorów dobrze pilnującej swoich interesów. Interesy te zabezpieczają ponadto Rada Główna Szkolnictwa Wyższego, która nie ma ochoty zajmować się zgłaszanymi patologiami w szkołach wyższych i ponadto Państwowa Komisja Akredytacyjna, której działania – zupełnie inaczej niż w krajach europejskich – nie są do końca jawne. Zapomniano całkiem o potrzebie instytucji mediatora akademickiego, znanego zarówno z USA, jak i z krajów europejskich.

Istnieją co prawda rozbieżności między uczelniami państwowymi i niepaństwowymi, ale niestety rektorzy uczelni niepublicznych walczą głównie o utrwalanie patologii w postaci wieloletowości profesorów, akceptując inne systemowe mankamenty ustawy. Niedobrze to wróży dla przyszłości nauki i edukacji w Polsce.

Czy jest wyjście?

Niewątpliwie konieczne jest przeprowadzenie w Polsce reformy nauki i edukacji w oparciu o gruntowne rozwiązania systemowe.

Bez powiązania nauki i edukacji z gospodarką i otwarciem się na sprawdzone rozwiązania zachodnie, nie jest to możliwe.

Obecny system nie przystaje do współczesności. Wiąże on ze sobą elementy tradycyjnego, przedwojennego systemu europejskiego z narzuconymi w latach powojennych rozwiązaniami wzorowanymi na modelu sowieckim.

Tymczasem sukcesy na polu nauki i szkolnictwa wyższego, a co za tym idzie także sukcesy gospodarcze, odnoszą kraje, w których wprowadzono różne warianty systemu opartego na rzeczywistej konkurencji i współzawodnictwie zarówno na poziomie poszczególnych uczonych, jak i na poziomie uczelni. Współzawodnictwo to wyraża się z jednej strony na wolnym rynku usług edukacyjnych, a z drugiej w otwartych konkursach na projekty badawcze.

W systemie takim nie liczą się tytuły przed nazwiskiem, lecz rzeczywisty poziom naukowy, który reprezentuje sobą dana osoba lub zespół badawczy.

Proste skopiowanie wzorców zachodnich nie jest możliwe, gdyż w Polsce państwo jest wciąż praktycznie jedynym sponsorem badań naukowych. Brakuje bowiem w naszym kraju prywatnych fundacji wspomagających naukę, podczas gdy pozostający w obcych rękach przemysł nie jest zainteresowany badaniami badawczo-rozwojowymi w Polsce i korzysta z odpowiednich ośrodków w swoich krajach macierzystych. Stąd rola finansowania badań naukowych z budżetu państwa będzie wciąż duża.

Nie wolno jednak marnotrawić tych nielicznych funduszy, które są na naukę przeznaczane.

Szkoły nie mogą być fabrykami bezwartościowych nierzadko dyplomów, lecz winny kształcić kreatywną kadrę dla gospodarki opartej na autentycznej nauce.

Nie może być tolerowana wieloletowość profesorów i bezetatowość doktorów.

Na to nie stać żadnego kraju, nawet mocarstwa gospodarczego.

Należy zlikwidować relikty poprzedniego systemu, tj. znieść habilitację i profesury „belwederskie”, zaostrzając jednocześnie wymagania stawiane kandydatom do stopnia doktora.

Profesura powinna być jedynie stanowiskiem nadawanym przez uczelnię osobom wygrywającym autentyczny konkurs.

O kwalifikacjach kandydata na stanowisko profesora powinien decydować jedynie jego dorobek naukowy oceniany przez gremia międzynarodowe, a nie tytuły i koneksje czy działalność polityczna, jak to ma miejsce i obecnie.

Takie zmiany stworzyłyby odpowiednie warunki do powrotu polskich naukowców pracujących za granicami, którzy obecnie nie mają po co do kraju wracać (niekiedy dobrze opłacany amerykański profesor musiałby pracować w Polsce na etacie co najwyżej adiunkta, o ile w ogóle byłby zatrudniony).

Uczelnie powinny ze sobą współzawodniczyć na wolnym rynku przyciągając studentów odpowiednią ofertą edukacyjną, a nie ilością, figurujących niekiedy jedynie na liście płac, profesorów „belwederskich”. Należałoby zweryfikować obecne kryteria akredytacji szkół wyższych, aby zapobiegały patologiom zamiast je preferować.

Wyniki badań naukowych, finansowanych wyłącznie na drodze autentycznych konkursów na projekty badawcze, winny być jawne i rozliczane przed podatnikiem.

Należałoby zlikwidować PAN, włączając jego silne instytuty do struktur uniwersyteckich, a finansowanie wartościowych jednostek badawczo-rozwojowych winno spoczywać na resortach zainteresowanych ich badaniami.

Państwo powinno wspierać możliwość finansowania badań naukowych przez pozarządowe organizacje czerpiące środki z darowizn zwolnionych od podatku. Trzeba dążyć do stworzenia systemowych udogodnień i ulg podatkowych promujących rozwój drobnych i średnich firm zakładanych często przez samych uczonych, które miałyby na celu wdrażanie nowych technologii i osiągnięć naukowych.

Józef Wieczorek & Cezary Wójcik

Tekst opublikowany w dwumiesięczniku OBYWATEL, nr 4 (18) 2004

Czy nowa ustawa o szkolnictwie wyższym da nam szanse na wyjście z czwartej ligi ?

Polityka (nr. 40, 2004 – Niższe szkoły wyższe) słusznie zauważyła, że nawet najlepsze polskie uczelnie to światowa czwarta liga jak wynika z rankingu uczelni z całego świata. Co prawda nie wszyscy się z tym zgadzają, twierdząc, że to kryteria przyjęte w rankingu nas krzywdzą.

Niewątpliwie gdyby w rankingu światowym, podobnie jak w naszych rodzimych rankingach, i w kryteriach stosowanych przez Państwową Komisję Akredytacyjną, brano przede wszystkim pod uwagę liczbę profesorów (najlepiej belwederskich) i habilitacji byłibyśmy naprawdę wysoko, niewątpliwie na czele pierwszej ligi.

Rzecz w tym, że na świecie takie kryteria mało kogo obchodzą, bo celem nauki nie jest zdobywanie tytułów tylko poszerzanie światowej wiedzy a uczelnie winny ją przekazywać studentom i uczyć młodych jak nową wiedzę tworzyć.

My w tym jesteśmy słabi, bo jesteśmy nastawieni głównie na zdobywanie tytułów niezależnych często od poziomu wiedzy i produkcję mało wartych dyplomów. Mamy wielu „sklonowanych” profesorów pracujących na wielu etatach w bardzo licznych uczelniach, ale na ogół bardzo słabo znanych, lub nie znanych w nauce światowej. Chlubne wyjątki tylko potwierdzają regułę.

Niestety obecny system nauki i edukacji w Polsce jest dość osobliwy i nie zanosi się na to aby został zmieniony. Preferowany tzw. prezydencki (zwany też rektorskim) projekt ustawy o szkolnictwie wyższym utrwała ten anachroniczny, finansowo marnotrawny i mało wydajny system nauki polskiej.

Konkurencyjny projekt poselski jest otwarty na najbardziej wydajny system anglosaski, gdzie nie ma habilitacji a są otwarte konkursy (a nie fikcyjne jak u nas) na stanowiska uczelniane.

Niestety projekt poselski zakłada zbyt dużą stabilizację kadry co nie jest zgodne z duchem systemu anglosaskiego i co prowadzi do wielu patologii.

Wzorcowa obecnie kariera to od studenta do rektora na jednej uczelni. Ponad 50-letnie przebywanie na tej samej

uczelni to powód do chwały i nagrodę z okazji inauguracji kolejnego roku akademickiego.

Natomiast mobilność kadry naukowej jest w naszym systemie źle widziana. Chów wsobny (wychowywanie swoich dla siebie) jest dominującym sposobem rekrutacji kadry akademickiej.

Trzymający władzę w nauce jak ognia boją się wprowadzenia oceny dorobku przez międzynarodowe gremia, co jest niemal standardem nie tylko w pierwszej, ale nawet w drugiej czy trzeciej lidze. Z kolei polski doktor, dla którego nie ma miejsca na czwartoligowej polskiej uczelni, może być członkiem międzynarodowego jury dla oceny zagranicznego badacza. Polskiego badacza mogą natomiast oceniać tylko sami swoi, z tytułami, chociaż często bez znajomości ocenianej rzeczy. Niestety projekty ustawy nie przewidują zmian tego patologicznego systemu.

Dlaczego stanowiska profesorskie nie mogą być obejmowane przez nie-swoich doktorów mających międzynarodowy dorobek i autentyczne osiągnięcia edukacyjne ?

Po co utrzymywać osobliwy tytuł profesora „belwederskiego” nadawanego przez Prezydenta skoro nie

ma profesorów ,białodomowych', ,elizejskich', ani nawet ,hradczańskich ?

Niestety w Polsce tytuły mają znaczenie sakralne, czego nawet akcesja do Unii nie jest w stanie zmienić. Znosi się na to, że możemy mieć nową ustawę, ale w starych szatach, bez ustawienia' spraw najważniejszych – systemowych, czyli m.in. modelu kariery naukowej, tak osobliwego w Polsce.

W tych sprawach stracono już 15 lat i możemy stracić 15, a nawet więcej następnych, tracąc jednocześnie tysiące, czy nawet setki tysięcy młodych, kreatywnych ludzi, dla których w Polsce, w nauce nie będzie miejsca.

Nie będzie też sensu powrotu dla wielu Polaków aktywnie pracujących naukowo za granicami kraju.

Jeden ze współtwórców prezydenckiego projektu ustawy – Rektor UJ, Prof. Ziejka – ostatnio wyraził publicznie (DEBATA, TV) nadzieję, że zgodnie z nową ustawą będzie mógł zatrudniać nie-habilitowanych profesorów zagranicznych – bo tam nie ma habilitacji.

Habilitacja będzie natomiast obowiązkowa dla Polaków zgodnie z tym projektem. Jak ktoś będzie Polakiem to nie

będzie mógł być profesorem na polskiej uczelni bez habilitacji.

Chyba to jest jawna dyskryminacja Polaków niezgodna z Konstytucją. Może prowadzić do ucieczki Polaków do innych krajów, gdzie nie ma habilitacji lub do wynarodowienia naukowców polskich, którzy będą przyjmować obywatelstwo innych krajów, aby mieć możliwość zatrudnienia na polskiej uczelni bez habilitacji.

Polak – nie-habilitowany profesor Uniwersytetu w Cambridge (pierwsza liga światowa) nie będzie miał po co wracać do Polski, bo co najwyżej mógłby być zatrudniony na etacie adiunkta na uczelni z czwartej ligi światowej. Taki jest kuriozalny system nauki w Polsce i tak ma pozostać zgodnie z prezydenckim projektem ustawy.

Jesteśmy w Unii, ale tak jak w Unii długo jeszcze u nas ma nie być. Rektor UMK, Prof. Kopcewicz ostatnio argumentował w Senacie, że i u nas za dwieście lat sytuacja będzie inna'. Ale taka perspektywa może mieć istotne znaczenie co najwyżej dla rozwoju badań nad hibernacją, ale naukowcy z innych dziedzin raczej na spełnienie tych obietnic nie będą czekać.

Projekt prezydencki dobrze reprezentuje interesy korporacji profesorskiej (rektorskiej), która ten projekt przygotowała, ale chyba nie jest podyktowany troską o dobro kraju. Rektorzy zdają sobie sprawę z tego, że tą ustawę dobrze zabezpieczającą ich interesy może uchwalić tylko ten upadający już Sejm.

Rektor UJ, Franciszek Ziejka mówił ostatnio *„Jeśli przetrwa ten Sejm, to jest szansa na to, aby ustawa o szkolnictwie wyższym była uchwalona w tej kadencji sejmowej”* (tekst ‚Dwie propozycje‘, Dziennik Polski – 14-09-2004) Jest bowiem oczywiste, że nie byłoby już takiej szansy gdyby powołano nowy, mający większe poparcie społeczne i bardziej zatroskany o losy kraju Sejm.

Projekt ustawy o szkolnictwie wyższym to kolejny bubel i jasne jest że jak przejdzie w tym sejmie to trzeba go skierować do Trybunału Konstytucyjnego albo Europejskiego. Ale po co to taki projekt w ogóle dawać do Sejmu ?

Dlaczego nie przyjąć systemu, który sprawdził się w krajach mających uczelnie w pierwszej lidze ?

Trzymanie się kurczowo systemu czwartoligowego, może spowodować, że i z tej ligi możemy niedługo spaść, bo

inne kraje europejskie starają się zmienić aby nawiązać konkurencję z najlepszymi.

Józef Wieczorek

Fragmenty tekstu zostały opublikowane na łamach Polityki nr 44,2004

NOMADYZM NIEMOBILNYCH

Józef Wieczorek, Cezary Wójcik

Jednym z argumentów przeciwników wprowadzenia w Polsce podobnego do amerykańskiego systemu organizacji nauki jest brak mobilności kadr akademickich. Twierdzą oni, że pracownicy naukowcy trzymają się swojego miejsca zamieszkania, a warunki ekonomiczne nie pozwalają na częste zmiany miejsca pracy. Przyznają z reguły, że system amerykański, oparty na mobilności kadr jest bardziej wydajny, lecz uważają, że dopóki nie dojdzie do zmiany warunków ekonomicznych i mentalności naukowców polskich, musi być tak, jak jest, bo inaczej będzie jeszcze gorzej.

Ta argumentacja powoduje, że w nauce polskiej nic się tak naprawdę od lat nie zmienia, wszystko pozostaje „po staremu”. Każdy postulat zmian jest traktowany jak nawoływanie do rewolucji, której nauka podobno nie znosi. Czy te argumenty są zasadne? Czy nie jest to czasem obawa tych, którzy nie chcą jakichkolwiek

realnych zmian, ponieważ są zbyt przywiązani do obecnego systemu? Czy brak mobilności kadr jest przyczyną takiego, a nie innego systemu organizacji nauki, czy też jest odwrotnie?

W jednej uczelni

Przebijające się gdzieniegdzie krytyczne opinie o braku mobilności kadr akademickich na ogół kontrastują z wypowiedziami kandydatów do różnych funkcji w uczelni, chwalcących się zwykle w okresie wyborów, że od studenta do profesora pracowali w tym samym miejscu. To ma być argument świadczący za tym, że najlepiej znają uczelnię, jej problemy i najlepiej nadają się do objęcia funkcji. Ciekawe, że w tym przypadku brak mobilności nie jest wadą, lecz zaletą kariery akademickiej.

W systemie amerykańskim taka kariera nie jest możliwa. Niemobilny odpada. Nie ma szans na zatrudnienie. Zmiana miejsca pracy jest wymuszona systemowo. Nie można spędzić całego życia w jednej uczelni, podobnie jak nie można całego życia przepracować w jednej firmie. Przeciętny Amerykanin co najmniej czterokrotnie zmienia miejsce pracy i uczeni nie są tu wyjątkiem. W przypadku

naukowca osiągnącej sukcesy, zmiana miejsca pracy prowadzi do coraz wyższych zarobków, większego laboratorium oraz lepszej uczelni i kończy się dopiero, gdy uda się mu zdobyć pozycję w Harvardzie lub Uniwersytecie Stanforda. Podczas gdy w przypadku naukowca przeciętnego lub wręcz miernego obserwuje się albo brak zmiany miejsca pracy, albo przenoszenie się do gorszych szkół wyższych (college' ów), gdzie nad uprawianiem nauki przeważa nauczanie.

O obsadzie etatu w każdej uczelni - małej czy dużej - decydują autentyczne, otwarte konkursy, na które wpływa kilkadziesiąt lub nawet kilkaset podań. Niezależna komisja wybiera kandydata o największym dorobku i największych perspektywach rozwoju, a nie tego, który najwięcej czasu spędził w jednej uczelni i najlepiej tkął „akademicką pajęczynę”. Wprowadzenia podobnego systemu nasi uczeni boją się bardziej niż ognia.

Chów wsobny

W Polsce najpopularniejszy jest chów wsobny, czyli chowanie swoich - w swoich uczelniach. O rozwoju ośrodka decydują obyczaje plemienne. Każdy ośrodek

naukowy opanowany jest przez członków jednego plemienia i tylko oni mogą w nim zrobić karierę. Takie reguły obowiązują w starych ośrodkach, gdzie więzi plemienne są najtrwalsze. Ktoś spoza tej wspólnoty zawsze jest obcy, bez szans na karierę, szczególnie wtedy, gdy nie przestrzega etyki plemiennej. Wyjątki tylko potwierdzają regułę.

Do tych reguł starają się dostosować także uczelnie młode, dopiero co zakładane, w tym prywatne. Te są zmuszone do korzystania z kadry starszych uczelni.

Ich rektorzy argumentują, że nie może być inaczej, bo w ciągu 10-15 lat istnienia uczelnie te nie zdołały wykształcić swojej kadry, tzn. chów wsobny nie został jeszcze ukończony, ale jest na dobrej drodze. Polityka tych uczelni nawiązuje do polityki uczelni starszych. O innych sposobach rekrutacji kadr wcale się nie myśli. Wypożyczanie okresowe kadr - tak, rekrutacja nie swoich na drodze autentycznych konkursów - nie.

Gdy upłynie trochę lat uczelnie te również oprą się na swojej kadrze, a kariery od studenta do rektora w tej samej uczelni będą także dla nich wzorcowe.

Taki system jest u nas utrwalany od lat i jeśli nie przyjmiemy innego myślenia, będzie panował na wieki.

Niektórzy twierdzą, że reform nie można przeprowadzić od zaraz, że na to potrzeba czasu, nowego pokolenia. Tymczasem od obalenia komunizmu upłynęło 15 lat, obecne w uczelniach nowe pokolenie przejmuje obyczaje swoich poprzedników, a ludzie zdolni i przedsiębiorczy, najczęściej z braku perspektyw, realizują się poza uczelniami i nauką.

Konkursy tylko dla swoich

Zwolennicy obecnego systemu twierdzą, że system amerykański nie jest dla nas, bo na konkursy zgłasza się tylko jedna osoba, podczas gdy w USA dziesiątki, a nawet setki.

Trudno ten argument chyba uznać za coś innego niż zwykłą hipokryzję, bo odpowiadają za to organizatorzy konkursów, stawiający na osobę wcześniej wybraną, czyli zwycięzcę, według kryteriów dostosowanych nie do potrzeb instytutu czy uczelni, lecz do potrzeb i osiągnięć

konkretnej osoby, często według kryteriów genetycznych (w takiej genetyce jesteśmy silni!).

Na wszelki wypadek ogłoszenia o konkursach wywieszane są zwykle tylko obok dziekanatu. Czemu nie zamieszcza się ich standardowo w ogólnopolskich czasopismach, takich jak choćby „Forum Akademickie” (są jedynie wyjątki) lub w Internecie na jakimś ogólnopolskim portalu, np. Rady Głównej Szkolnictwa Wyższego, tak aby istniała ogólnie dostępna tablica ogłoszeń - tego przeciwnicy zmian nie tłumaczą. Jakby się bali, by na etaty nie zgłaszała się więcej niż jedna upatrzona osoba i by nadal był to argument przeciwko wprowadzeniu u nas systemu anglosaskiego.

Trzeba przy tym zaznaczyć, że nawet gdyby ktoś przypadkowo poinformowany, ale niepowołany, zgłosił się na taki konkurs, to i tak nie ma żadnych szans. Jeśli ma więcej lepszych publikacji i większe osiągnięcia edukacyjne, to i tak gorzej spełnia wymagania stawiane kandydatom, bo te w sposób wręcz idealny spełnia tylko wybrany wcześniej zwycięzca.

Niepowołany do wygrania śmiałek może być najlepszy, ale konkretnie najlepszy jest ten, kto wygrał już przed ogłoszeniem konkursu. Taki sposób rekrutacji kadr

akademickich zapewnia i utrwała niemobilność systemową.

Rzadko spotykane próby mobilności są wręcz karane. Zmiana ośrodka jest podejrzana. Oznacza, że ktoś był słaby albo konfliktowy, więc należy się go wystrzegać. Im więcej ma znanych publikacji, im bardziej znane osiągnięcia edukacyjne, tym gorzej dla takiego nieudacznika. „Udacznikami” są ci, którzy ośrodków nie zmieniają, co świadczy o ich wartości i lojalności, tak wysoko cenionej przez decydentów.

Pogląd o tym, że gdy ktoś jest dobry, to wszędzie znajdzie pracę, a inni się będą o niego bili, nie ma u nas pokrycia w faktach. W Polsce o dobrych nikt się nie bije, dobrych się bije. Wyjątki tylko potwierdzają regułę.

Wieloletowe chałturzenie

Profesorowie są zakorzenieni w jednej uczelni, w której robili karierę i co daje im prestiż oraz przysługujące wynagrodzenie - zdarza się, że bez potrzeby weryfikacji ich pracy - ale jednocześnie jeżdżą od miasta do miasta,

od uczelni do uczelni w celu napełnienia kieszeni. Fakt, że nie wszyscy muszą tak jeździć.

Profesorowie zręcznościowi, którzy mają dobre układy, z częstej peregrynacji mogą być zwolnieni dostarczając punktów do ocen PKA.

Nasz system akademicki nie wymaga pracy, lecz jedynie dostarczania punktów uczelni. Jeśli ktoś dostarcza wielu punktów, pracować nie musi.

Układ jest prosty - uczelnia ma punkty, profesor ma pieniądze i obie strony są zadowolone. Jeśli się ma taki układ w kilku uczelniach, które u nas rosną jak grzyby po deszczu, to i kieszeń można nabić bez większego wysiłku. Wielu „sklonowanych profesorów” znaleźć można tylko na liście płac.

Jak wyglądają te wysoko punktowane usługi profesorów zręcznościowych, można na ogół przeczytać na niektórych forach internetowych. Serwują zwykle bubel edukacyjny, bo nie mają czasu ani na pracę naukową, ani na czytanie literatury światowej, ani na czytanie prac licznych magistrantów. Nie są w stanie wykrywać plagiatów, o ile w ogóle taka działalność ich interesuje.

Przekazują studentom kult bylejakości i uczą chałturzenia.

Wieloletowość profesorów kontrastuje z bezetatowością coraz liczniejszych doktorów.

Ale za doktora, choćby najlepszego, uczelnie mają mało punktów, za profesora, choćby najgorszego - wiele. Stąd uczelnie wolą profesorów. Jak nie zatrudnią aktywnych doktorów, to bubel profesorski nie będzie tak widoczny. Nie będzie kontrastu, który zakłócałby systemową fikcję edukacyjną.

System działa bardzo sprawnie, dlatego doktorom pozostaje jedynie nomadyzm zagraniczny. U nas z reguły nie mają szans. Niektórzy mają układ z profesorem i odwalają za niego robotę za marne okruchy z pańskiego stołu.

Jedynym wyjściem z sytuacji byłaby likwidacja tytułu profesora belwederskiego, który daje uczelniom tak silną kartę przetargową.

Nie może być tak, że bezproduktywnego profesora ceni się wyżej niż genialnego nawet doktora. Stanowisko profesora powinno być po prostu obsadzone przez najzdolniejszego kandydata ze stopniem doktora. Gdyby

zaś taka osoba przestała być produktywna naukowo, powinna to stanowisko stracić, by uczynić miejsce młodszym i zdolniejszym.

Nomadyzm etycznie wymuszony

Wieloletowość profesorów stwarza jednakże konkurencję uczelniom państwowym ze strony uczelni prywatnych. Dlatego uczelnie państwowe wprowadzają jej ograniczanie. Określają, że wykładanie w uczelniach w tym samym mieście jest etycznie naganne, gdy natomiast wykładanie w różnych miastach - nie.

Stąd mobilność wymuszona zostaje etycznie. Żeby być etycznym, trzeba się przemieszczać do nieraz odległych miast. Tym sposobem interesy zasadniczo niemobilnych zostają zabezpieczone, a i etyczność mobilnych zostaje ekonomicznie ocalona. Nie ma mowy jednak o ocaleniu poziomu badań i edukacji.

Inną formą jest mobilność wymuszona skutkami plagiatorstwa. Profesor przyłapany w jednej uczelni na plagiatach nie zawsze może w niej pozostać. Jeśli plagiatował wiele razy, zdarza się, że ponosi skutki takich

czynów. Konsekwencje są u nas jednak osobliwe. Prosi się go o opuszczenie swojej uczelni, ale może się przenieść do innej. Ktoś, kto był nieuczciwy w jednej uczelni, w innej może świecić przykładem.

W USA plagiat wyklucza ze środowiska akademickiego, w Polsce jedynie wymusza mobilność. Nikt nie odbiera plagiatorom tytułów profesorskich lub habilitacji. Gdyby wzrosła u nas wykrywalność plagiatów, to i zwiększyłaby się mobilność kadr akademickich. Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło! Niestety tylko nieuczciwym. Uczciwi za karę muszą się trzymać swoich uczelni.

Co zmienić w systemie?

Nie ma chyba wątpliwości, że ten system należy zmienić. Chów wsobny powoduje, że uczelnie - nawet te najlepsze - zapadają czasem na nieuleczalne, permanentne schorzenia.

Nepotyzm, klikowość, korupcja, brak krytyki naukowej, negatywna selekcja kadr, rządy samych swoich - to tylko kilka przykładów tych schorzeń. Trzeba podjąć radykalne

kroki. Konieczne jest wprowadzenie programu ochrony różnorodności akademickiej.

Trzeba wprowadzić ustawowo zakaz zatrudniania w uczelniach swoich wychowanków w ciągu co najmniej 5 lat po ukończeniu doktoratu, podobnie jak w Niemczech. Tym samym ktoś, kto w jednej uczelni ukończył studia i obronił doktorat przed komisją ogólnopolską, a najlepiej międzynarodową, byłby zmuszony do mobilności, do pracy w innych ośrodkach naukowych, i nie wcześniej niż po 5 latach mógłby się starać o miejsce w swojej macierzystej uczelni, w ramach otwartego, a z reguły międzynarodowego, konkursu. Oczywiście, zarobki takiej osoby muszą umożliwiać przeprowadzkę do innego miasta i rozwiązanie problemu mieszkaniowego.

Wprowadzenie otwartych rzeczywistych konkursów - zamiast obecnych fikcyjnych - wymusiłoby mobilność kadry naukowej, która bez doświadczeń z innych ośrodków nie miałaby szans powrotu do swojej macierzystej uczelni.

Obsadzanie etatów w szkołach prywatnych winno się odbywać na podobnych zasadach. Likwidacja wieloetatowości zmusiłaby uczelnie do zatrudniania kompetentnych jednoetatowców, do obsadzania

stanowisk według kwalifikacji, a nie według tytułów, u nas od poziomu merytorycznego i etycznego niezależnych. Wieloetatowość w takiej postaci, jaka występuje w Polsce, nie istnieje w USA, gdyż trudno sobie wyobrazić, by ktoś mógł godzić obowiązki pracy w jednej uczelni z pracą w drugiej, konkurencyjnej placówce. Jednakże niezbędnym warunkiem usunięcia wieloetatowości oraz chałturzenia uczonych jest, po pierwsze, wynagrodzenie umożliwiające życie na przyzwoitym poziomie z jednego etatu, a po drugie, powiązanie wysokości tego wynagrodzenia z osiągnięciami naukowymi i dydaktycznymi.

Taki system winien działać na rzecz likwidacji uczelni obliczonych na liczenie kasy przez profesorskich nomadów i zdobywanie dyplomów przez niedouczone studentów pozbawionych rzeczywistego kontaktu ze środowiskiem naukowym.

Józef Wieczorek, Kraków, Cezary Wójcik, Dallas

Forum Akademickie 2004/12

Lustracja środowiska akademickiego ?

Gorąca atmosfera lustracyjna udziela się również naukowcom i nauczycielom akademickim. Wiele nazwisk akademickich jest na liście Wildsteina. To podgrzewa atmosferę i skłania do składania wyjaśnień. Sam prezes IPN mówi, że szczególnym trądem były dotknięte uczelnie.

Zrozumiałe jest zatem, że na fali lustracyjnej pojawiają się propozycje lustrowania także decydentów akademickich co zakłada projekt prof. Rzeplińskiego. Te założenia częściowo zostały przyjęte w projekcie zmian ustawy lustracyjnej przygotowanym przez Platformę Obywatelską, która za osoby pełniące funkcje publiczne (czyli podlegające lustracji) uważa: rektora, prorektora, dziekana i prodziekana, dyrektora i wicedyrektora instytutu w wyższej szkole publicznej lub niepublicznej a także prezesa, wiceprezesa, sekretarza naukowego Polskiej Akademii Nauk oraz Polskiej Akademii Umiejętności.

Bardziej ograniczony charakter ma projekt ustawy PiS w którym wymienia się rektora, prorektora, dziekana w publicznej i niepublicznej szkole wyższej.

Widać w tym pewien chaos spowodowany pośpiechem i brakiem dyskusji w środowisku akademickim i politycznym na ten temat. Czemu nie ma w tych projektach szefa Rady Nauki, Państwowej Komisji Akredytacyjnej, Rady Głównej Szkolnictwa Wyższego ?

Nie czekając na zmiany ustawy na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika powołano komisję dla prześwietlenia środowiska a Solidarność UJ postuluje dobrowolną lustrację kandydatów na rektora przed zbliżającymi się wyborami.

Na Niezależnym Forum Akademickim prowadzona jest otwarta dyskusja nad koniecznością lustracji także środowiska akademickiego.

Mimo wielu skandali na uczelniach zawód profesora (są nawet związki zawodowe profesorów !) jest zawodem

zaufania publicznego i cieszy się niezmiennie dużym prestiżem w społeczeństwie.

Wielu profesorów uważa się nie tylko za autorytety intelektualne, ale i moralne. W mediach jest wielu dyżurnych profesorów, którzy wypowiadają się jako eksperci na różne tematy i mają szeroki zakres oddziaływania. Wśród takich ekspertów medialnych, jak i wśród autorytetów moralnych nie powinno być kapusiów.

W Polsce tytuł profesora ‚belwederskiego‘ nadaje sam prezydent, chociaż nie zawsze magister. Jest to unikat w skali światowej, ale tak ma nadal pozostać bo profesorowie nie mają zaufania do samych siebie i wolą aby o tym kto z nich zostanie profesorem decydował ostatecznie jednak polityk – tak jak to było w PRLu.

Taki stan rzeczy w sposób jasny narzuca konieczność lustracji wszystkich profesorów i kandydatów na profesorów chociaż takiego postulatu żadna partia do tej pory nie wysunęła.

W Polsce mimo ogromnego zwiększenia liczby uczelni i liczby studentów profesorowie należą do kategorii wymierającej bo na ogół liczą ponad 60 lat, a często

trzymają się na posadach także w zaawansowanym wieku emerytalnym.

Kariery robili jako młodzi naukowcy w czasach PRL-u i spora ich część wykazywała się koniecznym dla zrobienia kariery konformizmem a nierzadko przynależnością do wiodącej siły ludu miast i wsi bo takie czynniki pozamerytoryczne były wówczas preferowane.

TW na uczelniach nie należeli do rzadkości. Wielu szeregowych naukowców decydowało się coś podpisać przed wyjazdem na bardziej intratny wyjazd zagraniczny. Nierzadko podawali np. nazwisko kolegi i mimo trudności paszportowych za ocean jechali nawet w stanie wojennym, nawet w „stanie opozycyjnym”. I są po powrocie autorytetami moralnymi i intelektualnymi – inaczej niż ci, których zapodali.

Takimi drobiazgami nikt się nie zajmuje. Sądzi się, że ci którzy wyjeżdżali to znaczy, że byli dobrzy i im się należało. Kto awansował – to geniusz, kogo wylali – to zero. A bywało z tym bardzo różnie, oj bardzo różnie. Niestety nie ma woli aby prawda została zbadana.

Oczywiście są zamiary aby poznać stopień inwigilacji środowisk intelektualnych, ale każde środowisko ma samo badać jak się zachowywało. Np. poznanie zachowania środowiska UJ oczywiście mogą badać tylko doświadczeni profesorowie UJ bo oni wiedzą najlepiej jak to badać aby prawda była taka jaką ma być a nie taka jaką była. Ktoś z zewnątrz nie ma szans na poznanie tej prawdy. Prawda niezależna miałaby bowiem nikłą nośność naukową i na jej poznanie nie warto wydawać publicznych pieniędzy.

Taka jest strategia głównych strategów poznawania jedynie słusznej prawdy.

Teczki SB winny być jednak dostępne pokrzywdzonym i badane nie tylko przez licencjonowanych historyków. Ograniczenie lustracji tylko do teczek SB nie jest jednak wystarczające.

Trzeba poznać szerszy kontekst i uwarunkowania. Trzeba mieć wgląd też do innych teczek – partyjnych i uczelnianych. Jak wykazuje praktyka tajne teczki uczelniane są bardziej tajne od teczek SB. Do teczek SB -jeśli się zachowały – pokrzywdzony może dotrzeć, teczki

uczelniane są dostępne dla strony krzywdzącej, ale nie dla pokrzywdzonego.

Władze uczelni mogą grać takimi teczkami i mają w tej grze autonomię gwarantowaną prawem a także przez Rzecznika Praw Obywatelskich lojalnego w stosunku do swoich uczelnianych przełożonych.

Najwyższy czas skończyć tą grę i oczyścić środowisko, które do tej pory nie dokonało samooczyszczenia pozytywnego a co najwyżej samooczyszczenia negatywnego poprzez usunięcie osób niewygodnych – bo niezależnie myślących i działających. A krytyczne myślenie w tym środowisku od czasów komunistycznych jest traktowane gorzej niż przestępstwo.

Józef Wieczorek

Tekst opublikowany w miesięczniku Opcja na prawo,
marzec 2005

System Trojana, czyli druga strona nauki polskiej

O nauce polskiej należy pisać dobrze, albo wcale. Podobnie jak o zmarłych. Widocznie naukę polską traktuje się podobnie, i jest w tym sporo racji. Jej obecny stan to podobno skutek permanentnego 'niedożywienia' środkami finansowymi. Nie można temu zaprzeczyć. Ale jest też druga strona, nie mniej nieprzyjemna, odnosząca się do sfery moralnej. O tym można już pisać, ale tylko w kontekście pojedynczych przypadków, których jest jednak coraz więcej. Prowokuje to zatem do uogólnień, tak bardzo u nas nie lubianych bo odślanających uwarunkowania systemowe.

Nie tak dawno środowisko akademickie (i nie tylko akademickie) zostało zbulwersowane doniesieniami mediów, a w szczególności 'Gazety Wyborczej' (<http://serwisy.gazeta.pl/df/1,34471,2596673.html>) o poczynaniach dr Jerzego Trojana - uważanego za wybitnego uczonego w zakresie badań nad rakiem.

Dr Jerzy Trojan pracujący od wielu lat we Francji (INSERM) przez kilka ostatnich lat był także zatrudniony jako doktor w Collegium Medicum UJ (Zakład Radioterapii Śródoperacyjnej i Chemioterapii kierowany przez prof. Tadeusza Popiełę), a także był kierownikiem Katedry i Zakładu Genoterapii Collegium Medicum im. Ludwika Rydygiera w Bydgoszczy, jako profesor UMK w Toruniu.

Dr J. Trojan kierował w Polsce projektami badawczymi KBN nieźle finansowanymi jak na standardy polskie (300 tys). Jednocześnie aktywnie zdobywał spore kwoty za obietnice leczenia chorych na raka, którzy mimo uiszczenia kilkunastu tysięcy umierali po krótkim czasie co było do przewidzenia. Zgodnie z obecnym stanem wiedzy medycznej byli nieuleczalnie chorzy i zabiegi medyczne dr J.Trojana nie były w stanie zapobiec ich zgonom.

Prace naukowe Dr J.Trojana są podobno wysoko oceniane, licznie cytowane, ale wysokie oceny prac i liczba cytowań nie przekładały się na skuteczność leczenia. Przekładały się co najwyżej na zasobność portfela Jerzego Trojana wyłudzającego pieniądze często od bardzo biednych ludzi.

Praktyki Jerzego Trojana, który podobno jest chory, przebywa za granicą i nie ma zamiaru wracać w najbliższym czasie do kraju, budzą poważne wątpliwości. Niektórzy uważają, że należy oddzielić jego wysoki poziom naukowy od poziomu etycznego. Jednakże bardziej zasadny jest pogląd, że oddzielanie nauki i etyki nie jest ani etyczne, ani naukowe.

Co wynika z baz danych

Jerzy Trojan w najważniejszych bazach ludzi nauki KBN figuruje jako dr hab. mimo że habilitacji nie ma, bo karierę robił nie u nas, tylko na Zachodzie. Widać, że nasze bazy danych o ludziach nauki nie są wiarygodne, tak jak i mało wiarygodna jest nauka polska. Jak niemal wszystko jest niejawne, a kontroli brak, skutki są takie jakie widać.

W osobliwym systemie nauki w Polsce najważniejsze w ocenie naukowców są stopnie i tytuły naukowe słabo skorelowane z dorobkiem naukowym, a czasami od niego niezależne. Stąd też niektórzy naukowcy dla dodania sobie powagi i autorytetu, no i zwiększenia siły przebicia,

mają skłonności do posługiwania się tytułami, których nie posiadają. Gdyby ocena naukowców była merytoryczna, a nie tytułarna, takie zabiegi nie miałyby racji bytu.

Obecnie polski doktor, choćby najlepszy, nie ma szans na zatrudnienie na stanowisku profesora jeśli nie ma habilitacji, więc wielu wybitnych naukowców profesorami w Polsce nie może zostać, a ci którzy z Polski wyjechali nie chcą wracać do kraju bo by zostali zdegradowani.

Jerzy Trojan nie został zdegradowany, bo się podawał za kogoś kim nie był, no i miał potężnych protektorów. Mimo, że J. Trojan w Collegium Medicum UJ , w zespole prof. T. Popieli, był tylko doktorem - kierował projektami badawczymi KBN.

Rzecz jednak ciekawa, że kierował projektami wtedy gdy prof. Popiela był przewodniczącym komisji przyznającej granty. To niemal standard w polskim systemie nauki wcale nie budzący wątpliwości natury etycznej, ale budzący nadzieje natury finansowej.

W pierwszej fazie istnienia KBN konkursy wygrywali na ogół członkowie komisji grantowych lub ich krewni i współpracownicy. Żeby uciąć 'niegodne' pomówienia o korupcyjność takich metod członkowie komisji na czas

głosowania nad swoim projektem wychodzili za drzwi, a dopiero po powrocie na salę dowiadawali się, że wygrali. I tak rozwiązywano problem etyki utilitarnej. Opłacało się wychodzić, żeby po powrocie dołączyć do 'najlepszych z najlepszych'.

System ten działał u nas sprawnie, chociaż jak zwykle były wyjątki, które potwierdzały regułę. Po protestach 'niekompetentnych nieudaczników' , którym nie udawało się wygrywać konkursów wprowadzono jednak ograniczenia i członkowie komisji konkursów wygrywać już nie mogli. Ale - Polak potrafi ! Przecież można wystawić do konkursu 'konia ze stadniny' członka komisji. Będzie zgodnie z prawem i z interesami członków komisji.

W przypadku J. Trojana sprawa chyba była jasna. Prof. Popiela nie mógłby wygrać projektu, bo był przewodniczącym, więc na kierownika projektu wystawiano dr J. Trojana, zatrudnionego u Prof. T. Popieli, który oczywiście konkurs wygrał. (http://www.kbn.gov.pl/finauki98/PBZ/lista_projektow.html) Pierwszy grant kierowany przez Jerzego Trojana (wg bazy <http://www.nauka-polska.pl/> Pooperacyjna terapia geno-komórkowa raka okrężnicy i pierwotnego raka

wątroby przy zastosowaniu technik antysensu i trypleksu anty-IGF-I – wykonany w okresie 01.03.2001-31.12.2003) był wysoko oceniony w KBN, ale trzeba pamiętać, że granty oceniają sami swoi i nikt niezależny ocenić tego nie może.

Wyniki grantów na ogół nie są jawne i tej niejawności KBN bronił niczym niepodległości ! Z pojawiających się niekiedy w bazach danych rezultatów grantów jasno wynika, że przynajmniej część publikacji zostało przygotowanych wcześniej nim grant się zaczął (tak było i w przypadku grantu J. Trojana). Skoro jakieś wyniki w postaci publikacji już były, więc przy dobrych układach można było wygrać grant na sfinansowanie tego co już zostało zrobione, z jakimś nowym dodatkiem w postaci 'listka figowego'.

Koń trojański, czy standard w nauce polskiej ?

Przypadek dr J.Trojana bardzo dobrze odsłania słabości systemu nauki polskiej. Można go porównać do roli konia trojańskiego, który obnaża mankamenty systemów komputerowych dokonując spustoszenia w

zainfekowanych komputerach podłączonych do internetu. Jeśli koń trojański przedostanie się do systemu komputerowego staramy się go jak najszybciej pozbyć. Ale tak się nie dzieje w systemie nauki polskiej.

O nieetycznych praktykach dr J.Trojana wiadano od kilku lat i nic się nie działo - nie było żadnych działań zmierzających do usunięcia 'konia trojańskiego'. Dopiero nagłośnienie sprawy przez media zmusiły władze akademickie do zajęcia się tym problemem. System nauki w Polsce samodzielnie nie reaguje na nieetyczne praktyki, mimo że mamy 'Dobre Obyczaje w Nauce' (<http://www.us.edu.pl/universytet/obyczaje/>), zasady 'Dobrej Praktyki Naukowej' <http://www.kbn.gov.pl/etyka/praktyka.html> na straży przestrzegania których stoją ogólnopolskie ciała etyczne m.in. Zespół do Spraw Etyki w Nauce MNiI (http://www.mnii.gov.pl/mnii/index.jsp?place=Menu08&news_cat_id=453&layout=2).

Niektóre uczelnie mają swoje własne kodeksy etyczne, komisje etyczne czy dyscyplinarne. Dodatkowo na uczelni, na której zatrudniony był J. Trojan opracowano Akademicki Kodeks Wartości <http://www.uj.edu.pl/universytet/wladze/kodeks.pdf> do

lojalnej akceptacji przez jej pracowników a Konferencja najbardziej szacownych Rektorów Akademickich Szkół Polskich (KRASP) w ubiegłym roku ogłosiła walkę z patologiami

<http://www.krasp.org.pl/dok/dok/uchwala58.html>

Niestety w praktyce nie wygląda to najlepiej. Liczne afery uczelniane, z których tylko niektóre są ujawniane w mediach, nie budzą większego zainteresowania ani komisji etycznych, ani rektorów. Zdarza się, wcale nie tak rzadko, że i rektorzy są zamieszani w afery a mimo to pełnią funkcje rektorskie bez przeszkód i nadal są wybierani na kolejne kadencje. Natomiast ujawniający afery są obiektem ataków ze strony rzekomo walczących z patologiami decydentów nauki polskiej. Taki jest bowiem system nauki polskiej- przyjazny nieuczciwym, nieprzyjazny - uczciwym.

Trudno się oprzeć porównaniom sfery nauki do świata polityki. Afery z udziałem polityków, ich tajemnicze powiązania, ujawniane są często przez media a politycy nie cieszą się zaufaniem społecznym. Liczba ujawnianych afer, powiązań, rośnie wraz ze zbliżającymi się wyborami bo opozycja chce zająć miejsce dotychczasowych aferzystów i przejąć pałeczkę. Na ogół ją przejmuje wraz

z nowymi aferami. Liczący się politycy posiadają jednak immunitet, który pozwala im uniknąć wielu przykrości mimo łamania prawa, ale trzeba pamiętać, że immunitet nie jest dożywotni.

Inaczej jest w środowisku akademickim posiadającym wielką autonomię, o której dalsze poszerzenie rektorzy walczą heroicznie. Nie bez przyczyny - im wyższa pozycja w hierarchii tym większa autonomia, a przy tym w praktyce dożywotnia. Opozycji akademickiej nie ma, a jak kto przekręt ujawni to zniknie ze środowiska. W przeciwieństwie do polityków rektorzy mają zaufanie społeczne i media rzadko ujawniają ich niegodne poczynania, więc nie zanoszą się aby kryzys moralny środowiska akademickiego miał się ku końcowi, choć dla społeczeństwa nie jest mniej szkodliwy od kryzysu świata polityków.

Dr Trojan mutacją dr Elefanta ?

Kilka lat temu Paweł Huelle w książce 'Mercedes -benz', (wyd. Znak) opisał przypadek Dr Elefanta - wybitnego przedstawiciela świata medycznego, który nieludzko

zdzierał od chorych za swoje usługi i był świetnie ubezpieczony na wszelkie okoliczności jako jednoczesny filantrop. Najlepiej to ilustruje fragment: *'ludzie w rodzaju doktora Elefanta są w niej powszechnie szanowani, podaje im się rękę, gratuluje habilitacji, składa imienninowe życzenia, przesyła listy pełne szacunku, przydziela rektorskie nagrody, a wszystko to mimo powszechnej znajomości jego metod.- Mam nadzieję., że piekło go pochłonie - piekło - zaśmiała się z niedowierzaniem - tacy jak on są ubezpieczeni na wszystkie sposoby, czy pan wie, że doktor Elefant co dziesiątą operację wykonuje za darmo i nazywa to funduszem świętego Antoniego.'*

Opis nieetycznych działań dr Elefanta był tak sugestywny, że wzbudził zainteresowanie nawet prokuratury. Ta jednak wkrótce dała za wygraną, bo opis mógł się odnosić nie do konkretnego medyka, lecz do wielu o podobnych parametrach. Zdawano sobie sprawę z rozmiarów patologii ! ale nie podjęto działań na rzecz zmiany systemu, który by takie przypadki eliminował. Nie trzeba było czekać wielu lat aby został zidentyfikowany już konkretny i opisany z imienia i nazwiska przypadek, który będzie można pełniej rozpoznać, zbadać i

ewentualnie usunąć. Ale przecież nawet ewentualne usunięcie pojedynczego 'wirusa' nie spowoduje naprawy nauki polskiej !

Nauka w Polsce jest zawirusowana

Mamy coraz więcej użytkowników komputerów i internetu stąd może porównanie ze światem komputerów łatwiej wyjaśni problemy nauki polskiej, o której można mówić, że jest zawirusowana. Użytkownicy komputerów podłączonych do sieci internetowych wiedzą, że z wirusami trzeba walczyć - najlepiej systemowo. Systemy Windows 95 i 98 nie mają dobrych zabezpieczeń i łatwo je zawirusować, konie trojańskie łatwo wnikają do systemu.

Aby usunąć trojana, należy sprawdzić system przy pomocy uaktualnionego programu antywirusowego a następnie skasować wszystkie wykryte przez aplikację kopie. To sposób czasochłonny, wymagający pewnej znajomości rzeczy. Stosowanie tych systemów, bez dodatkowych instalacji, grozi narażeniem zasobów komputera na straty, a czasem na unieruchomienie

systemu w wyniku ataku wirusów. Natomiast nowszy system - Windows XP ma zaporę ogniową (firewall), która ogranicza ataki z zewnątrz. System jest bardziej stabilny, bardziej odporny na zawirusowanie. Za jeszcze lepszy uważany jest system Linuxa, ale ten jest przeznaczony dla bardziej sprawnych informatycznie.

Można ocenić, że nauka polska jest raczej na poziomie systemu Windows 95 czy 98, w praktyce niemal bezbronna przed atakami coraz to nowych 'wirusów'. Nie ma zapory ogniowej, która by spełniała rolę anioła stróża. Zainstalowane w nauce polskiej 'programy antywirusowe' w postaci zasad i kodeksów etycznych nie są skuteczne, gdyż wielu 'wirusów' nie są w stanie rozpoznać, a tym bardziej zlikwidować. Zbombardowane wirusami komputery nie zawsze da się ponownie uruchomić - trzeba je oddawać do serwisu.

Do naprawy nauki polskiej do tej pory nie uruchomiono skutecznych serwisów. Komisje etyczne takimi serwisami nie są. Rzadko są skłonne do działań mających na celu rozpoznanie 'wirusa', nie mówiąc już o jego unieszkodliwieniu. Trzeba by zmienić system, tak aby nauka w Polsce była bardziej efektywna.

Na szybkie wprowadzenie systemu anglosaskiego w nauce nie jesteśmy jeszcze przygotowani - przynajmniej mentalnie, ale przestawienie się na system proponowany przez Komisję Europejską w ostatnio opracowanej Europejskiej Karcie Naukowca ([http://europa.eu.int/eracareers/pdf/C\(2005\)576%20PL.pdf](http://europa.eu.int/eracareers/pdf/C(2005)576%20PL.pdf)) byłoby już sporym krokiem w dobrym kierunku. Ta Karta wprowadza wiele rozwiązań systemowych, które winny skutkować ograniczeniem patologii. Są to m.in.: otwartość konkursów na obsadzanie etatów akademickich, jawność dorobku naukowego, mobilność kadr akademickich, rozwiązywanie problemów za pomocą mediatora akademickiego.

To trochę tak jakby nam zalecano przestawienie się z Systemu Windows 98 na Windows XP. Powinniśmy się tak przestawić, aby nie pozostać na peryferiach unijnych.

Józef Wieczorek

Tekst nie mógł się ukazać na 'papierze' m.in. w Forum Akademickim, ale ukazał się bez cenzury w tygodniku Najwyższy Czas nr. 29-30, z datą 16-23 lipca 2005 r.)

Czarna księga komunizmu (uniwersyteckiego)

Gdy 16 maja 1999 r. do Krakowa przyjechali twórcy „Czarnej księgi komunizmu” – Stephane Courtois oraz Jean-Luis Panne – i w Collegium Novum Uniwersytetu Jagiellońskiego spotkali się ze społeczeństwem Krakowa, nie było tam ani władz UJ, ani wybitnych krakowskich historyków. W tym czasie w Europie nad „Księgą” toczyły się ożywione dyskusje – a w Krakowie cisza! Ciekawe dlaczego?

Czyżby to był problem mało nośny naukowo? Przecież nośnikiem komunizmu były w niemałym stopniu środowiska intelektualne, w tym znakomici uczeni. Niestety nie wszyscy historycy tak sądzą.

Jeden obsypywany laurami historyk krakowski twierdzi wręcz, że na prace nad „czarną księgą komunizmu w nauce i edukacji” nie warto przeznaczać publicznych pieniędzy.

Chyba niektórym historykom nie chodzi o ujawnienie prawdy, tylko o jej zaciemnienie – tak to wygląda w oczach nie-historyka, który chciałby się jednak dowiedzieć, co tak naprawdę kryje się pod tytułami, gronostajami, katedrami. Przecież to część naszej rzeczywistości.

Czytamy czasem w książkach, że w PRL-u zgony niektórych profesorów były tajemnicze, a kariery ich sukcesorów dziwnie błyskotliwe. Dr Marek Wroński za próbę odtworzenia zagadki śmierci prof. Mariana Grzybowskiego dostał kilka nagród, ale i stanął przed sądem. Niebezpiecznie jest dochodzić prawdy.

Życie akademickie z trupem w szafie

W Krakowie rozeszły się wieści, że Fundacja Centrum Dokumentacji Czynu Niepodległościowego, do powstania której przyczynił się rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego, zamierza opublikować akta bezpieczeństwa. Poruszyło to liczne gremia. Jednych porusza to, że w ogóle tak zamierza się uczynić, drugich – kto ma to robić, a jeszcze innych – po co to robić.

Racje są różne i podzielone.

Jedni mówią, że potrzebują prawdy jak chleba. Inni – że to sprawa przedwyborcza. Jeszcze inni, że to personalne rozgrywki.

Jedno jest pewne: władze UJ zachowują się tak, jakby chcieli, aby sprawy środowiska uczelni badali tylko sami swoi. Być może sądzą, że nie może być tak, aby osoby nieuprawnione, niezależne od władz, a zatem niekompetentne, badały pewne rzeczy w sposób nieposłuszny. Chodzi zapewne o to, aby jedno ujawnić, a drugie utajnić.

Władze uczelni wiedzą, co robią, bo wiedzą, co robiły w ciemnych okresach naszej historii. Nie bez przyczyny heroicznie bronią dostępu do teczek uczelnianych łamiąc nawet Konstytucję III RP.

Po co wywlekać prawdę na światło dzienne? Trzeba publicznie wołać o poszukiwanie prawdy, bo to zapewnia prestiż i autorytet moralny, ale faktyczne ujawnienie prawdy mogłoby ten prestiż obniżyć, zaś autorytet zniszczyć.

Prawda jest niebezpieczna. Lepiej żyć z trupem w szafie, podpierając mocno drzwi, aby trup nie wypadł.

Środowiska akademickie nie zostały oczyszczone w okresie transformacji, a w czasie PRL zostały tak osłabione, że utraciły moc samooczyszczenia. Uczelnie oczyszczono natomiast z ludzi nielojalnych w stosunku do trzymających władzę i stanowiących zagrożenie dla przewodniej siły narodu. Czyściły komisje anonimowe, zapewne z odpowiednim udziałem czynnika stojącego na straży jedynie słusznego systemu. Podania informacji o składach tych komisji władze uczelniane do dnia dzisiejszego bronią iście heroicznie...

Odbezpieczyć wszystkie teczki

Nie jest tajemnicą, że w systemie komunistycznym przewodnia siła narodu – PZPR była głową, a SB tylko narzędziem.

Niektórzy mówią, że między tymi organizmami istniała symbioza. Trzeba o tym pamiętać, bo nie da się poznać zachowań, ekologii jednego organizmu symbiotycznego bez poznania drugiego – ko-symbionta.

Odbezpieczenie akt bezpieki bez odbezpieczenia akt PZPR nie pozwoli na pełne poznanie rzeczywistego stanu rzeczy.

Nie było dla nikogo tajemnicą, że w czasach PRL-u czynnik partyjny miał ogromny wpływ na życie uczelni. Żaden awans, żadna nominacja, żaden służbowy wyjazd zagraniczny, nie mogły mieć miejsca bez wiedzy, poparcia, a przynajmniej przyzwolenia czynnika partyjnego. Życie uczelni, partii i SB wzajemnie się przenikały. Pozostaje zatem rozpoznanie tej symbiozy, udokumentowanie jak ona przebiegała i jaki miała wpływ na życie akademickie uczelni, które jak się mówi – w sposób zasadny – pozostały skansenami nie do końca upadłego PRL-u.

Potrzebne jest kompleksowe ujęcie problemu z poznaniami zarówno teczek SB, jak i PZPR oraz partii sojusznicych, młodzieżowego zaplecza oraz teczek „służb” akademickich. Potrzebne są też opinie świadków.

Doświadczenia b. NRD wskazują, że w środowiskach akademickich wystarczył uścisk dłoni bez pozostawienia

innych śladów, aby doszło do współpracy i np. deklaracji załatwiania niewygodnych osób.

Niewygodnych wykańczano także psychicznie, stosując ostry mobbing i to była bardzo mocna broń, bo jej stosowanie trudne jest do udowodnienia szczególnie przy analizach tylko teczek bezpieki.

Niestety u nas nie ma woli, aby przyczyny, przebieg i zasięg tego zjawiska poznać.

Bez udziału czynnika ludzkiego, jeszcze żyjących świadków, niewyjaśnione pozostaną okoliczności wielu błyskotliwych karier akademickich jednych a druzgotania drugich .

Mimo że na uczelniach łamano elementarne prawa człowieka, bo na mocy „prawa” nie istniały możliwości odwoływania się do sądu, do tej pory w wolnej, demokratycznej Polsce los pokrzywdzonych nikogo nie interesuje. Widocznie byli słabi, niekompetentni skoro ich załatwiono. Tak „rozumują” autorytety moralne i intelektualne polskiego środowiska akademickiego. A dostępu do teczek nie chcą umożliwić. Wiedzą, co czynią!

Teczki uczelniane z materiałami zbieranymi na niewygodnych pracowników, które bywały gdzieś

wysyłane do nieznanymi obecnie departamentów, niekoniecznie w zbiorach SB, nie są dostępne dla pokrzywdzonych, a władze uczelni do dnia dzisiejszego powołują się na „prawo” stanu wojennego, które pozwala im takie teczki aresztować czy niszczyć.

Co więcej, teczki są modelowane do dnia dzisiejszego, uzupełniane dla polepszenia wizerunku katów i pogorszenia wizerunku ofiar. Gdyby to czyniły służby bezpieczeństwa, podlegałyby to pod odpowiednie ustawy, ale uczelnie są autonomiczne.

Nie jest to właściwa metoda naukowa, ale kto by jeszcze na uczelniach zajmował się takimi sprawami. Liczy się tylko ilość profesorów belwederskich i ilość wydanych dyplomów. To jest najlepsza metoda na pozytywny wizerunek uczelni i na większy szmal z kieszeni podatnika. Jeśli się resztę schowa pod dywan, to nikt niczego nie zauważy.

Trzeba mieć też na uwadze, że i polski wymiar sprawiedliwości nie został oczyszczony, a sądy nie zawsze są zainteresowane dochodzeniem prawdy. W wyrokach sądowych można przeczytać np.: „nie jest rzeczą sądu

zarządzanie dochodzeń w celu wyjaśnienia twierdzeń stron”. Jasne jest zatem, że wyjaśnienie, kto był katem, a kto ofiarą, gdy tylko jedna za stron posiada autonomię na badanie prawdy, w naszym systemie nie jest proste, o ile w ogóle możliwe.

Jawna koncepcja niejawności

Niejawność jest wpisana w system nauki i edukacji w Polsce. Nie ma nawet organu właściwego do gromadzenia szczegółowych danych dotyczących dorobku naukowego poszczególnych nauczycieli akademickich i nie ma woli, aby taki organ zaistniał. Obecnie działającym organom taka wiedza nie jest potrzebna.

Można by zapytać: po co prowadzić badania, jeśli to, co się zrobi, ma być niejawne? Ale jest w tym sens. Jeśli nie ma jawności, to przecież niewygodnemu można zarzucić np. niekompetencję i nie można sprawdzić, czy większy dorobek ma „kompetentny”, czy „niekompetentny”.

W tajności jest ukryty wielki sens nauki polskiej, której poziom liczy się ilością belwederskich profesorów o dorobku niejawnym, promowanych przez gremia o dorobku także niejawnym. Decydenci twierdzą, że ci,

którzy mają tytuły i wysokie stopnie, to najlepsi z najlepszych, ponieważ zostali prześwietleni. Niestety, wyniki owego prześwietlenia są niejawne...

Teczki uczelniane nie są i nie były przedmiotem zainteresowania ani Ministerstwa Edukacji, ani Instytutu Pamięci Narodowej. IPN podpisuje współpracę z uczelniami, ale to historycy tych uczelni mają mieć dostęp do akt IPN, natomiast IPN do akt tych uczelni dostępu nie ma. Jeśli np. IPN nie ma akt na jakąś osobę, a akta ma uczelnia, to jest to jej autonomiczna decyzja, czy je udostępni zainteresowanemu.

Tym sposobem historii nauki i edukacji nie da się poznać. A szkoda, gdyż ma to wymiar także teraźniejszy. Czyszczenie kadrowe w czasach komunistycznych przeprowadzono na wielką skalę i w istotnym stopniu wpływa to nadal na kiepską kondycję nauki i edukacji w Polsce.

Czarna księga komunizmu w nauce i edukacji

Przez Polskę przewala się fala dyskusji nad lustracją i dekomunizacją. To, co powinno być zrobione w okresie transformacji, spóźnione jest już o całe 15 lat. Na ogół

postuluje się, aby dekomunizacja obejmowała głównie polityków, czasem także wymieniani są dziennikarze.

A co z profesorami? Dlaczego studenci mają się uczyć w salach imienia wybitnego autorytetu moralnego i intelektualnego, który był tajnym albo jawnym współpracownikiem sił zniewalających polski naród?

Dlaczego naukowe dokonania towarzyszy partyjnych opiniują członkowie dawnej podstawowej organizacji partyjnej albo biura politycznego?

Dlaczego Akademia Nauk Społecznych rozwiązana została jedynie formalnie, bo realnie funkcjonuje na innych uczelniach?

Dlaczego b. członkowie POP PZPR i Biura Politycznego mają gwarantowane akademickie etaty (nieraz wiele etatów) niemal dożywotnio, a ich ofiary są bezetatowe?

Takich pytań można by postawić wiele. Prezes IPN w jednym z wywiadów powiedział: *„Trądem w sposób szczególny były dotknięte szkoły wyższe”*.

Problem w tym, że trąd ten nadal panuje w pałacu nauki i edukacji.

Niestety „Czarna księga komunizmu w nauce i edukacji” jak do tej pory nie ma szans na powstanie, mimo że „gruba kreska” w nauce nie powinna być stosowana. Opracowaniem księgi nie jest zainteresowana nawet Polska Akademia Umiejętności, przynajmniej w przypadku zaangażowania osób niezależnych w myśleniu i działaniu.

Natomiast władze UJ chętnie mówią nawet o projekcie badań nad inwigilacją środowiska akademickich na szerszym tle, ale w takiej postaci, żeby projekt realizowali tylko historycy UJ.

Warto jednak w tym miejscu wspomnieć, że na mocy Akademickiego Kodeksu Wartości pracownicy UJ muszą podpisywać „lojalkę”, więc tylko lojalna historia może wyjść spod ich piór.

Tak jednak być nie może. Potrzebne są studia rzetelne, lojalne w stosunku do faktów, a nie w stosunku do władzy.

Potrzebne są badania interdyscyplinarne prowadzone także przez nie-historyków i przez zespoły niezależne od władz danej uczelni.

Oczywiście najlepiej, aby nad tymi badaniami patronat miał Instytut Pamięci Narodowej. Wcześniej czy później

prawda winna wyjść na światło dzienne. Ważne, aby wyszła wcześniej. Życie akademickie z trupem w szafie jest nie do zniesienia, a ukrywanie trupa pochłania wiele energii, której często już nie starcza na nawiązanie kontaktu z nauką światową.

Józef Wieczorek

Opublikowano w Magazynie OBYWATEL nr.2 (22)2005

Mediator akademicki pilnie potrzebny

Bez mediatora akademickiego, oczywiście niezależnego od władz akademickich, nie można zagwarantować normalnego funkcjonowania społeczności akademickiej. To, co się dzieje na uczelniach, rzadko wychodzi poza ich mury.

Autonomia szkół wyższych zagwarantowana jest prawem (ustawa o szkolnictwie wyższym z 12 września 1990 r.; Dz. U. nr 65, poz. 385 z późn. zm.), z tym że chociaż odnosi się do sfery badań naukowych i edukacji, rozciągana jest na wszelkie sfery życia akademickiego.

Przykładem może być dyskusja na ostatnim posiedzeniu Konferencji Rektorów we Wrocławiu. Rektorzy heroicznie walczą o autonomię dla bezkarnego łamania prawa. W projekcie nowej ustawy – Prawo o szkolnictwie wyższym, przygotowanym głównie przez rektorów, Sejmowa Komisja Edukacji, Nauki i Młodzieży wprowadziła bowiem

zapis o możliwości odwołania rektora przez ministra w przypadku rażącego naruszenie prawa.

Według rektorów jest to zamach na autonomię szkół wyższych. Rektorom nie przeszkadzał natomiast, aprobowany przez nich, fakt usuwania niewygodnych nauczycieli akademickich na podstawie ustawy z 1982 r. „Etyka Kalego” jest podstawową etyką polskiego środowiska akademickiego.

Niestety, rektorzy, współtwórcy projektu nowej ustawy, nie podejmują tematu powołania instytucji mediatora akademickiego – niezwykle ważnej dla rozwiązywania konfliktów i przeciwdziałania mobbingowi w środowisku akademickim.

Mobbing w łasce

Pojęcie mobbingu wprowadzono do polskiego prawa pracy w styczniu 2004 r. Samo zjawisko występowało na uczelniach chyba od początku ich istnienia. Nie można tuszować problemu i udawać, że szkoły to nie dotyczy.

W praktyce prawo pracy nie zawsze obowiązuje na autonomicznych uczelniach. Pracownik nękaný przez

dobrze umocowanych w hierarchii akademickiej starszych kolegów ma jedynie iluzoryczne możliwości wygrania procesu sądowego.

Na ogół nie ma co liczyć na świadków, a i z dokumentami może być kłopot, bo często ich nie ma. Zresztą sprawa sądowa to stadium finalne, na ogół związane z odejściem z pracy nękanego pracownika. Wcześniejszy proces, gdyby miał miejsce, poddanemu mobbingowi nie pomoże, a na ogół zaszkodzi, nawet jeśli przypadkiem go wygra. Na swej uczelni nie miałby miejsca, a możliwości zdobycia pracy po rozgłosie procesowym i wymianie informacji między rektorami, w ramach braterskiej pomocy, są utrudnione.

Priorytetem jest wprowadzenie takich zmian systemowych, które ograniczałyby zjawisko mobbingu, pozwalając na rozwiązywanie problemów we wczesnych jego stadiach. Na ogół do mobbingu prowadzi złe rozwiązanie konfliktu.

Zachodnie uczelnie radzą sobie z tym dzięki instytucji rzecznika uniwersyteckiego (University Ombudsman), która w Polsce nie ma odpowiednika. Rektorzy przygotowali tzw. prezydencki projekt ustawy – Prawo o

szkolnictwie wyższym, w którym brakuje instytucji mediatora akademickiego. Dopóki ustawa jest w fazie dyskusji sejmowych, dopóty jest jeszcze czas, aby ten mankament naprawić.

Zgodnie z deklaracjami wprowadzenie ustawy jest konieczne, aby dostosować polski system do standardów europejskich. Niestety, nie ma woli, aby miały one odzwierciedlenie w ustawie. Problem mediatora akademickiego powinien wejść pod obrady komisji sejmowej, a ustawa nie powinna ujrzeć światła dziennego bez wprowadzenia takiej instytucji.

Stowarzyszenia bezradne

Rozwijające się stowarzyszenia antymobbingowe, do których napływają informacje o mobbingu na uczelniach, mają ograniczone możliwości pomocy poszkodowanym. Na ogół są jeszcze słabo zorganizowane. Czasem biorą udział w procesach, ale jest to wsparcie bardziej moralne niż realne. Prawnicy nie są przygotowani, od strony społeczno-psychologicznej, do zmierzenia się z tym rodzajem spraw. Rektorzy, ustawowo zobowiązani do przeciwdziałania mobbingowi, jakby zjawiska nie znali.

Są też przypadki, że to rektorzy skarżą się na pracowników, którzy sprawiają im kłopoty. Wydaje się naturalne, że skoro rektor jest poddawany mobbingowi przez podwładnego, to powinien dążyć do tego, by w nowym prawie zabezpieczyć się przed takimi przypadkami przez utworzenie instytucji mediatora. Rzecz w tym, że rzekomo szykanowani rektorzy takiego rozwiązania nie chcą.

Ze względu na wady ustawy zasadniczej część nauczycieli akademickich pozbawiona jest pomocy rzecznika praw obywatelskich. Zgodnie z prawem rzecznik może pracować na stanowisku profesora w szkole wyższej. Co wtedy, gdy ktoś jest pokrzywdzony przez rektora, a zarazem przełożonego rzecznika praw obywatelskich? Oczywisty konflikt interesów należałoby rozwiązać przez jak najszybszą zmianę konstytucji.

Rzecznik praw obywatelskich nie jest rzecznikiem wszystkich obywateli i musi wybierać między lojalnością wobec swojego przełożonego a lojalnością w stosunku do obowiązującej go ustawy (ustawa z 15 lipca 1987 r., tekst jedn. Dz. U. nr 14. poz. 147).

Gdzie umocować

Nie ulega wątpliwości, że instytucja mediatora musi być ukształtowana poza strukturami uczelnianymi. Rektorzy mają do pomocy komisje dyscyplinarne i liczne kodeksy etyczne. Mediator musi być od rektora niezależny. W obecnej sytuacji prawnej ulokowanie mediatora akademickiego (i jego biur) np. przy urzędzie rzecznika praw obywatelskich nie byłoby dobrym rozwiązaniem. Pozostaje chyba Państwowa Inspekcja Pracy.

Krokiem naprzód było powołanie rzecznika praw studenta, który zajmuje się również sprawami poddawania mobbingowi studentów przez nauczycieli akademickich. Nie ma takiego odpowiednika do ochrony praw nauczycieli akademickich. W feudalnej strukturze uczelni nauczyciel akademicki jest nadal bezbronny.

Józef Wieczorek, Joanna Szpiega
Autor reprezentuje Niezależne Forum Akademickie,
autorka – Kancelarię Prawną Ad Astrum w Krakowie
Tekst opublikowany: Rzeczpospolita 12.03.05 Nr 60
PRAWO CO DNIA

Karta nie dla polskich naukowców

Projekt ustawy –Prawo o szkolnictwie wyższym, o który od dwóch lat toczą się boje w Sejmie i poza nim, powstaje na fali deklaracji o dostosowywaniu się do wymogów Unii Europejskiej w zakresie tworzenia wspólnej przestrzeni naukowej i edukacyjnej.

Jednak trudno nie odnieść wrażenia, że ma być ono jedynie werbalne, bo nie widać dostosowania realnego. Komisja Europejska przyjęła 11 marca 2005 r. „Europejską kartę dla naukowców i kodeks postępowania przy zatrudnianiu naukowców” (European Charter for Researchers and a Code of Conduct for the Recruitment of Researchers). Ma to ważne znaczenie dla tworzenia wspólnej unijnej przestrzeni badawczej i edukacyjnej.

Zalecany kodeks zasad

Karta wprowadza wiele uregulowań dotyczących standardów, które powinny obowiązywać w sferze nauki i edukacji w Unii Europejskiej. Między innymi zaleca:

- przejrzystość zasad przydziału funduszy na badania i jawność rezultatów badań,
- stymulowanie odpowiednimi regulacjami prawnymi mobilności naukowców, która winna być doceniana przy zatrudnianiu i ocenie pracowników,
- przejrzystość kryteriów i rezultatów oceny naukowców,
- dostęp do procedur odwoławczych we wszystkich kwestiach związanych z zatrudnieniem i finansowaniem,
- możliwość korzystania z pomocy niezależnego od władz mediatora akademickiego w rozwiązywaniu konfliktów,
- rekrutację pracowników na podstawie otwartych konkursów przy zachowaniu zasady równego traktowania kandydatów.

Zmiany bez zmian

W Sejmowej Komisji Edukacji, Nauki i Młodzieży trwają natomiast gorączkowe prace nad prawem o szkolnictwie wyższym. Projekt ustawy, o którą walczą zwłaszcza

rektorzy akademickich szkół wyższych, nie jest jednak zgodny z filozofią oraz zapisami europejskiej karty.

W projekcie nie można znaleźć zapisów o koniecznej jawności dorobku naukowego ludzi nauki, którzy w większości pracują na uczelniach wyższych. Żadna z polskich instytucji nie jest zobowiązana prawem do gromadzenia i udostępniania danych na ten temat, mimo że zarówno nauczycieli akademickich, jak i uczelnie ocenia się m.in. według ich „siły naukowej”.

Na czym ta „siła” ma polegać, dokładnie nie wiadomo. Jak nie ma dostępnych wiarygodnych danych, to nie można w sposób zasadny określić, kto jest kompetentny a kto nie, nie można ocenić, która szkoła ma lepszych, a która gorszych naukowców.

Wskaźnik liczby profesorów w tej materii niczego tak naprawdę nie mówi, gdyż wielu profesorów ma dorobek naukowy często mniejszy od zwykłych doktorów.

Kryteria i rezultaty oceny nauczycieli akademickich i jednostek uczelnianych nie są u nas przejrzyste i projekt ustawy niczego w tej materii nie wyjaśnia.

Rekrutacja nauczycieli akademickich odbywa się na podstawie fikcyjnych konkursów rozpisywanych na ogół pod konkretnego kandydata i tak ma pozostać po

wprowadzeniu nowej ustawy. Polskie prawo preferuje stałość zatrudnienia, a mobilność naukowców, która winna być doceniana, jest dyskryminowana.

Prawo dość skutecznie zniechęca naukowców polskich pracujących za granicami do powrotu. Często nie mają oni habilitacji, bo za granicą do pracy nie jest ona potrzebna, w przeciwieństwie do dużego dorobku naukowego. U nas jest całkiem na odwrót i tak ma pozostać....

Mimo że dokument Komisji Europejskiej ogłoszony został przed niespełna miesiącem, panuje w tej materii cisza medialna. Nie widać omówień tego dokumentu w prasie na ogół szybko reagującej na nowości w zakresie prawa o szkolnictwie wyższym. Nie ma też informacji o unijnym dokumencie na stale aktualizowanych stronach Ministerstwa Edukacji i Sportu czy Ministerstwa Nauki i Informatyzacji.

Jego uchwalenie nie wzbudziło w Polsce entuzjazmu, a raczej zakłopotanie.

Czyżby dokument Komisji Europejskiej nie odnosił się do naukowców polskich, mimo że od niemal roku jesteśmy krajem unijnym? Jedyne na Niezależnym Forum

Akademickim toczy się ożywiona dyskusja w sprawie dostosowania naszego prawa do standardów unijnych, bo istnieje uzasadniona obawa, że po wprowadzeniu nowej ustawy o szkolnictwie wyższym znajdziemy się na peryferiach UE.

Projekt ustawy – Prawo o szkolnictwie wyższym należy dostosować do zasadnych wymogów dokumentu Komisji Europejskiej, inaczej środowisko akademickie znajdzie drogę zaskarżenia tego dokumentu do instytucji unijnych.

JÓZEF WIECZOREK

Autor jest redaktorem portalu Niezależne Forum Akademickie

Rzeczpospolita 7.04.2005

Jakie uniwersytety? – polemika

Leszek Pacholski – profesor i obecny rektor-elekt Uniwersytetu Wrocławskiego w kwartalniku ‚Nauka‘ nr. 1 , 2005 opublikował tekst „JAKIE UNIWERSYTETY?“, który wcześniej był dostępny w internecie. W wersji skróconej tekst ten został opublikowany także w „Tygodniku Powszechnym” (43/2004; 2885). W pełnej wersji opublikowanej w „Nauce” autor poświęcił sporo miejsca pacyfikacji naszych poglądów wyrażonych w artykule ‚Prof. dr hab. dożywotni‘ opublikowanym w Polityce nr 30/2004 (2462).

Warto tu nadmienić, iż nasz artykuł wywołał ożywioną reakcję w środowisku akademickim, prowokując wiele wypowiedzi, zarówno krytycznych, jak i popierających nasze poglądy, których wybór także ukazał się w „Polityce”, a ich pełne teksty i dyskusje internetowe dostępne są nadal na stronach internetowych tego tygodnika.

(<http://polityka.onet.pl/162,1176405,1,0,2462-2004-30,artykul.html>,
<http://polityka.onet.pl/162,1181578,1,0,artykul.html>).

Nie bez znaczenia dla czytelnika będzie podanie informacji, że na witrynie „Prawo o szkolnictwie wyższym – debata” (<http://www.ii.uni.wroc.pl/~psw/>) niestety z tekstem Leszka Pacholskiego – Jakże uniwersytety? nie można dyskutować mimo podanej informacji „Zapraszamy do dyskusji!”.

Natomiast nasza witryna – Niezależne Forum Akademickie www.nfa.pl otwarta jest dla dyskusji o czym polskie środowisko akademickie zostało poinformowane. Wielu naukowców z tej możliwości otwartej i niecenzurowanej dyskusji korzysta, o czym każdy zainteresowany może się przekonać. Serdecznie zapraszamy!

Leszek Pacholski zarzuca nam bałamutność i naiwność, tymczasem to jego wypowiedź nosi takie cechy. Autor podaje wybiórcze informacje o naszych poglądach, mimo że zna także inne nasze teksty. Widzi nas w roli pacyfikujących poglądy innych, gdy tymczasem to my

jako szeregowi naukowcy (nie-decydenci) jesteśmy obiektami pacyfikacji ze strony decydentów, do grona których należy też Leszek Pacholski.

Strach się odezwać w sprawie zmian systemu nauki i edukacji w Polsce, gdyż wzbudza to zacięty i solidarny opór ze strony osób z kół profesorsko-decydenckich.

Nic w tym dziwnego, skoro taka reforma zapewne pozbawiłaby dużą część tego grona wpływów i posad po wprowadzeniu przyjętych w cywilizowanym świecie standardów naboru i weryfikacji pracowników. Elementem tego oporu jest obrona habilitacji jak niepodległości. Leszek Pacholski przyrównał ją wręcz do amerykańskiej „tenury”, czyli gwarancji nieusuwalności z posady po awansie ze stanowiska profesora pomocniczego.

Czy Prof. Leszek Pacholski rzeczywiście nie widzi różnicy między „tenurą” a habilitacją? Znamy z autopsji w Polsce liczne przykłady profesorów lekceważących studentów, wyrzucających indeksy przez okna, łamiących przepisy akademickie, stosujących mobbing i „sexual harrasment” wobec studentów i doktorantów, uprawiających lub

tolerujących plagiaty, do tego miernych naukowo, a mimo to „nie do ruszenia”. Nawet jak odejdą z jednej uczelni, zawsze znajdą przystań na innej.

Tego typu „naukowcy” dawno utraciliby „tenurę” w USA. Postulowana przez nas likwidacja habilitacji jest tylko częścią całościowej reformy systemu. Wyrwanie naszego postulatu z kontekstu jest zabiegiem demagogicznym.

Likwidacja habilitacji bez zmian systemowych nie zmieni kondycji nauki w Polsce na lepsze, tak jak na lepsze nie zmienia sytuacji utrzymywanie habilitacji. Leszek Pacholski zdaje sobie sprawę, że mimo obowiązywania habilitacji pozostały jedynie oazy uprawiania nauki w Polsce, o czym pisze, i zapewne w takiej oazie pracuje nie wychodząc na otaczającą pustynię. Ale dalsze utrzymywanie obecnego systemu może doprowadzić do wyschnięcia źródeł zasilających te oazy, które wówczas zasypie piasek miernoty.

Leszek Pacholski nie nadmienia, że postulowaliśmy w wielu naszych tekstach (por. zebrane teksty na Niezależnym Forum Akademickim – działy : Debata nad Ustawą o Szkolnictwie Wyższym, Patologie środowiska

akademickiego, Perspektywy nauki i szkolnictwa wyższego) wprowadzenie do polskiego prawa zasady jawności dorobku naukowego, oceny naukowców według tego jawnego dorobku a nie według dożywotnich tytułów, które w naszym systemie często są od dorobku niezależne.

Nie nadmieniam też, że postulowaliśmy wprowadzenie zasady obsadzania etatów na drodze otwartych i jawnych konkursów z udziałem wybitnych przedstawicieli zagranicznych środowisk naukowych, oraz zasady mobilności kadry akademickiej.

Niestety obecny system uzależnia ocenę poziomu uczelni i jej akredytację od ilości posiadanych tytułów, przyjmując tytuły naukowe pracowników za najważniejszy miernik poziomu nauki uprawianej na uczelniach. Stąd też zerowa stopa bezrobocia wśród byłych „pracowników naukowych” tzw. Wyższej Szkoły Nauk Społecznych (później Akademii Nauk Społecznych) przy KC PZPR, o których zatrudnienie były się uczelnie, potrzebujące wykazać się odpowiednią ilością pracowników z habilitacją i profesurą, nawet jeśli

habilitacja dotyczyła podstaw „marksizmu-leninizmu” czy innych paranaukowych absurdów.

Nasze środowisko akademickie nadal broni się przed stosowaniem standardów anglosaskich. Stąd też mamy bazy niedanych o ludziach nauki, bazy niedanych o wynikach projektów badawczych i nie ma siły aby do prawa wprowadzić nakaz ujawniania tego co winno być jawne, a nie tajne.

O ile można zrozumieć, iż reform boją się utytułowane miernoty naukowe, o tyle dziwi fakt, iż bronią się przed nimi często także ci nieliczni profesorowie, tacy jak Leszek Pacholski, którzy skorzystaliby na takiej reformie, mając szansę zostać liderami zreformowanej polskiej nauki.

Pragniemy podkreślić, że generalnie z naszymi poglądami zgadzają się w swoich tekstach publicystycznych m.in. prof. M.Żylicz, Prof. J.Kalisz, rektor WSB-NLU K. Pawłowski, którzy do zagadnień podchodzą bardziej systemowo, gdy natomiast prof. L. Pacholski jakby nie do końca zgadzał się z tym co sam napisał i podpisał w liście otwartym umieszczonym na swojej stronie

http://www.ii.uni.wroc.pl/~psw/index.php/psw/aktualności/list_otwarty_z_1_x_2004).

Tak jakby był ,za, a nawet przeciw' radykalnej, ale koniecznej reformie systemu nauki w naszym kraju.

Cezary Wójcik (Evansville, USA),

Józef Wieczorek (Kraków)

P.S. tekst opublikowany na ,papierze' w NAUKA 4/2005

[http://www.pan.pl/modules.php?](http://www.pan.pl/modules.php?name=Content&pa=showpage&pid=191)

[name=Content&pa=showpage&pid=191](http://www.pan.pl/modules.php?name=Content&pa=showpage&pid=191)

<http://www.nfa.alfadent.pl/articles.php?id=113>

Nauka i pieniądze

Prof. Edmund Wnuk-Lipiński ma rację pisząc w tekście „Nauka jako fanaberia” („TP” nr 25/06), że rząd, poza pomysłem wprowadzenia niekorzystnych dla środowiska akademickiego zmian podatkowych, niczego innego w sprawie reformowania nauki w Polsce nie zaproponował.

Warto przypomnieć, że premier Kazimierz Marcinkiewicz podczas spotkania ze środowiskiem akademickim w Krakowie w styczniu tego roku postulował: *„Konieczne są radykalne zmiany w szkolnictwie wyższym, bo inaczej nakłady na oświatę i naukę będą nadal marnotrawione”*.

Obniżenie kosztów uzyskania przychodów jest według mnie posunięciem zasadnym, ale bez innych reform nie doprowadzi do zmian na lepsze, o ile w ogóle zostanie przeprowadzone ze względu na opór środowiska akademickiego.

Zgadzam się z prof. Zytą Gilowską, że obecny stan rzeczy, kiedy trudno jednoznacznie określić, co jest

księgowane po stronie wydatków na naukę, jest patologią (jeżeli nie osiągnięto przychodu albo nie jest on jawny, koszt jego uzyskania winien chyba być zerowy, a nie 50-proc.).

Nauka w Polsce potrzebuje dużo większych nakładów, ale inwestowanie w nią bez wcześniejszych zmian systemowych zakończyłoby się jedynie marnotrawstwem.

Dlatego też, to przede wszystkim naukowcy powinni zaproponować zmiany w nauce i edukacji, i o ich realizację walczyć, np. zabiegając o wprowadzenie w życie Europejskiej Karty Naukowca, która nakłada obowiązek sukcesywnego ujawniania dorobku naukowego, organizowania rzeczywistych konkursów na obsadzanie etatów akademickich, tworzenia przyjaznych warunków dla mobilności naukowców, aby obecny wzorzec kariery akademickiej – od studenta do rektora na tej samej uczelni – nie był już możliwy.

Konieczna jest też społeczna dyskusja nad gruntowną reformą systemu nauki i ograniczenia patologii osłabiających potencjał polskiego społeczeństwa.

JÓZEF WIECZOREK, prezes Fundacji „Niezależne Forum
Akademickie”, Kraków

List Józefa Wieczorka

Tygodnik Powszechny 2006-07-04

Czy można się uchronić przed mobbingiem w pracy ?

Relacje w pracy, czy to między pracownikami, czy to między przełożonymi a podwładnymi, bywają chore. Często mają charakter szykan psychicznych zwanych mobbingiem lub molestowaniem moralnym. Mówi się nawet, że mobbing jest wszechobecny, a zatem uciec przed nim trudno, o ile to jest w ogóle możliwe. Niektórzy nietypowi pracownicy, czymś się wyróżniający spośród innych, niewygodni dla przełożonych, są chyba na mobbing skazani.

Zwykle ludzi nurtują pytania:

Kto jest za mobbing odpowiedzialny ?

Czy sam pracownik, który z jakiegoś powodu podatny na mobbing ?

Czy też pracodawca z punktu widzenia prawa pracy odpowiedzialny za tworzenie warunków pracy – takich, aby do mobbingu nie dochodziło ?

Najczęściej to pracodawca jest winny, choć rzadko tak sądy orzekają i winni na ogół za to nie ponoszą odpowiedzialności.

Pracodawca lub bezpośredni zwierzchnik pracownika należą do najczęstszych mobberów – mówimy wtedy o mobbingu pionowym, odgórnym. Natomiast mobbing oddolny, skierowany ku przełożonemu jest rzadki, chociaż i z takimi przypadkami się spotykamy.

Przy ustalaniu winnego mamy jednak zwykle sytuację odwrotną tzn. polscy pracodawcy, przełożeni skarżą się, że to oni są szykanowani ze strony niezrównoważonych pracowników. To byłaby sytuacja anomalna w skali światowej, ale do tej pory naukowo nie jest udokumentowana.

Rozstrzygnięcie jak jest naprawdę nie jest jednak trudne. Wystarczy wystąpić z propozycją mediacji i wtedy przełożeni taką mediację odrzucają, gdy szykanowani pracownicy – przyjmują. Bo zwykle jest tak, że to szykanowany realnie chce problem rozwiązać polubownie aby w pracy jakoś przeżyć. Mobberowi na tym nie zależy, wręcz przeciwnie.

Z drugiej strony faktem jest, że pewni pracownicy są szczególnie podatni na mobbing, bądź ze strony

przełożonych, bądź ze strony kolegów (mobbing horyzontalny). I można na ich cechy osobowości zwałać winę. Ale czy zawsze to jest wina ?

Czy zasadne jest kogoś winić za to, że jest zdolniejszy, bardziej wydajny, bardziej aktywny od swojego przełożonego, czy swoich kolegów, co jest bardzo częstym powodem szykan jakie go spotykają ?

Niestety głównym powodem mobbingu jest to, że ktoś się z szarej masy czymś wyróżnia, czego natura ludzka nie znosi, i nigdy nie znosiła, o czym wystarczy się przekonać np. czytając Biblię.

Ludzka zawiść nie ma żadnych granic i nie zawsze kończy się tylko na mobbingu. Ale i mobbing wcale nie jest małą karą za wyróżnianie się z masy. Mobbing prowadzi do wykluczenia, do wyeliminowania ze społeczeństwa, z korporacji zawodowej, prowadzi do utraty zdrowia uniemożliwiając pracę, a nawet to zakończenia egzystencji na tej ziemi.

Co więcej eliminowanie przeciwników na drodze mobbingu jest nie tylko skuteczne, ale jest jakby bardziej bezpieczne, bo udowodnienie odpowiedzialności za mobbing i jego skutki – trudne i niepewne.

Stąd mobbing to bardzo ulubiona forma wykańczania niewygodnych.

Czy można zatem uchronić się przed mobbingiem w pracy ?

W wielu przypadkach można, szczególnie jeśli nie jest się wcześniej rozpoznanym jako niewygodny i jeśli dołożymy starań aby w nowym miejscu pracy z masy się nie wyróżniać.

To nie jest jednak proste bo każdy inteligentny musi zdawać sobie sprawę, że wcześniej czy później zostanie rozpoznany, zidentyfikowany jako realny czy wyimaginowany (w gruncie rzeczy nie jest to takie istotne) obiekt zagrożenia. Drugie pytanie to – czy człowiek winien wyrzekać się swojego jestectwa, swoich zdolności, swojej aktywności, swojej twarzy, aby innych nie raziła ? To jest droga donikąd.

Od mobbingu można się w ten sposób na jakiś czas uchronić, ale czy taką cenę warto ponosić ? Człowiek winien się rozwijać, przekazywać społeczeństwu to co ma najlepszego a nie bać się, że to innych może denerwować, mobilizować do szykan, do działań godzących w godność drugiego człowieka.

Takie warunki do rozwoju winno zapewnić człowiekowi, każdemu obywatelowi, normalne państwo poprzez swoje prawo, poprzez organizację pracy, poprzez stosowane normy społeczne.

Niestety w państwie na ogół człowiek jest osamotniony, bezsilny, wobec arogancji władzy, swoich przełożonych, wobec niezależnych od sprawiedliwości i moralności sądów, wobec znieczulicy społecznej.

Warto przywołać tu encyklikę DEUS CARITAS EST Ojca Świętego Benedykta XVI określającą jakie państwo jest nam potrzebne. Nie państwo, które ustala i panuje nad wszystkim, jest tym, którego potrzebujemy, ale państwo, które dostrzeże i wesprze, w duchu pomocniczości, inicjatywy podejmowane przez różnorakie siły społeczne, łączące w sobie spontaniczność i bliskość z ludźmi potrzebującymi pomocy’.

Niestety mimo oczywistych potrzeb takiego państwa jeszcze nie zbudowaliśmy. W Polsce na ogół słyszymy, że trzeba budować społeczeństwo obywatelskie, ale struktury obywatelskie tworzone oddolnie, także te które mają na celu zmiany systemowe zapobiegające m.in.

mobbingowi raczej nie mogą liczyć na pomoc państwa. Liczne fundusze pomocowe tak są skonstruowane, że trafiają zwykle do struktur zależnych od decydentów, a nie do struktur niezależnych, niewygodnych dla decydentów. Oddolne tworzenie społeczeństwa obywatelskiego raczej nie jest mile widziane.

Tak samo nie są mile widziane inicjatywy niewygodnych zmian prawnych, co można udokumentować na przykładzie m.in. sprawy mediatora akademickiego.

W wielu krajach na uczelniach funkcjonuje instancja mediatora akademickiego, który ma na celu rozwiązywania różnych problemów, konfliktów mających miejsce w środowisku akademickim. U nas taka instancja nie ma jak dotychczas szans na powstanie mimo zaleceń Komisji Europejskiej w tym względzie i oddolnych inicjatyw aby taką instancję wprowadzić.

Polskie ustawy skazują pracownika akademickiego (i nie tylko akademickiego) na drogę sądową, gdy droga mediacji, droga polubowna, jest dyskredytowana. Zamiast konflikty wygaszać, rozwiązywać je u źródła – wyraźnie się je zaostrza. Bo czy po nawet wygranym procesie pracownik ma szanse na przeżycie w swoim

miejscu pracy ? – a nawet w innym, skoro świat jest taki mały.

To poważna patologia naszego prawa, naszego państwa, w którym wyróżniający się obywatel musi liczyć się z nieprzyjaznymi dla niego działaniami i z osamotnieniem wobec problemów, które przecież nie są tylko jego własnymi, bo osłabiają całe społeczeństwo.

Nie ma jednak innej drogi jak tworzenie struktur obywatelskich dla obrony praw nękanym pracownikom. Powstało już wiele stowarzyszeń antymobbingowych, których skuteczność działania nie jest wystarczająca, ale przynajmniej osoby mobbingowane mają szansę aby się do kogoś zwrócić o poradę. Najgorzej być samemu w takich sytuacjach. Nawet telefoniczna rozmowa z osobą znającą problemy osób mobbingowanych może stanowić istotne wsparcie.

Niezbędne jest utworzenie specjalnego internetowego serwisu antymobbingowego, który stanowiłby źródło podstawowych informacji dla osób mobbingowanych. Aktywność w ramach ruchu antymobbingowanego może

być skutecznym sposobem na wyjście z depresji, z załamania.

Pomagając innym można pomóc i sobie samemu. Człowiek, który ma poczucie własnej wartości uzasadnione swoją działalnością ma większe szanse nie tylko na przetrwanie, ale także na zrobienie wiele dla innych.

Józef Wieczorek, Kraków, Niezależne Forum Akademickie,
www.nfa.pl

Appendix:

Polskie stowarzyszenia antymobbingowe

OGÓLNOPOLSKIE STOWARZYSZENIE ANTYMOBBINGOWE
OSA

http://republika.pl/osa_stow/start.html

Punkty konsultacyjne: Gdańsk, Kielce, Lublin, Białystok,
Jelenia Góra, Warszawa, Gorzów Wielkopolski, Łęczyca,
Grudziądz, Krapkowice, Racibórz, Puławy

KRAJOWE STOWARZYSZENIE ANTYMOBBINGOWE –
WROCŁAW <http://MOBBING.MOST.ORG.PL/>

Oddział w Krakowie <http://www.nomobbing.pl/>

STOWARZYSZENIE CENTRUM ANTYMOBBINGOWE
<http://republika.pl/antymobbing>

Stowarzyszenie Demokratyczna Unia – Kobiet Klub
Wrocławski
<http://www.umwd.pl/organizacje/news/mobing.htm>

STOWARZYSZENIE ANTYMOBBINGOWE P.P. BARBARY
GRABOWSKIEJ
http://www.trojmiasto.pl/ob.phtml?id_ob=12333

Polskie strony internetowe poświęcone mobbingowi
Mobbing da się zwalczyć <http://www.mobbing.edu.pl/>

Mobbing
http://www.mobbing.pl/czym_jest_mobbing.php

Mobbing akademicki na uczelniach i w instytucjach
naukowych
<http://www.mobbing-jwieczorek.ans.pl/>

Niezależne Forum Akademickie – www.nfa.pl

Mobbing w środowisku akademickim

<http://www.nfa.pl/articles.php?topic=25>

Tekst opublikowany w: Zeszyty Karmelitańskie 4(37)
październik-grudzień 2006. Dotknięci Chorobą, s. 65-69.
Poznań 2006

„Premier z naukowcami”

Z nadzieją należy oczekiwać „zreformowania szkolnictwa wyższego i nauki oraz zwiększenia na nie nakładów finansowych”, co zapowiedział w niedzielę premier Jarosław Kaczyński („Premier z naukowcami”, „Rz” 270, 20.11.2006 r.).

Niezależne Forum Akademickie <http://www.nfa.pl>, grupujące naukowców pracujących zarówno w Polsce, jak i poza granicami kraju, przygotowało postulaty reform dotyczących dróg kariery akademickiej i finansowania nauki zgodnych z Europejską kartą naukowca i kodeksem postępowania przy zatrudnieniu pracowników naukowych.

NFA postuluje m. in. stworzenie uproszczonej i przejrzystej drogi kariery naukowej w Polsce zbieżnej ze standardami anglosaskimi, w tym zlikwidowanie stopnia doktora habilitowanego i tytułu profesora „belwederskiego”, wprowadzenie powszechnych i

otwartych konkursów na stanowiska uczelniane ogłaszanych (pod rygorem nieważności) w specjalnym serwisie internetowym, obowiązku pełnego ujawnienia dorobku naukowego, rozdziału większości funduszy przeznaczonych na badania przez otwarte konkursy projektów badawczych (grantów) z udziałem recenzentów zagranicznych, w pełni jawnych i opartych na konkurencji zasad finansowania badań.

Przeprowadzenie postulowanych zmian stanowiłoby krok we właściwym kierunku dla zatrzymania, a przynajmniej spowolnienia, drenażu mózgów – wyjazdu z kraju na stałe najlepszych polskich studentów i naukowców.

Pod postulatami NFA podpisało się już ponad 100 naukowców i studentów z kraju i zagranicy, w tym kilka polskich organizacji akademickich za granicami (University of Oxford Polish Society, Durham University Polish Society, Polish Professionals in London, Warwick University Polish Society, London School of Economics Polish Society).

Józef Wieczorek, prezes Fundacji Niezależne Forum Akademickie

Rzeczpospolita, 29.11.2006

Pozwólcie wracać polskim naukowcom

Niezależne Forum Akademickie przygotowało petycję do Sejmu i Rządu RP w sprawie dyskryminacji obywateli polskich przy zatrudnianiu pracowników naukowych.

Petycję podpisało już kilkudziesięciu polskich naukowców pracujących w różnych krajach: w USA, Kanadzie, Australii, Anglii, Holandii, Irlandii, Niemczech, Polsce, Szwecji.

Okazuje się, że polskim obywatelom jest znacznie trudniej zatrudnić się na polskiej uczelni niż obywatelom innych krajów.

Jeśli ktoś wyjechał z kraju i zrobił karierę naukową na zagranicznej uczelni raczej winien tam zostać do końca swoich sił twórczych, bo jego powrót do kraju jest niemiłe widziany.

Przed ewentualnością powrotów – nawet najlepszych polskich naukowców z zagranicy – uczelnie zabezpieczają przepisy prawne obowiązujące w Polsce.

Ktoś kto jest Polakiem nie ma wiele szans na zatrudnienie na stanowisku profesora jeśli nie ma habilitacji, mimo że w przypadku cudzoziemca jest to możliwe.

Zdarzają się przypadki zrzekania się obywatelstwa polskiego, aby otrzymać stanowisko profesora na polskiej uczelni. Jest to istotny powód, że polscy naukowcy nie mają zamiaru wracać do kraju przed emeryturą.

Najwyższy czas aby politycy zajęli się polityką naukową i zmienili prawo „akademickie” tak aby było bardziej przyjazne dla Polaków pragnących pracować dla dobra kraju.

Józef Wieczorek – Prezes fundacji Niezależne Forum Akademickie, www.nfa.pl
Rzeczpospolita, 23.01.2008

Chodakiewicz kontra Gross

Trudno nie zgodzić się z konkluzją Piotra Gontarczyka (Rz. 25.01.2008), że książka M. J. Chodakiewicza ‚Po Zagładzie’ to praca naukowa a książka ‚Strach’ J.T.Grossa to praca manipulacyjna.

Takie wrażenie powstaje także po spotkaniach z obu autorami w Krakowie.

Spotkanie z autorem pracy naukowej – kameralne, bez rozgłosu, pytania bezpośrednio, odpowiedzi rzeczowe.

Spotkanie z autorem pracy manipulacyjnej – z rozgłosem, w ogromnej sali, i to uniwersyteckiej, ale w gruncie rzeczy to spotkanie głównie z red. A. Michnikiem w obecności autora ‚Strachu’, jakby zupełnie nie zainteresowanego tym, co oczekuje od niego publiczność.

Arogancja, lekceważenie, milczenie na niewygodne pytania. Nazywanie tego debatą to oczywista manipulacja

i negatywne oddziaływanie na młodzież akademicką
()licznie przybyłą na spotkanie.

Gross argumentował, że nie musi mówić bo się zgadza z tym co mówią paneliści, nie dodając jednak, że dobrani tak aby różnic nie było. Kto ma inne spojrzenie to osoba niepoważna, z którą Gross dyskutować nie będzie.

O dziwo, najlepiej ducha ,debaty' nad ,Strachem' wyraził Marek Edelman mówiąc, że ZNAK na tym zarobi pieniądze, a za parę miesięcy nikt o tym nie będzie pamiętał.

Józef Wieczorek (Kraków)

Rzeczpospolita, 7 lutego, 2008

Listy: "Polskie uniwersytety potrzebują reanimacji" „

Nie ulega wątpliwości, że polskie uniwersytety potrzebują reanimacji (Rz.26.02.2008 r.).

Problem jest jednak z „akademicką służbą zdrowia” aby tą reanimację przeprowadziła zgodnie ze standardami światowymi.

Poglądy habilitowanego profesora (Andrzeja Jajszczyka) zadają kłam opiniom, że zniesienia habilitacji i profesur „belwederskich” domagają się ci, którzy tych stopni czy tytułów nie posiadają, bo intelektualnie nie są do tego zdolni.

Rzecz się ma całkiem inaczej. To wielu miernych profesorów obawiając się oceny swojej działalności według kryteriów światowych heroicznie walczy o zachowanie obecnego status quo.

Ci, którzy coś sobą prezentują nie muszą się obawiać ocen według kryteriów merytorycznych i walczą o ich wprowadzenie w miejsce dotychczasowych kryteriów

towarzysko-genetycznych, tak powszechnych w polskim systemie nauki.

Niestety zwolenników potrzebnych, radykalnych, kompleksowych zmian w systemie nauki na ogół nie widać w komisjach pracujących nad reformami.

Odnosi się wrażenie, że pozorantwo reformatorskie jest u nas równie rozpowszechnione. jak pozorantwo naukowe.

Jedno jest pewne, że „okręty flagowe” polskiego systemu nauki i szkolnictwa wyższego do tej pory nie zostały wyposażone w stery, które by im pozwoliły dotrzeć do właściwego portu przeznaczenia.

Józef Wieczorek, prezes Fundacji Niezależne Forum Akademickie, www.nfa.pl

Rzeczpospolita, 10-03-2008

Czas skończyć z celebrawą akademickich dworów

Polak bez habilitacji nie ma szansy na zatrudnienie na polskiej uczelni na stanowisku profesora – pisze prezes Niezależnego Forum Akademickiego

Stan nauki i szkolnictwa wyższego w Polsce budzi zaniepokojenie, mimo że liczba młodych Polaków pobierających wyższe wykształcenie przekroczyła już 50 proc. O czym zdaje się nie wiedzieć obecny rząd, zakładający osiągnięcie takiego stanu na koniec swojej kadencji.

Kto jak kto, ale rząd powinien znać stan aktualny i mieć realne plany polepszenia go. Jeśli więc założenia zostały osiągnięte, nim rząd zaczął rządzić, to może nie ma już nic do roboty?

Czy kandydat umie pisać?

Tak dobrze jednak nie jest. Statystyka nie powinna wprowadzać w błąd. To, co obecnie traktuje się jako poziom wyższy (dyplomy magistra, licencjata), jest poziomem raczej niskim, a niektórzy uważają, że dawna matura była na wyższym poziomie niż dyplom obecnych uczelni.

Zapewne dostrzegła to i Centralna Komisja ds. Stopni i Tytułów, która zaleca, aby rozprawy doktorskie sprawdzały, czy kandydat na doktora umie pisać – proszę sobie wyobrazić! – po polsku.

Dawniej odbywało się to na poziomie matury, a dziś na poziomie doktoratu! A i tak – jak kilka lat temu podkreślał prof. Janusz Tazbir – 40 – 70 proc. doktoratów nie spełnia standardów.

Niewykluczone, że dawniejsza matura była na wyższym poziomie niż dyplom obecnych wyższych uczelni.

Widać komisje profesorskie promujące takich doktorów też tych standardów nie spełniają, ale nadal działają na froncie produkcji dyplomów bez wartości. Krzywa rośnie! A to najważniejsze, bo przynosi uczelniom wpływy

finansowe, no i odpowiednią liczbę stopni i tytułów potrzebnych do akredytacji.

Porządek wschodni

1 maja 2004 r. Polska znalazła się w Unii Europejskiej, ale ten fakt chyba nie został zauważony przez decydentów nauki i szkolnictwa wyższego i nasz system nauki nadal funkcjonuje według porządku wschodniego, a nie zachodniego.

Kwalifikacje naukowców utytułowanych na Wschodzie wątpliwości nie budzą, do naszego systemu świetnie się nadają, co innego z naukowcami polskimi, którzy zdecydowali się na uprawianie nauki na nadal podejrzanych uczelniach zachodnich – ci, jeśli nie ukryją swojego polskiego obywatelstwa, raczej szans na stanowisko profesorskie w Polsce nie mają. Wygląda to paradoksalnie, ale rzecz w tym, że paradoksami nasz system nauki stoi, a tak naprawdę – leży.

Po wejściu do UE Polska jakby stanęła na rozdrożu. Co wybrać – porządek wschodni (tak u nas zadomowiony, z licznymi tytułami, z akademicką celebrą, polityką prorodzinną stosowaną do obsadzania dożywotnich

etatów akademickich, ustawianiem konkursów dla zaspokojenia potrzeb hierarchów akademickich i ich dworów) czy zachodni (kłopotliwy, bo mobilny, przedkładający – o zgrozo – dorobek naukowy nad tytuły).

Dotąd klarownej decyzji nie podjęto. Nauka w Polsce znalazła się na rozstajach dróg i nadal rozgląda się za drogowskazem.

Europejski drogowskaz

Drogowskaz już jednak jest. Komisja Europejska opublikowała 11 marca 2005 r. *Europejską kartę naukowca i kodeks postępowania przy rekrutacji naukowców*, aby ich wprowadzenie przyczyniło się do stworzenia europejskiej przestrzeni badawczej bardziej przyjaznej dla naukowców i dającej szansę na zmniejszenie dystansu Europy do USA.

Skuteczność tych działań może jednak budzić obawy, bo karta i kodeks to jedynie zalecenia dla członków UE, a nie obowiązujący akt prawny.

Zainteresowanie w Polsce tymi zaleceniami jest nader skromne, jakby drogowskaz schowany był we mgle, a

decydenci, obchodząc go wkoło, nie zauważali właściwego kierunku.

A może nie chcą zauważyć, zważywszy, że wskazuje:

- 1) kompatybilność karier naukowych (bez habilitacji i bez profesur belwederskich – specjalności polskiej kuchni akademickiej),
- 2) rekrutację kadr poprzez rzeczywiste (a nie ustawiane jak u nas) konkursy na stanowiska akademickie,
- 3) jawność dorobku i procedur (utajnianie teczek akademickich na wieki – wykluczone!),
- 4) mobilność kadry wykluczającą „chów wsobny”, w czym jesteśmy mistrzami.

Ustawiaczy nikt nie ściga

Beneficjenci dotychczasowego systemu za takim drogowskazem, choćby go zauważyli, nie pójda. To by była dla nich katastrofa, droga ku przepaści.

Na razie preferuje się wygodną postawę według reguły: skoro nie ma nakazu, aby kartę i kodeks wprowadzić, lecz co najwyżej się to zaleca, nie ma się czym

przejmować. Zalecenia te zostały pominięte przy tworzeniu ustawy o szkolnictwie wyższym w 2005 r.

Oddolna inicjatywa Niezależnego Forum Akademickiego wdrożenia Europejskiej karty naukowca do nowego aktu prawnego została zignorowana. Nie wszystkim jest, jak widać, po drodze do porządku zachodniego.

Kilkuletnia działalność Niezależnego Forum Akademickiego wskazuje, że krajowi beneficjenci systemu nie bardzo się kwapią do zmian realnych, co najwyżej je pozorują. Demokratyczna większość jest co prawda za zmianami, ale takimi, aby wszystko zostało po staremu. Zdecydowana mniejszość chce zmian realnych, ale większość tej mniejszości boi się o nie walczyć otwarcie – wie, czym to grozi!

Najwyższy czas, aby do reformowania systemu nauki włączyć Polaków „zagranicznych”, mających stały kontakt z nauką światową.

W lepszej sytuacji są Polacy „zagraniczni” i to oni na ogół podpisują petycje, aby obecny system zmienić. Mają w tym interes, bo gdy wszystko pozostanie po staremu, do

emerytury nie mają po co wracać do kraju. Jeśli za granicę wyjechali stosunkowo wcześniej i nie zdobyli u nas stopni naukowych, nie zostali utytułowani, to po powrocie nie mają co liczyć na etat. Konkursy rozpisuje się na samych swoich, a ustawiaczy, w przeciwieństwie np. do ustawiaczy meczów piłkarskich, nikt nie ściga – bo to taki jest obyczaj w nauce.

Nie dyskryminować aktywnych

Ktoś, kto jest Polakiem, nie ma zresztą wielu szans na zatrudnienie na stanowisku profesora, jeśli nie ma habilitacji, mimo że w wypadku cudzoziemca jest to możliwe.

Zdarzają się przypadki zrzekania się obywatelstwa polskiego, aby otrzymać stanowisko profesora na polskiej uczelni. Jest to istotny powód tego, że polscy naukowcy nie mają zamiaru wracać do kraju przed emeryturą, ale też jest to powód, aby włączyć się do działań na rzecz zmiany systemu nauki i szkolnictwa wyższego w Polsce.

Dopóki będzie w nim obowiązywał porządek wschodni, a nie zachodni, nie ma co liczyć, że tzw. nauka polska będzie się liczyła w świecie.

Konieczne są nie tylko większe pieniądze, nie tylko możliwość zróżnicowania wynagradzania pracowników w zależności od osiągnięć.

Potrzebna jest przede wszystkim kompatybilność systemowa, konieczne są zmiany prawne, które nie będą dyskryminowały zbyt aktywnych, zbyt niezależnych Polaków robiących karierę naukową poza granicami kraju. Konieczne są otwarte, rzeczywiste konkursy na stanowiska naukowe, konieczna jest ocena pracowników przez gremia międzynarodowe, jawność dorobku naukowego itd.

Najwyższy czas, aby do reformowania systemu nauki włączyć Polaków „zagranicznych”, mających stały kontakt z nauką światową i zachowujących niemal ciągły kontakt z krajem. Ich doświadczenia należałoby wykorzystać. Jeszcze jest czas.

Autor, doktor geologii, paleontolog, pracował w Polskiej Akademii Nauk oraz na Uniwersytecie Jagiellońskim, był działaczem Polskiego Towarzystwa Geologicznego i redaktorem „Annales Societatis Geologorum Poloniae”, współorganizatorem NSZZ „Solidarność” w Instytucie

Nauk Geologicznych UJ w 1980 r. Ostatnio wydał książkę „Drogi i bezdroża nauki w Polsce”, jest prezesem Fundacji Niezależne Forum Akademickie, redaktor portalu NFA www.nfa.pl

Józef Wieczorek 08-04-2008 Rzeczpospolita

Beton naukowy – polemika

Kilka lat temu zainstalowałem w cyberprzestrzeni kruszarkę do betonu akademickiego, która działa do dziś pod adresem www.nfa.pl

Beton akademicki został, niestety, wyprodukowany przy zastosowaniu dość skutecznych technologii, ale mimo to widać oznaki jego kruszenia.

Pojawiają się rysy, a nawet szczeliny, które oczywiście można by rozsadzać dynamitem, ale nie mając zgody na stosowanie materiałów wybuchowych, staramy się je poszerzać siłą argumentów.

JÓZEF WIECZOREK

redaktor NFA www.nfa.pl,

prezes fundacji Niezależne Forum Akademickie

Wprost Numer: 10/2008 (1315)

Co słyhać starego?

czyli o nauce polskiej 20 lat później

4 czerwca 1989 r. to dla wielu Polaków jedna z dat przełomowych, data wychodzenia z komunizmu. Ale czy naprawdę wyszliśmy z komunizmu?

Chyba nie do końca. Co więcej nie za bardzo chcemy się z komunizmem rozliczyć. Ustawy dekomunizacyjnej mimo upływu lat nie ma do tej pory i chyba chodzi o to aby już nigdy jej nie było.

W sprawie lustracji środowisko akademickie, zwykle konformistyczne, wykazało się iście heroiczną postawą organizując bunt antylustracyjny.

W walce o niepoznanie własnej historii wreszcie ujawnił się nonkonformizm, tak na co dzień deficytowy. Widać przeszłość środowiska akademickiego to sprawa

poważna, skoro na jej poznanie uczelnie same sobie nakładają kaganiec, ograniczają wolność swoich badań.

Władza POPów

Na froncie walki o pokój, o wprowadzenie nowego, jedynie słusznego systemu, szczególną rolę mieli odgrywać ludzie nauki – tzn. nowi ludzie nauki, postępowi i ideowi. Ci mieli wychować nową młodzież budującą nowy ustrój.

Wielu „starych” profesorów uformowanych w Polsce „burżuazyjnej” nie za bardzo chciało tworzyć Polskę „demokratyczną” więc zastępowano ich nowymi, uformowanymi często na froncie wschodnim.

Nie wszyscy mieli pojęcie o nauce, ale z braku odpowiednich kadr wielu z nich wyznaczano na Pełniących Obowiązki Profesorów, którzy mieli wspierać Pełniących Obowiązki Polaków wprowadzających nowy ład i porządek, i zakładających Podstawowe Organizacje Partyjne.

Władza POPów, w różnych wcieleniach, odcisnęła się na obliczu Polski Ludowej tak silnie, że skutki są do dziś widoczne, ale ślady ich działalności są skrupulatnie zacierane.

Dyskusje na temat poznawania niechlubnej przeszłości, także autorytetów naukowych, koncentrują się głównie wokół IPN i materiałów wytworzonych przez SB. Ale co z badaniem materiałów PZPR czy archiwów akademickich? Z tym jest znacznie gorzej. Proszę spróbować odtworzyć składy POP PZPR na uczelniach, czy w instytutach naukowych. Nader rzadko to się udaje.

Bez zgody POP PZPR nie było można nikogo awansować, usunąć, wysłać za granicę. POP rozdawały karty na uczelniach, decydowały o polityce kadrowej, a badań na ten temat nadal nie ma. Nie bez przyczyny.

Wielu członków POP nadal ma się dobrze w systemie szkolnictwa wyższego, które niestety tak dobrze się nie ma, a władze uczelni dzielnie walczą, aby to co zostało ukryte pod dywanem w czasie transformacji nadal nie ujrzało światła dziennego.

Metodologia badań naukowych

Po 20 latach od „upadku” komunizmu na uczelniach dominują beneficjenci systemu PRL i dbają o „właściwą” metodologię prowadzonych badań, piętnując każde odchylenia.

Ostatnio było sporo szumu w sprawie – podobno niewłaściwej – metodologii badań historycznych na poziomie magisterskim. Nikt nie jest natomiast zainteresowany metodologią badań historycznych na poziomie profesorskim.

Metody badań profesorów z uczelnianych komisji senackich, „historycznych”, dla ustalenia pokrzywdzonych w PRL, czy nad opracowaniem dziejów uczelni w ostatnich kilkudziesięciu latach – budzą konsternacje, a ich metodologia winna być bez zarzutu, wzorcowa.

Historycy komisji najstarszej polskiej uczelni badają krzywdy, ale głównie wśród beneficjentów systemu, pomijając ofiary systemu, także tych, którzy mają status pokrzywdzonego! Oryginalna metodyka – nieprawdaż? I nikogo to nie razi.

W dziele historyków przygotowanym przez samych profesorów historii na 600- lecie UJ – " Dzieje Uniwersytetu Jagiellońskiego" nie zauważono nawet, że w Polsce, nie tak jeszcze dawno, był stan wojenny. Nie jest to wyjątek, bo stosowana metodologia badań historycznych prowadzi do tego, że historie uczelni polskich zwykle doprowadzane są do roku 1968 r. a potem – przeskok do roku 1989, może z kilkoma ogólnikowymi zdaniami o tym co było w międzyczasie.

Podobnie historycy polemizując z kolejnymi projektami reform w nauce, przypominają jakie szkody w nauce wyrządziły ,reformy' roku 1968, całkiem zapominając o ,reformach' lat 80-tych.

Taka jest metodologia badań i taki poziom niezawisłości od faktów wśród nadal Pełniących Obowiązki Profesorów.

Wielka czystka w nauce

,Reformy' lat 80-tych poskutkowały wielką czystką kadrową w nauce, ale także, jak obecnie widzimy, wielką czystką pamięci środowiska akademickiego. Wyrejestrowano wówczas z systemu nauki tysiące

młodych, nonkonformistycznych pracowników akademickich, o zbyt dobrej pamięci i zbyt aktywnych. Na nich skupiała uwagę i PZPR, i SB, jako na głównych ich wrogach i przeciwnikach systemu, negatywnie wpływających na młodzież akademicką.

O tym można bez trudu przeczytać w archiwach pozauczelnianych (materiały PZPR w Archiwach Akt Nowych, czy materiały SB w archiwach IPN), ale na uczelniach informacje dotyczące tego okresu są na ogół niedostępne. Nieco można znaleźć w internecie.

Uczelnie autonomicznie bronią natomiast dostępu do informacji publicznej, zamienianej w informację sekretną, lub jej brak, powołując się dla jej utajniania np. na ustawodawstwo stanu wojennego, którego istnienia nie zawsze potrafili uchwycić w historiach uczelnianych!

W ciągu ostatnich 20 lat, w mediach słyszymy często o luce pokoleniowej w nauce, ale nie ma odpowiedzi jak to się stało, że taka luka powstała.

Wielka czystka dokonana wśród nieposłusznej kadry akademickiej w latach 80-tych stanowi główny powód tej

luki. Beneficjenci tej czystki nie byli w stanie z przyczyn intelektualnych, ani nawet nie mieli zamiaru z przyczyn ekonomicznych, luki ograniczyć.

Z powodu braków kadrowych akademicy beneficjenci PRL, byli i nadal są produktem poszukiwanym na kwitującym rynku edukacyjnym i mają zapewnione i po kilka etatów. Po co zatem mają likwidować to co im przynosi profity?

Wielu historyków zastanawia się nad przyczynami okresowej klęski ZSRR po napaści Hitlera 22 czerwca 1941 r. Różne są interpretacje, ale jedną z przyczyn jest luka kadrowa wojskowych po przeprowadzeniu przez Stalina wielkiej czystki w końcu lat 30-tych. Czystka miała miejsce głównie wśród kadry dowódczej i lukę można było szybko uzupełnić i wzmocnić potencjał wojenny.

Czystka w nauce lat 80-tych przeprowadzona na ogromną skalę dotyczyła głównie młodszych, więc spowodowała lukę pokoleniową, trudniejszą do szybkiego wypełnienia i do wzmocnienia potencjału intelektualnego.

Nowe kadry, stare problemy

Po 20 latach mamy już nowe pokolenie w nauce, uformowane przynajmniej na szczeblu szkolnictwa wyższego, już po tzw. transformacji. Winno być inaczej niż w PRL, bo jak zwykle słyszymy – potrzebna jest zmiana pokoleniowa aby coś się mogło zmienić. Pokolenie już nowe – problemy nadal stare.

Otwarto szeroko granice, ale naukę polską poza granicami jakoś słabo widać, oczywiście z wyjątkami, ale te zawsze były, także w czasach PRL. Wiele tych wyjątków, jak nieraz słyszymy, zawdzięczało swą wyjątkowość PZPR, czy SB – ale nie wszyscy.

Blokada rozwoju młodych, strach przed konkurencją, powoduje, że starsze kadry jakby przejęły rolę dawniej pełnioną przez stróżę porządku socjalistycznego.

W 1946 r. politruk Włodzimierz Sokorski, który z braku nowej kadry naukowej, po przełamaniu frontu wojennego, rzucony został na front nauki, jasno mówił o zarządzaniu nauką przez scentralizowaną habilitację. Trzeba było znaleźć sposób na uformowanie posłusznych.

I tak zarządzano, nawet dość skutecznie, a nowe środowisko tak się przyzwyczaiło do takiego zarządzania, że o zmianach na wzór zachodni nawet nie chce słyszeć do dnia dzisiejszego.

Rzec by można: Jak nas partyjniacy ustawili, tak chcemy stać i innych ustawiać!

I tak ustawiają, może z pewnymi modyfikacjami – ale jednak skutecznie, o czym mogliśmy się przekonać i w ciągu ostatnich miesiącach.

Jak dr Jarosław Pająk podniósł publicznie dokonanie plagiatu przez rektora Akademii Medycznej, zaraz przy próbie habilitacji został osadzony na miejscu. Dzięki roztargnieniu prof. Krzysztofa Drewsa, który napisał mu dwie przeciwstawne recenzje – jedną chwalebną, drugą dyskwalifikującą, przynajmniej wiadomo jak w praktyce wygląda ‚ocena‘ prac naukowych. A to tylko wierzchołek góry lodowej, który dotąd był znany tylko w kuluarach.

Dr Marka Migalskiego, niewłaściwie dla środowiska akademickiego ukierunkowanego politycznie, nie dopuszczono nawet do otwarcia przewodu

habilitacyjnego. Nieco szczęścia ma prof. Andrzej Nowak, że jego ‚odchylenia‘ wykryto już po habilitacji, więc tylko spotyka się z ostracyzmem.

Nie ma już wiodącej PZPR, ani SB, ale niemerytoryczne – uwarunkowane politycznie, (nie)etycznie – oceny, awanse, degradacje, nominacje – pozostały.

A co na to środowisko ? Rzadko reaguje. Nie na darmo wyselekcjonowano je spośród posłusznych, aby się teraz buntowało! Jak się głowę schowa do piasku, to z ‚podręczną strusiówką‘ można do emerytury przetrwać.

Mamy wolność, ale przed wypowiedzią, po wypowiedzi – nie do końca. Nikt nie wierzy w merytoryczną ocenę jego dokonań naukowych, więc lepiej siedzieć cicho. Wiadomo, że wartość dorobku z dnia na dzień może się drastycznie zmienić. To co było znakomite, może się okazać niedorzeczne, jeśli naukowiec okaże się niepoprawny w swych dociekaniach, w promocjach, petycjach.

Urzędu cenzury co prawda już nie ma, ale cenzura, w tym autocenzura, ma się zupełnie dobrze. Szczególnie

wysoko są cenieni ci, którzy potrafią sami z niej korzystać.

Uczelnie mają zagwarantowaną autonomię do zakładania sobie kagańców i z tej autonomii nieraz korzystają. Jak sobie same kaganiec założą, nie muszą się obawiać o finanse, dotacje, nominacje, akceptacje.

Jak widać w nauce polskiej w 20 lat po transformacji – bez zmian. Może mówienie o transformacji nie do końca jest zasadne, skoro wiele zmieniono tak, aby pozostało po staremu?

Józef Wieczorek

Opcja na prawo, Nr 7-8/91-92, lipiec – sierpień 2009, str. 52